



PANI BARBARA I TAJEMNICE JAROSŁAWA KACZYŃSKIEGO

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



KSIĄŻKA, KTÓRA ZMIENIA SPOJRZENIE NA PRZESZŁOŚĆ

JAK ROZMAWIAĆ O HISTORII,
BY NIE POPAŚĆ W SCHEMATY
I UPROSZCZENIA?



79 zł

W szczerzej rozmowie prof. Romanowski przyznaje się do zmiany poglądów, mówi, za co ceni gen. Jaruzelskiego, czym zaskoczyła go londyńska emigracja i co warte są mity narodowe.

Red. Dybicz daje materiał poglądowy na temat nieoczywistych losów polityczno-kulturalnej formacji, której urodzenie przypadło na lata 50.

Bronisław Łagowski

Dostępna także w formie e-booka

Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.

Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Poczta Polska.



Z tarczą czy na tarczy?

W polskiej polityce najbardziej nie lubię tego, że wrzask przykrywa ważne debaty i zamiast refleksji, wyboru wariantów działań mamy obzucanie się inwektywami.

Spójrzmy na ostatnie dni. Sejm przegłosował uchwałę w sprawie bezpieczeństwa Polski. Niby rzecz oczywista, ale PiS było przeciw. Dlaczego? Żeby nie głosować razem z Tuskiem? Ten po głosowaniu miał swoje pięć minut i wołał, że PiS się zhańbiło, pokazało swoje prawdziwe oblicze, nie chce obrony polskich granic. Złapał PiS w pułapkę i nie miał litości. Cóż... Oczywiście partia Kaczyńskiego popełniła w sprawie uchwały błąd. Ale to nie znaczy, że Tusk może odmawiać jej członkom prawa do patriotyzmu. Rzecz jest bowiem bardziej skomplikowana.

Uchwała Sejmu nawiązywała bezpośrednio do rezolucji Parlamentu Europejskiego z 12 marca, dotyczącej przyszłości europejskiej obrony. Do tej rezolucji europosłowie PO dorzucili poprawkę dotyczącą Tarczy Wschód, by uznana została za flagowy projekt bezpieczeństwa Unii. Innymi słowy, Tusk otworzył furtkę dla europejskich pieniędzy, które pomogą wybudować pas umocnień na naszej granicy wschodniej.

To złe? Dla PiS złe, dlatego było przeciw. Uznaje bowiem, że hasła o wzmacnianiu europejskiego systemu obronnego prowadzą do zmniejszenia roli Stanów Zjednoczonych w Europie, a zwiększania znaczenia Niemiec. I Francji – ale to PiS mało boli. Oto więc dylemat, przed którym stoi Polska i który powinien wybrzmieć.

Czy mamy angażować się w budowę europejskich sił, czy stawiać konsekwentnie na USA? Ale jak stawiać, skoro mamy Donalda Trumpa, nieprzewidywalnego i zafascynowanego rozmowami z Władimirem Putinem? Europa zatem? Ale czy sensowne jest kibicowanie Niemcom, by budowały więcej czołgów i rozbudowywały armię? A co będzie, gdy za parę lat kanclerzem zostanie ktoś z AfD, Ameryki zaś w Europie nie będzie?

Stawiać wobec tego na jedność europejską, mając świadomość, że główną siłą są w tym wypadku Niemcy, czy nadal liczyć na Amerykę, wiedząc, że nasze sprawy zupełnie jej nie interesują?

Zwolennicy Europy odpowiadają, że Niemcy, choć duże, nie mają pakietu kontrolnego w Unii, a nasza rola jest w niej wystarczająco mocna. Zwolennicy Ameryki sądzą, że jak będziemy wobec Trumpa wystarczająco przymilni, to zacznie on traktować więzi amerykańsko-polskie niemal tak jak amerykańsko-izraelskie. I tu wpadają w pułapkę, bo trudno budować politykę na założeniu, że będzie się lizusem i zrobi wszystko, co większy brat zechce, łącznie z rozwalaniem Europy. Inna jest też rola i pozycja Żydów w Stanach Zjednoczonych, a inna naszych pocziwych Polonów...

To kim się „lewarować”? A może lepiej i z Europą, i z USA? Mamy więc poważną sprawę, utopioną w serii niepoważnych napaści. Dziękujemy wam, panowie politycy...

BAKOWSKI



Przyszłość według Lema

27 marca mija rocznica śmierci **Stanisława Lema**

Zapraszamy do lektury ponad 100 felietonów naszego Autora, publikowanych w **PRZEGLĄDZIE** w latach 2002-2006

tygodnikprzeglad.pl
Kliknij w baner ARCHIWUM

KRAJ

- 8 Pani Barbara i tajemnice Jarosława Kaczyńskiego**
Jak została uchem i okiem prezesa
- 12 Silne kobiety i zagubieni mężczyźni**
– rozmowa z prof. Magdaleną Środą
- 16 Żelazny elektorat to mit**
O swoich wyborców trzeba dbać
- 19 Po której stronie łóżka śpi cudzoziemiec?**
Przyznawanie polskiego obywatelstwa
- 22 Sąd posprzątał sprzątaczkę**
Mała Emi skazana
- 26 Śmierć Barbary Blidy**
Pogrzeb był protestem, potem już cisza
- 43 Ustawa zweryfikuje psychoterapeutę**
– rozmowa z Anną Grzelką

ZAGRANICA

- 28 Rosja nie jest głównym zagrożeniem dla USA**
Ani wspólnym wrogiem dla Unii
- 34 Jak Czesi i Słowacy (nie) szykują się na wojnę**
Bez obowiązkowej służby wojskowej
- 36 Izraelczycy i Palestyńczycy żywią do siebie nawzajem głęboką nienawiść**
Efekty odczłowieczenia wroga
- 40 Marzenia, które utknęły na granicy**
Korespondencja z Kolumbii

OPINIE

- 32 Doug Bandow**
Ameryka nie powinna mieszać się w zmianę władzy w Ukrainie

KULTURA

- 46 „Dziady” jak broń**
Stały się manifestem wolności Ukrainy
- 48 Teatr jest niezagrożony**
– rozmowa z Agnieszką Zulewską
- 51 Kulturalia**
- 52 A kto czytał, ten trąba**
Gombrowicz w Argentynie
- 66 Sztuka Fantastyczna w Warszawie**

OBSERWACJE

- 56 Miasto z potencjałem**
Ludzie zmieniają Sosnowiec
- 60 Gigant do zadań specjalnych**
Samolot wielki jak Wembley

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Robert Walenciak**
Z tarczą czy na tarczy?
- 31 Roman Kurkiewicz**
Teodycea pisowskiej niewinności
- 39 Tomasz Jastrun**
Dywan wyciągnięty spod nóg
- 55 Wojciech Kuczek**
W piekle dorastania



16
KRAJ

ŻELAZNY ELEKTORAT TO MIT

O swoich wyborców trzeba dbać



46
KULTURA

„DZIADY” JAK BROŃ

Stały się manifestem wolności Ukrainy



60
GALERIA

SZTUKA
FANTASTYCZNA
W WARSZAWIE



Projekt okładki: Iza Mierzejewska



f Hejter za kratami

Tak się robi ludzi w bambuko. We wszystko uwierzą, kiedy kłamstwa odpowiednio im się spreparuje. W tym ekipa prezesa była dobra. My wam damy, a sami coś tam ukręcimy dla siebie.

Krzysztof Szyd

✉ Wybrali Polskę Ludową

Do przykładów angażowania się w legalną pracę na rzecz powojennej Polski ludzi o odmiennych poglądach politycznych chciałbym dodać znaną mi historię Włodzimierza Boernera (1908-1974). Syn Ignacego Boernera, bliskiego i zaufanego współpracownika Józefa Piłsudskiego oraz ministra kilku rządów II RP, był absolwentem prawa Uniwersytetu Warszawskiego. Przed wojną pracował w Banku Gospodarstwa Krajowego oraz w Zarządzie Miejskim w Warszawie. Jako oficer artylerii dostał się do niewoli i osadzony został w obozie jenieckim w Murnau.



Po zakończeniu wojny Włodzimierz Boerner wrócił do kraju i wraz z rodziną w 1946 r. osiedlił się we Wrocławiu. Wykorzystując swoje doświadczenie, włączył się aktywnie w organizację administracji instytucji państwowych na Dolnym Śląsku. Pełnił funkcję dyrektora Biura Krajowego Centralnego Urzędu Planowania we Wrocławiu. W 1958 r. wraz z prof. Stysiem był jednym z organizatorów szkolnictwa ekonomicznego we Wrocławiu. Powstała wówczas Wyższa Szkoła Handlowa (obecnie Uniwersytet Ekonomiczny), a Włodzimierz Boerner kierował Katedrą Planowania Gospodarki Narodowej. Szanowany wykładowca tej uczelni w latach 1954-1958 był prezesem Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego we Wrocławiu.

Piotr Kijewski

f Nie zdajemy sobie sprawy ze skali katastrofy Ukrainy

W Ukrainie tworzy się dosyć prężne propolskie lobby, które nie popiera Zelenskigo. Ich kandydatem jest Żaluzny. Wiedzą, co było na Wołyniu, chcą tę sprawę rozliczyć i zamknąć, aby budować relacje z Polską. Jest tam sporo byłych wojskowych i weteranów, którzy mają świadomość, że bez Polski byłoby krucho. Jest w Ukrainie spory sprzeciw wobec takiej polityki, jaką Zelenski prowadzi wobec Polski. To wszystko nie jest takie jednoznaczne.

Bartek Gontarczyk



f Czego chce Ameryka Trumpa?

Podnoszenie wydatków na zbrojenia nie uczyni Europy mocarstwem militarnym. Pogłębi tylko nędzę obywateli. A my ulegamy manipulacji medialnej i militarystycznej propagandzie, która wmawia nam, że jesteśmy zagrożeni i musimy wydawać kolejne miliardy na zbrojenia, które i tak nie poprawią naszego bezpieczeństwa. Po neoliberalnych, militarystycznych rządach pozostaną tylko ogromne długi, którymi obciążą się kolejne pokolenia.

Paweł Stawicki



ZDJĘCIE TYGODNIA

Buk, honor, ojczyzna. 300-letni buk Serce Wzgórz Dalkowskich z Dalkowa na Dolnym Śląsku jest Europejskim Drzewem Roku 2025. Zdobył prawie 150 tys. głosów internautów. Wyniki ogłoszono 19 marca podczas uroczystej gali w Parlamencie Europejskim.



O 6,6% rok do roku wzrosły w lutym ceny usług bankowych w Polsce. Jeszcze jeden dowód łupienia klientów. Powyżej inflacji (4,9%). I powyżej przyzwoitości.

Dramatycznie rośnie liczba zachorowań na krztusiec, odrę, RSV, a ostatnio pojawiła się **blonica.** Antyszczepionkowcy zbierają śmiertelne żniwo. Większość chorych to dzieci, niewinne ofiary głupoty rodziców. Najwyższa pora na twardą reakcję organów państwa. Może powiązać obowiązek szczepień z 800+?

W ciągu trzech lat bardzo **wzrosła liczba osób zatrudnionych na płacy minimalnej** (4666 zł brutto, czyli 3511 zł na rękę). W 2021 r. było ich 1,4 mln, teraz jest 3,6 mln.

Krzysztof Gawkowski z Nowej Lewicy **zatrudnia** w podległym mu resorcie cyfryzacji **polityków Wiosny i... PiS.** Ostatnio była minister cyfryzacji w rządzie PiS, **Annę Streżyńską,** i **Magdałę Gaj,** była prezes UKE, też z tej ekipy. Czyżby Gawkowski już się przygotowywał na zmianę władzy?

Kontrola NIK wykazała łamanie prawa w Ministerstwie Sprawiedliwości za czasów Ziobry przy zakupach oprogramowania Hermes. Było ono wykorzystywane do inwigilowania bez podstawy prawnej osób zajmujących wysokie pozycje w państwie i gospodarce. Zarzuty dotyczą Zbigniewa Ziobry i Bogdana Świąteczkowskiego.

Rafał Skąpski, wieloletni prezes PTWK, wiceprezes Kuźnicy, wydawca i znany publicysta, został uhonorowany przez ministrę

kultury Hannę Wróblewską złotym medalem **Zasłużony Kulturze Gloria Artis.** Gratulujemy.

Decyzją prezydenta Trumpa zawieszono, po 75 latach od utworzenia, Radio Wolna Europa, Głos Ameryki, Radio Swoboda, Radio Free Asia, Radio Marti i inne. 1,3 tys. pracowników skierowano na płatne urlopy.

Krzysztof Szczucki, były szef Rządowego Centrum Legislacji, poseł PiS, ma zarzuty prokuratorskie. Na fikcyjnych etatach zatrudniał ludzi, którzy zajmowali się jego kampanią wyborczą. Kosztowało to skarb państwa ok. 900 tys. zł.

W zakładach karnych i aresztach śledczych w końcu stycznia przebywało **70 097 osadzonych.** **6061 skazanych** odbywało zaś karę w systemie dozoru elektronicznego.

Wraz z waloryzacją emerytur podwyżkę dostał też emeryt, który przepracował 67 lat i zgromadził składki w wysokości 1,7 mln zł. Jego **emerytura wzrosła z 48 673 zł brutto do 51 350 zł brutto.**

Państwowa Komisja Wyborcza jednogłośnie odrzuciła sprawozdanie finansowe komitetu wyborczego Konfederacji za wybory do Parlamentu Europejskiego w 2024 r. Ugrupowanie może stracić łącznie ok. 26 mln zł.

Kirsty Coventry z Zimbabwe jest pierwszą kobietą na czele Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego. Siedmiokrotna medalistka igrzysk w pływaniu została wybrana na ośmioletnią kadencję. Nie zanosi się na jakąś rewolucję, bo była popierana przez usępującego Thomasa Bacha.

PRZEBŁYSKI

Wiatrakowe wariactwo

Powiało grozą. Jak zawsze, gdy odzywa się Paulina Hennig-Kloska, minister klimatu i środowiska, wyłazek Hołowni wciśnięty Tuskowi do rządu. Ogłosiła ona, że rząd włączy wiatraki. Wróciła koncepcja, by wiatraki można było budować 500 m od zabudowań. Gdyby głupota mogła fruwać, to ekipa, która lansuje tę paranoiczną koncepcję, już lądowałaby na Marsie. Upieranie się przy tej próbie skoku na kasę prowadzi koalicję na mieliznę. Mamy pomysł. Przetestujmy te 500 m na domach i daczach polityków, którzy koncepcję lansują. Postawcie wiatraki przy swoich domach. A później zajmiecie się naszymi.



Hołownia na miarę Hołowni

Szymon Hołownia zaczął swoją kampanię prezydencką. Może w jej sukces wierzą wpatrzony w niego jak w święty obrazek polityczki Polski 2050? Marszałek jest bowiem mężczyzną przystojnym i bardzo obrotnym w języku. Po Elżbiecie Witek sprawnie odnowił ducha Sejmu. I uwierzył, że ma moc. Prezydencką. Wiara w siebie jest ważna, ale nie wystarczy. Nie udało się Hołowni budować partii politycznej. Polska 2050 ma nazwę na miarę ambicji Hołowni i Koboski. Równie udaną jak Wiosna Biedronia. I tak samo kończy. Gdyby nie PSL, nie miałby kto zbierać dla Hołowni podpisów. A w rządzie? Najłabsze ogniwo koalicji. Gromada anonimów, o których słyszymy, kiedy palną coś wyjątkowo głupiego. Podróbka PO jest jak dawno temu chińskie podróbki. Chińczycy bardzo się rozwinęli, a Hołownia drecze w miejscu.

Proboszcz nieobyczajny

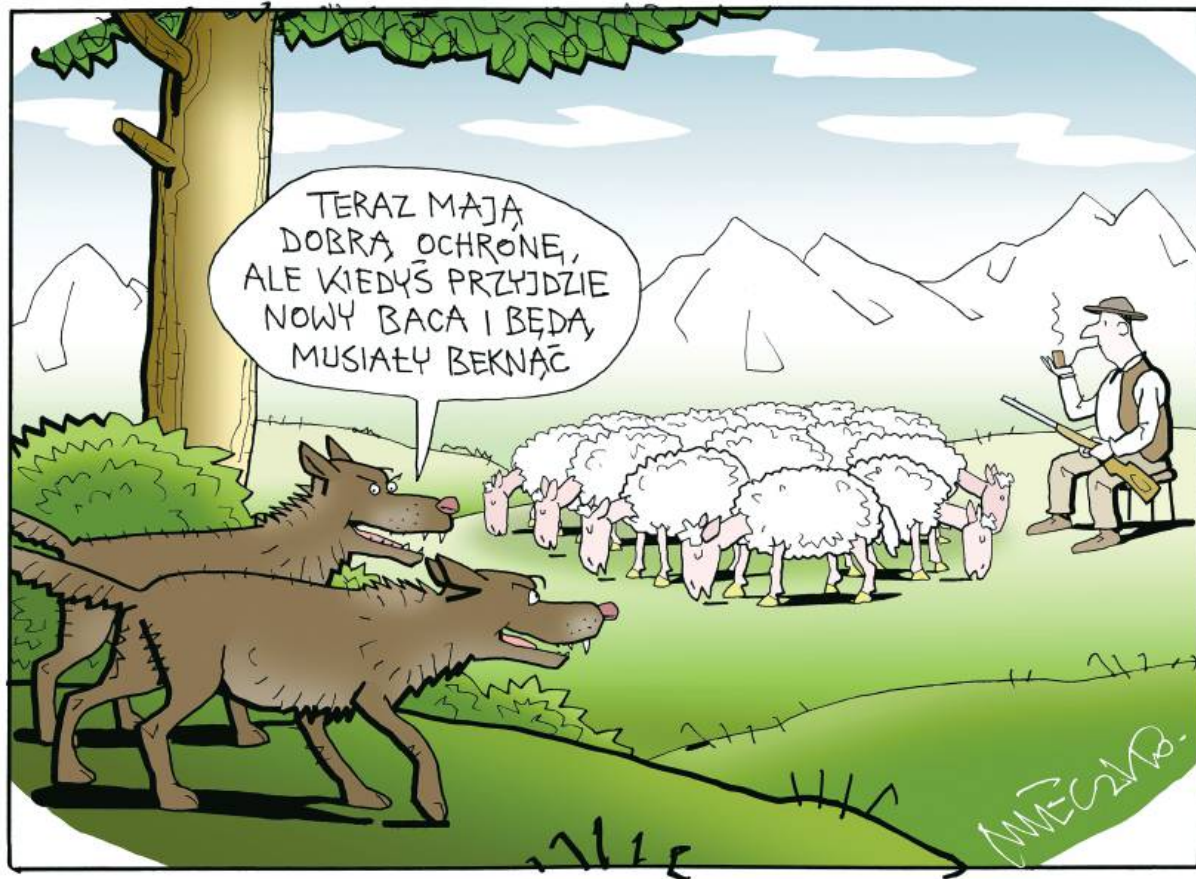
Prokurator Dorota Leszczyńska z Prokuratury Okręgowej w Łomży bardzo oszczędnie poinformowała o śledztwie przeciwko ks. Radosławowi K., podejrzanemu o czyn dotyczący sfery obyczajowej na szkodę osoby dorosłej. Wiadomo tylko, że ofiarą księdza jest mężczyzna. Sprawca to osoba znana w Łomży. Proboszcz parafii pw. Bożego Ciała. Organizator pielgrzymek, założyciel Grupy Ratowniczej „Nadzieja”. Parafianie, którym odczytano komunikat bp. Janusza Stepnowskiego, są w szoku. Na ogrodzeniu kościoła powiesili prześcieradło z napisem: „Gdzie jest ks. Radosław?”. Proboszcz został przez biskupa zawieszony w pełnieniu urzędu. Ma dozór policyjny i zakaz zbliżania się do poszkodowanego. Zapłacił 20 tys. zł poręczenia. Nie przyznał się do winy i przedstawił swoją wersję wydarzeń.



Wrocław testuje przedszkolaków

Ta winda jedzie już tylko w dół. Dzieci rodzi się coraz mniej. A starzy komentują i pytają: co jest nie tak z młodymi, że im się nie chce? Jedną z przyczyn pokazał pan Andrzej z Wrocławia, przysyłając biuletyn tamtejszego urzędu miejskiego. Z informacją o rekrutacji do wrocławskich szkół podstawowych i przedszkoli. Akcja dotyczy 11 tys. dzieci. Rekrutacja zostanie przeprowadzona w pełni elektronicznie. Za pomocą sztucznej inteligencji. Każdy może jej zadać po 10 pytań w dwóch etapach. A jak będzie mu mało, to trzeba się wylogować. I pytać dalej. Od samego studiowania kryteriów dotyczących przedszkolaków boli głowa. Łatwiej chyba się dostać na Harvard.





PYTANIE TYGODNIA | Co dziś jest kultowe?

GRZEGORZ KALINOWSKI,

pisarz, autor sagi „Śmierć frajerom”

Kultowe jest teraz wszystko, bo jak nie, jak tak, skoro każdy jest gwiazdą. Kiedyś Braunek, Holoubek, Łapicki i Tyszkiewicz, dzisiaj ktoś, kto występuje, z całym szacunkiem dla rolników i dla żon, w programie „Rolnik szuka żony”. Teraz każde stare auto jest kultowe, każda ważniejsza rola w nieco głośniejszym filmie wyprodukowanym dawniej niż pięć lat temu, masowo spożywana potrawa, o której istnieniu właśnie dowiedzieli się mediaworkerzy. Kult jest kultowy. Zespół Kult. Nie tylko dlatego, że sprytnie się nazwał. Przede wszystkim, bo gra ponad 40 lat, bo teksty Kazika wciąż są aktualne, bo muzycy zapełniają sale i hale, bo jak wymyślili, że wystąpią na Teneryfie, to na ich koncert przyleciało kilka tysięcy ludzi. Bo ich działalność jest fenomenem i wykracza poza popularność, która dzisiaj stała się synonimem słowa kultowość. Bo słowa znaczą dzisiaj co innego niż wczoraj, dlatego jakiś cymbał napisał, a inny to przyklepał: „Okrzyknę ją polską Anną Frank. Jej pamiętnik ukrywano przez 60 lat”. Pewnie kiedyś ten bełkot okrzykną jako kultowy.

DR MAŁGORZATA BULASZEWSKA,

medioznawczyni, kulturoznawczyni, USWPS

Dziś kultowe jest coś popularnego. Dla różnych grup pokoleniowych kultowe będą inne rzeczy, wydarzenia. Dziś kultowe jest dbanie o planetę. Równocześnie kultowe są filmy zmarłego

Lyncha. W modzie kultowe są sklepy vintage, spożywamy kultowe kimchi i wszystko to, co sfermentowane. Kultowe jest zjawisko *sigma mindset*, trochę tak na poważnie i trochę żartobliwie. Na serio jest rozumiane jako stawianie na samorozwój zarówno intelektualny, jak i fizyczny. To także minimalizm społeczny, który oznacza unikanie dram, ludzi toksycznych, skupienie się na własnych celach oraz niedbanie o akceptację. Żartobliwie *sigma mindset* jest rozumiane i często upubliczniane w postaci memów, jako przerysowany portret młodego mężczyzny odcinającego się od wszystkiego. Na TikToku znajdujemy wiele filmików typu „While you were partying, I studied the blade” (sigma to wojownik); edyty z Patrickiem Batemanem („American Psycho”) jako ikoną sigma mindsetu.

MARCIN GOŹDZIENIAK,

*dziennikarz muzyczny, podcast *Synestezja**

Niepokojący jest trend mówienia, że są kultowe, na najświeższe single zaledwie po kilku dniach od premiery. Tymczasem kultowość się wypracowuje. W przypadku muzyków wymaga to masy kilometrów spędzonych w trasie i lat na scenie. Każda generacja ma swoje kultowe utwory. Dla jednych klasykiem jest dziś Pink Floyd, dla drugich Modern Talking. Jeszcze inni z takim sentymentem będą wspominać Young Leosię. *De gustibus non est disputandum* – czy jednak ktoś tak mówi, gdy z głośników leci Beethoven?

 Andrzej Sikorski

Barbarę Skrzypek poznałem w roku 2000. Byłem początkującym dziennikarzem tygodnika „Nie”. Spotkanie zaaranżował poprzez swoich znajomych Hipolit Starszak, dyrektor spółki URMA, wydawcy „Nie”, pułkownik Służby Bezpieczeństwa i zastępca prokuratora generalnego w czasach PRL. Nie było jeszcze PiS, a Jarosław Kaczyński jako szeregowy poseł i polityczny outsider kierował nic nieznaczącą kanapową partijką Porozumienie Centrum. Skrzypek była wtedy anonimową osobą. Miałem jednak – jak mi się wydawało – kompromitujące dokumenty i relacje świadków na temat współpracownicy Kaczyńskiego, zacieklego antykomunisty i dekomunizatora. Były to: kserokopie kwestionariusza osobowego, życiorys oraz opinia przełożonych. Z dokumentów wynikało, że Skrzypek w latach 1980-1989 pracowała w Urzędzie Rady Ministrów (URM), m.in. w kancelarii tajnej, jako sekretarka w Gabinetie Prezesa URM i Gabinetie Ministra – Szefa URM. Według moich informatorów miała dostęp do najważniejszych tajemnic państwowych przekazywanych premierom przez urzędy i instytucje, w tym Służbę Bezpieczeństwa i Wojskową Służbę Wewnętrzną

Barbara Skrzypek w latach 1980-1989 pracowała w Urzędzie Rady Ministrów, m.in. w kancelarii tajnej.

(kontrwywiad wojskowy), a także do raportów przesyłanych z ministerstw i placówek dyplomatycznych. Skrzypek musiała więc być dokładnie prześwietlona i cieszyć się zaufaniem przełożonych. Niewykluczone, że czuwali nad nią opiekunowie ze służb.

Ze współpracowniczką Jarosława Kaczyńskiego spotkałem się w restauracji resortowego hotelu Karat, znajdującego się w sąsiedztwie redakcji „Nie”, niedaleko Belwederu, Łazienek Królewskich i ambasady Federacji Rosyjskiej. Barbarze Skrzypek towarzyszył

PANI BARBARA I TAJEMNICE JAROSŁAWA KACZYŃSKIEGO

Bez jej zgody nikt nie mógł wejść do prezesa. Od niej zależało, czy połączy z Kaczyńskim lub umówi spotkanie

postawny mężczyzna w wieku ok. 60 lat, o nienagannych manierach, który przedstawił się jako jej znajomy i pracownik Naczelnej Organizacji Technicznej (NOT). Rozmowa przebiegała w miłej atmosferze, choć Skrzypek nie okazała się zbyt wylewna. Utrzymywała, że była jednym z kilkuset pracowników biurowych URM niskiego szczebla i nie zajmowała się niczym szczególnym.

nie miałem już kontaktu ani z nią, ani z towarzyszącym jej mężczyzną.

Pod okiem generała

Barbara Skrzypek pracę w URM rozpoczęła 16 września 1980 r. Premierem był wtedy Józef Pińkowski. Skrzypek miała zaledwie 21 lat. Był to gorący okres protestów Solidarności, masowych wystąpień społecznych i strajków. Nie wiadomo dokładnie, w jakich okolicznościach Skrzypek dostała prestiżową posadę, ale na pewno musiała mieć czyjeś wsparcie, choć stanowczo temu zaprzeczała. W lutym 1981 r. na czele rządu stanął gen. Wojciech Jaruzelski, a na szefa URM wyznaczył swojego zaufanego podkomendnego gen. Michała Janiszewskiego, który został przełożonym Barbary Skrzypek.

Janiszewski zawodową służbę wojskową rozpoczął w 1950 r. Jako oficer łączności służył na strategicznym odcinku – w Węzle Łączności MON oraz Szefostwie Wojsk Łączności, a od 1963 r. w Sztapie Generalnym WP. W 1971 r. Janiszewski został zastępcą szefa Gabinetu Ministra Obrony Narodowej (gen. Wojciecha Jaruzelskiego), a rok później objął kierownictwo tej komórki. Do

Zaprzeczyła, by należała do PZPR, ZSMP i współpracowała ze służbami PRL.

Skrzypek mieszkała w tzw. Zatoce Czerwonych Świń, niegdyś elitarnym osiedlu na warszawskim Wilanowie, wybudowanym w latach 80. na zlecenie URM. Zamieszkiwali tam m.in. Jerzy Urban, Aleksander Kwaśniewski, Leszek Miller, Józef Oleksy, Janusz Zemke i Jerzy Szmajdziński. Sekretarka Kaczyńskiego twierdziła, że mieszkanie dostała jako członkini spółdzielni, a oprócz dygnitarzy mieszkali tam zwykli urzędnicy. Z Barbarą Skrzypek rozmawiałem około godziny. Potem

Pani Barbara, która przez prawie 10 lat pracowała dla peerelowskich dygnitarzy i znała tajemnice władzy, szybko stała się najbardziej zaufaną osobą Kaczyńskiego.



1981 r. kierował pracami kancelarii szefa MON. W czasie stanu wojennego Janiszewski wszedł w skład Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego.

W 2007 r., gdy rządziło PiS, a ministrem sprawiedliwości i prokuratorem generalnym był Zbigniew Ziobro, prokuratura IPN skierowała do sądu akt oskarżenia przeciwko autorom stanu wojennego, których określono jako „członków związku przestępczego, o charakterze zbrojnym, mającego na celu popełnianie przestępstw”. Było to najgłośniejsze śledztwo IPN, cieszące się zainteresowaniem mediów, a rozliczenie autorów stanu wojennego było wówczas jednym z postulatów PiS. Na ławie

oskarżonych zasiadło 10 osób, w tym generałowie Wojciech Jaruzelski, Florian Siwicki, Czesław Kiszczak i Tadeusz Tuzapski. Zabrakło tam jednak gen. Michała Janiszewskiego, bo zdaniem prokuratury nie żył, co było nieprawdą. Janiszewski zmarł, ale dopiero w 2016 r., czyli prawie 10 lat po wniesieniu aktu oskarżenia.

Jak to możliwe, że prokuratura pominęła w akcie oskarżenia Janiszewskiego, tego nie wyjaśniono. O tym, że Janiszewski żyje (mieszkał w resortowej willi w podwarszawskim Konstancinie), mówił w trakcie procesu gen. Wojciech Jaruzelski, ale sędziowie nie zareagowali. Jednym z tych sędziów był Piotr Schab,

ten sam, którego w 2018 r. Zbigniew Ziobro powołał na funkcję rzecznika dyscyplinarnego i który zastąpił ze stosowania represji wobec sędziów sprzeciwiających się upolitycznieniu wymiaru sprawiedliwości przez PiS.

W Kancelarii Prezydenta RP

Barbara Skrzypek, pracując w URM, przetrwała aż pięciu premierów. Oprócz Józefa Piłkowskiego i gen. Wojciecha Jaruzelskiego także: Zbigniewa Messnera, Mieczysława F. Rakowskiego i gen. Czesława Kiszczaka. Odeszła z pracy w URM 10 września 1989 r., kilkanaście dni po tym, jak premierem został Tadeusz Mazowiecki. Z pracą w URM pożegnał się wtedy również gen. Michał Janiszewski.

Po wyborze gen. Wojciecha Jaruzelskiego na prezydenta (lipiec 1989 r.) Janiszewski został szefem jego kancelarii. Do gmachu przy ul. Wiejskiej w Warszawie zabral ze sobą Barbarę Skrzypek.

22 grudnia 1990 r. Lech Wałęsa został zaprzysiężony na prezydenta, a siedem dni później Jarosław Kaczyński otrzymał powołanie na ministra stanu i szefa Kancelarii Prezydenta, zastępując na tym stanowisku ▶

PAN KAZIO

Barbara Skrzypek to niejedyna osoba z otoczenia gen. Michała Janiszewskiego, która odnalazła się w nowym ustroju po drugiej stronie barykady. Kazimierz Bartosik w latach 80. służył w elitarniej jednostce samochodowej WSW obsługującej najważniejszych ludzi ówczesnej władzy i był osobistym kierowcą Janiszewskiego. Za pierwszych rządów PiS Bartosik pojawił się u boku Antoniego Macierewicza. Został przyjęty do Służby Kontrwywiadu Wojskowego (SKW) w stopniu podoficera, choć jego jedynym zadaniem było wożenie naczelnego dekomunizatora i lustratora. W 2015 r. ponownie wypłynął jako kierowca u boku Macierewicza. Podobno dostał nawet awans na majora. Choć wszystkich funkcjonariuszy reżimu PRL dotknęła przygotowana przez PiS tzw. ustawa dezubekizacyjna redukująca do minimum ich emerytury, to Bartosikowi krzywdą się nie stała. Przypadek?

► Janiszewskiego. Kaczyński odziedziczył po generale kancelarię z dobrodziejstwem inwentarza, ale nie pozbył się całkiem peerelowskiego aparatu urzędniczego. Swoim zastępcą mianował Jerzego Breitkopfa, działacza PZPR, w latach 1978-1983 dyrektora Biura Prezydialnego Rady Państwa, a w latach 1984-1989 szefa Kancelarii Rady Państwa. Dyrektorem gabinetu szefa kancelarii został zaś Jerzy Polak, członek PZPR, absolwent studiów i kursów na Wieczorowym Uniwersytecie Marksizmu-Leninizmu w Moskwie.

Kaczyński pozostawił w kancelarii kilkudziesięciu urzędników „z komunistycznym rodowodem”. Także Barbarę Skrzypek, która musiała urzec

oficera SB, który przeszedł pozytywną weryfikację i został zatrudniony w Urzędzie Ochrony Państwa (UOP).

W jednym z raportów Lesiak napisał: „Największe zagrożenie dla struktur państwa ma działalność osób związanych z J. Kaczyńskim i A. Glapińskim”. PC „charakteryzuje się dużą skutecznością i bezwzględnością, budową struktur mafijnych, metodycznym i konsekwentnym osiąganiem zakładanych celów. Z dotychczasowego niepełnego rozpoznania operacyjnego w ramach sprawy FOZZ wynika, że osoby związane ze spółką Telegraf, (...) wykorzystując swoje wpływy (wysokie stanowiska w Kancelarii Prezydenta i w rządzie), uzyskiwały pieniądze od

Ta budowa infrastruktury gospodarczej polegała m.in. na przejęciu po likwidowanym koncernie prasowym RSW „Prasa-Książka-Ruch” poczytnej wówczas popołudniówki „Express Wieczorny”. Andrzej Smirnow, były towarzysz partyjny Kaczyńskiego z czasów PC i jeden z likwidatorów RSW, tak po latach wspominał w „Gazecie Wyborczej”: „Udział PC w podziale medialnego tortu nie dziwił ani nie oburzał. Teraz się nie pamięta, ale powstające po 1989 r. nowe prawicowe partie nie miały majątku, a to przecież warunek działania, utrzymania się na scenie politycznej. Nikt tego wtedy nie traktował jak rozdawnictwa”.

Udziałowczyni Srebrnej

Przejmując gazetę, Kaczyński stał się posiadaczem jej majątku – budynków w ścisłym centrum Warszawy wartych dzisiaj kilkadziesiąt milionów złotych. Tak powstała słynna spółka Srebrna (zarządza biurami pod adresami Aleje Jerozolimskie 127 i Srebrna 16), której Barbara Skrzypek wraz z synem Marcinem zostali symbolicznymi współwłaścicielami (razem mieli 3 z 5886 udziałów w spółce). Pani Barbara zasiadała też we władzach fundacji Instytutu im. Lecha Kaczyńskiego – głównego udziałowca Srebrnej, i była pełnomocniczką fundacji.

Związki ze Srebrną i Instytutem im. Lecha Kaczyńskiego przywiodły Skrzypek przed oblicze prokurator Ewy Wrzosek prowadzącej śledztwo w sprawie tzw. dwóch wież. Jarosław Kaczyński miał oszukać austriackiego

Pracując w URM, przetrwała aż pięciu premierów: Józefa Piłkowskiego, gen. Wojciecha Jaruzelskiego, Zbigniewa Messnera, Mieczysława F. Rakowskiego i gen. Czesława Kiszczaka.

przyszłego władcę Polski, bo ten po konflikcie z Lechem Wałęsą i odejściu z Kancelarii Prezydenta zatrudnił ją jako swoją asystentkę (najpierw w Fundacji Prasowej Solidarności, a potem w biurze poselskim), a w końcu mianował dyrektorką biura prezydialnego PiS w warszawskiej centrali przy Nowogrodzkiej, co mogło się wydawać szaleństwem. Ale Jarosław Kaczyński szaleńcem nie jest. Wszystkie decyzje podejmuje z wyrachowania i po dokładnej kalkulacji.

Zaufana Jarosława Kaczyńskiego

Barbara Skrzypek, która przez prawie 10 lat pracowała dla peerelowskich dygnitarzy i знаła tajemnice władzy, szybko stała się najbardziej zaufaną osobą Kaczyńskiego. Była przy nim, gdy ten tworzył PC i budował zaplecze biznesowe partii, której politycy współtworzyli gabinety Jana Krzysztofa Bieleckiego i Jana Olszewskiego. To wtedy głośno było o aferach FOZZ i Telegrafu oraz niejasnym finansowaniu PC przez ludzi związanych z komunistycznymi służbami specjalnymi i pezetpeerowską nomenklaturą. To wtedy powstały słynne raporty płk. Jana Lesiaka, byłego

bogatego przedsiębiorstwa, szantażując ich kierownictwa przeprowadzeniem czystki. W gminie Wola za koncesje, lokale itp. pobierane były opłaty na Porozumienie Centrum. (...) PC w ocenie szeregu wpływowych osób była partią o największych perspektywach. Partia ta bardzo dynamicznie budowała infrastrukturę gospodarczą mającą przynosić dochody, z których finansowana miała być jej działalność polityczna. (...) Odejście A. Glapińskiego z funkcji ministra współpracy gospodarczej z zagranicą ograniczyło możliwości jej kontynuowania”.

SŁUPY I FIGURANCI

Zaplecze gospodarcze PiS stanowi sieć powiązań spółek i fundacji, przez które w ciągu lat przewinęło się wiele osób – tych znanych i tych będących w cieniu wielkiej polityki. Tym, co je łączy, jest całkowita zależność od Jarosława Kaczyńskiego. Jacek Cieślowski należy do najbliższych współpracowników prezesa PiS. Na co dzień pracuje w centrali partii, gdzie m.in. nadzoruje flotę samochodową, a w przeszłości woził Kaczyńskiego, przez co przylgnął do niego miano kierowcy. Od 20 lat jest radnym PiS w Warszawie (niezbyt aktywnym). Jest też członkiem zarządu Srebrnej i prezesem spółki Geranium. Jacek Rudziński nazywany jest „cieniem prezesa” lub „łącznikiem prezesa ze światem”. Nie odstępował Kaczyńskiego na krok i pełni jednocześnie funkcje jego kierowcy, asystenta oraz ochroniarza. Zasiada w radzie nadzorczej spółki Forum (wydawcy m.in. „Gazety Polskiej” i „Gazety Polskiej Codziennie”) i jest prezesem zarządu spółki Rysy powiązanej z Forum, Srebrną oraz Instytutem im. Lecha Kaczyńskiego.



Barbara Skrzypek towarzyszyła Jarosławowi Kaczyńskiemu na gali nagrody Człowiek Roku Tygodnika „Wprost”, 1 lutego 2016 r.

biznesmena Geralda Birgfellnera, zlecając mu przygotowanie spektakularnej inwestycji i nie płacąc za wykonane usługi – chodziło o kwotę 1,3 mln euro. Kaczyński miał także przyjąć od Birgfellnera łapówkę – kopertę z 50 tys. zł, którą następnie wręczył ks. Rafałowi Sawiczowi, członkowi rady Instytutu im. Lecha Kaczyńskiego. Była to zapłata za podpis duchownego pod uchwałą dającą Srebrnej zielone światło na rozpoczęcie budowy.

Z odtajnionego przez prokuraturę protokołu zeznań Barbary Skrzypek wiemy, że była ona „zdeenerwowana”, bo, jak twierdziła, „pierwszy raz występuje w charakterze świadka”. Takie tłumaczenie wydaje się naciągane i raczej można domniemywać, że obawiała się, czy swoimi zeznaniami nie zaszkodzi prezesowi PiS.

Do prokuratury Skrzypek przysłała z mec. Krzysztofem Gotkowiczem, prawnikiem gdyńskiej kancelarii Gotkowicz, Kosmus, Kuczyński i Partnerzy obsługującej od lat PiS i Kaczyńskiego. Po co adwokat miał asystować Skrzypek w czasie jej zeznań, skoro ta była świadkiem, a nie podejrzaną? W protokole zapisano, że zdaniem pełnomocnika jego uczestnictwo „jest uzasadnione interesem świadka, szeroko interpretowanym, gdyż świadek był członkiem Rady Nadzorczej spółki Srebrna w okresie od roku 2005 do kwietnia 2020 r., co może świadczyć o konieczności obroby jej praw w postępowaniu karnym”.

Czyżby Skrzypek spodziewała się postawienia zarzutów? A może Gotkowicz miał ją instruować, co powiedzieć, aby nie wsadzić na minę prezesa PiS?

Skrzypek zeznawała w prokuraturze w środę 12 marca, a zmarła w sobotę 15 marca. Wbrew narracji powielanej przez polityków PiS i propisowskie media przesłuchanie przebiegało w spokojnej i kulturalnej atmosferze. Sekcja zwłok wykazała, że przyczyną zgonu był rozległy zawal serca. Wiadomo, że Jarosław

Wiadomo, że Jarosław Kaczyński rozmawiał ze Skrzypek po jej wizycie w prokuraturze. Prawdopodobnie również przed wizytą.

Kaczyński rozmawiał ze Skrzypek po jej wizycie w prokuraturze. Prawdopodobnie również przed wizytą. Prezes PiS twierdzi, że stan zdrowia jego współpracownicy pogorszył się po wyjściu z prokuratury. Jednak taki bieg zdarzeń wydaje się mało prawdopodobny, bo przecież Skrzypek jeszcze przed przesłuchaniem stwierdziła, że jest zdeenerwowana. Zdaniem Ryszarda Kalisza pogorszenie jej stanu zdrowia, które doprowadziło do śmierci, mogło nastąpić wskutek rozmowy z Jarosławem Kaczyńskim. Jeśli prezes PiS domaga się przeprowadzenia śledztwa w sprawie śmierci Skrzypek, to właśnie on powinien zostać przesłuchany w pierwszej kolejności, a śledczy powinni

zabezpieczyć billingi jego rozmów telefonicznych.

Ucho prezesa

Pani Barbara nie tylko miała bogatą wiedzę z czasów pracy w URM i tworzenia zaplecza gospodarczego PC, ale też była najbardziej zorientowana w tym, co się dzieje w PiS. To przez jej ręce przechodziły wszystkie pisma, skargi, prośby o interwencję i donosy kierowane do prezesa. Wiedziała, kto pod kim dołki kopie i przeciw komu knuje. Mówiono, że żadnego pisma nie przepuści, nawet takiego, co do którego można mieć wątpliwości, czy autorem była osoba zrównoważona psychicznie. Gdy z listu wynikało, że doszło do przestępstwa, pani Barbara kierowała go do odpowiednich służb, zachowując oczywiście kserokopię, która trafiała do segregatora. Nikt bez jej zgody nie mógł dostąpić zaszczytu spotkania z prezesem PiS. To od niej zależało, czy ktoś z Kaczyńskim się połączy lub umówi na spotkanie.

„W praktyce wygląda to tak, że na dole przy wejściu do siedziby partii jest wideofon. Więc Barbara Skrzypek nie tylko słyszy, ale i widzi, kto chce wejść. Jeżeli ktoś nie jest zapowiedziany, nie jest zapisany na spotkanie

w kalendarzu albo nie zaskarbił sobie sympatii pani Basi, może dzwonić i dzwonić. Jeśli jest cierpliwy, wystoi najwyżej tyle, że zejdzie do niego ktoś z ochrony. Przekaze, że można pisemnie albo telefonicznie spróbować zapisać się na spotkanie”, relacjonowała w 2019 r. „Polityka”.

Największym świętem na Nowogrodzkiej nie były wcale urodziny prezesa PiS, ale imieniny pani Basi. Co roku 4 grudnia od wczesnego rana do centrali PiS zjeżdżały kawalkady limuzyn z parlamentarzystami, ministrami, prezesami spółek, działaczami, a każdy dygnitarz miał ze sobą obowiązkowy zestaw: bukiet róż i bombonierkę.

Andrzej Sikorski

Silne kobiety i zagubieni mężczyźni

Jeśli chodzi o poziom praw kobiet i narrację polityczną, to się cofamy

Rozmawia
Kornel Wawrzyniak

Marzec kojarzony jest ze świętem kobiet. Jest co świętować?

– Jasne! Kobiecość! Lepiej przez cały rok, i to we wszystkich jej formach. To święto się zmienia – ciekawe, że nikt nie opisał jego historii. Dobrym przyczynkiem do tego było święto kobiet zorganizowane przez Marię Kaczyńską. Zaprosiła do Pałacu Prezydenckiego prawie setkę znanych pań, które bawiła Maria Czubaszek, ja miałam tam wygłosić poważną mowę o prawach kobiet. Nie chodzi jednak o to, co mówiłyśmy, tylko jak nas tam przyjęto. W dużej sali, która pamiętała jeszcze czasy świetności i elegancji Jolanty Kwaśniewskiej, ustawiono na stołach paluszki i termosy z lurowatą herbatą, biały cukier stał w jakichś prowizorycznych pojemnikach, a tradycyjne szklanki na spodeczkach...

Dość prześnie.

– Byłyśmy zniesmaczone. Na otwarcie spotkania z głośników usłyszałyśmy piosenkę „Za zdrowie pań” i do sali wtargnęli faceci w garniturach, dając każdej z nas goździk, pudełko z rajstopami i poprosili o pokwitowanie darów. Zrozumiałyśmy – Kaczyńska cofnęła nas w lata 70. Świetny pomysł. Kolejnym – na tym samym spotkaniu – była inicjatywa zbierania podpisów za prawem do aborcji. Pani prezydentowa też się podpisała, w związku z czym zaraz po uroczystościach



PROF. MAGDALENA ŚRODA

– filozofka, etyczka, feministka

ojciec Rydzik nazwał ją czarownicą. Czyż to nie piękny zestaw różnych elementów historii kobiecego święta w Polsce? Lata 70., te z trudem zdobywane rajstopy, zniechędzone goździki, a potem ograniczenie praw kobiet symbolizowane przez ustawę antyaborcyjną, no i szaleństwa polskiego katolicyzmu, przypominające XVI w., kiedy naprawdę palono tyśiące czarownic. Najpierw opresja komunistyczna, potem katolicka...

Aż taka zła była ta PRL?

– Przez wiele lat Dzień Kobiet traktowano jako rytuał. Jednak gdybym miała ważyć opresję kobiet pod komunizmem i pod katolicyzmem, orzekłabym, że ta druga jest znacznie większego formatu. Dziś temat PRL jest tabu, wolno tylko opluwać ten okres, a jednak pod względem praw kobiet był on niewiarygodnie postępowy, jeśli go porównać np. z sanacją czy z czasami katolików u władzy. Nie chodzi tylko o politykę socjalną, żłobki, przedszkola, opiekę zdrowotną dzieci, kolonie, ale również o otwarcie horyzontów. Nikt nie mówił małej dziewczynce, że musi być dobrą matką i żoną. Dziewczynki mogły wszystko. Mnie pani w przedszkolu tłumaczyła, że mogę i powinnam zostać kosmonautką. Nie chciałam, ale też nie było mowy o żadnej tradycyjnej roli.

Tymczasem polska dekomunizacja była zarazem deemancypacją. Głoszone przez Kościół hasło powrotu kobiet do tradycyjnych ról opłacało się państwu. Już premier Bielecki przestał łożyć na żłobki i przedszkola, szkolna opieka zdrowotna poszła do lamusa, podobnie jak wczasy zakładowe czy kolonie, młodzież szkolna przestała jeździć na wycieczki krajoznawcze, w zamian biorąc udział w pielgrzymkach. Nad Polską zapanował cień „pobożnego” biznesmena Rydzika (i jemu podobnych), wzmacniany zarówno przez każdą aktualną władzę, jak i Jana Pawła II.

Potem przyszedł okres transformacji. Emancypacja wtedy wyhamowała?

– Tak jak powiedziałam, to był okres deemancypacji i „ewangelizacji”, ale nie na modłę Jezusa, lecz na modłę Konstantyna; chodziło nie o miłość bliźniego, ale o władzę i mamonę. Kościół domagał się rządu dusz, by mieć pełną kieszę. I dostał ją. Władza oddała mu prawa kobiet, a potem nadała przeróżne przywileje ekonomiczne, w ogóle nie przejmując się tym, że stał się

W krajach takich jak Szwecja powiedzieć: „jestem feministą”, „jestem demokratą”, to jak powiedzieć dwa razy to samo. U nas na słowie feminizm ciąży pewien stereotyp związany z „obcością”, z czymś dziwnym, bo feministka to rzekomo kobieta, która nienawidzi mężczyzn, dzieci, rodziny... Choć w ostatnich latach, dzięki PiS, cała obcość feministki przeszła na inne byty (również

skorumpowana mafia, która nie dość, że okradała Polskę, to jeszcze odebrała połowie obywateli prawa – to też nie jest postęp.

W jakiej kondycji jest więc dziś równouprawnienie?

– Jeśli chodzi o poziom praw kobiet i polityczną narrację, to się cofamy. Bo w istocie takie prawo do aborcji mniej odnosi się do samej aborcji, a bardziej do stosunku państwa do kobiet. Jeśli traktuje ono kobiety jako osoby odpowiedzialne i pełnoprawne obywatelki, to oczywiście, że w takim państwie mogą one decydować o własnym ciele, własnym macierzyństwie itp. Jeśli państwo traktuje kobiety jako osoby niedorozwinięte, infantylne, nad którymi trzeba cały czas panować, bo inaczej – jak myśli wielu księży i posłów – kiedy tylko zajdą w ciążę, zaraz pobiegną dokonać aborcji – to znaczy, że coś jest w nim nie tak. Mówiąc prościej, nie jest ono demokratyczne.

O co jeszcze trzeba powalczyć?

– W ramach Kongresu Kobiet mamy ponad sto postulatów, których realizacja spowodowałaby pełną równość. Ale teraz walczymy o trzy

Transformacja to mały i średni biznes.

Jeśli Polska odniosła tu zwycięstwo, to dzięki kobietom, bo to one ten biznes dzierżyły w dłoniach.

on jedyną instytucją w demokracji, która nie jest poddana jakiegokolwiek kontroli: moralnej, prawnej, ekonomicznej. Poza tym transformacja to mały i średni biznes – jeśli Polska odniosła tu zwycięstwo, to dzięki kobietom, bo to one ten biznes dzierżyły w dłoniach. Lecz gdy przyszło do fetowania sukcesu transformacji, o kobietach zupełnie zapomniano; na wszystkich uroczystościach panowie wręczali sobie medale, a nieliczne panie zapraszane były jako widownia i tytułowane (w zaproszeniach) „Szanowny Panie”. Znów stałyśmy się niewidoczne. Strasznie to wściekło Henrykę Bochniarz i to ona postanowiła, że coś trzeba z tym zrobić. Tak powstał Kongres Kobiet.

Współczesna kobieta jest feministką?

– Każda z nas, która choć trochę zna historię kobiet, musi być feministką. Bo kto walczył o naszą dzisiejszą niezależność? Feministki. Każdy, kto choć trochę jest wrażliwy na to, że kobiety tylko z powodu swojej płci mają się gorzej w każdym społeczeństwie (mniej zarabiają, częściej są ofiarami przemocy, trudniej im niż mężczyznom godzić rolę zawodową z wychowawczymi), musi być feministą. Każdy, kto widzi, że kobiety są tam, gdzie nie ma władzy, pieniędzy i prestiżu, a mężczyźni (statystycznie) są po przeciwnej stronie – musi być feministą. Każdy/każda, kto jest demokratą/demokratką, jest zarazem feministą, bo demokracja to wszak nie tylko wolność niektórych, ale równość wszystkich.

zagrożające mężczyznom, rodzinie, naszym dzieciom) – na uchodźców, osoby LGBT czy po prostu na bardzo straszne gender.

Czy przez taki populistyczny język polityki demokratyczne dążenie do równości nie jest utrudnione?

– I to jak! Mamy dziś do czynienia z czymś, co w Ameryce nazywa się *backlash*, a ja nazywam to „cofka”, czyli marzeniem o powrocie do minionego raju, gdzie mężczyzna panował nad kobietą, biały nad

Mężczyźni są statystycznie znacznie gorzej wykształceni, więcej piją, nie dbają o swoje zdrowie, krócej żyją i są nastawieni na prywatne ambicje.

czarnym i człowiek nad przyrodą bez jakichś tam ekologizmów. Od kandydata Nawrockiego usłyszeliśmy ostatnio, że mamy dwie „pucie”, co jest bardzo uproszczoną wersją tego marzenia, a jednocześnie deklaracją, że Polska będzie nie mniej barbarzyńska niż USA pod rządami Trumpa, to znaczy, że będzie równie prymitywna, nietolerancyjna... Taka na miarę „snów białego człowieka”, to znaczy mężczyzny, który dziś jest w panice, że odbierze mu się władzę nad światem.

Cofamy się?

– Tak. Jeśli największy demokratyczny kraj na świecie wybiera sobie na prezydenta prostaka, przestępcę i dyktatora, to nie jest to postęp. Jeżeli w Polsce przez osiem lat rządziła

ustawy. Pierwsza dotyczy równych płac kobiet i mężczyzn (ta sama płaca za tę samą pracę). Druga dotyczy dyrektywy europejskiej „Women On Boards”, gdzie postuluje się, aby 40% kobiet zasiadało w zarządach, co przyniesie większą decyzyjność kobiet, większe zarobki i inną politykę firm. Trzecia ustawa dotyczy parytetów na listach wyborczych. Nie kwot, które mamy (35% każdej z płci), ale parytetu (50%), i to systemem „suwaka” (kobieta, mężczyzna, kobieta). Parlament ma odzwierciedlać społeczeństwo. Kobiety różnią się od mężczyzn (wszak są dwie „pucie”, co przyznają konserwatyści) i nie ma powodu, żeby jedna z nich ciągle reprezentowała drugą, skoro każda z nich ma inne ▶

► potrzeby, inne interesy, a nawet wartości.

Temat parytetów zawsze spotyka się z ogromnym oporem lub jest przedmiotem żartów.

– Dla ignorantów. Ale ignorantów sporo rzeczy cieszy, np. przywództwo Trumpa. Kiedy wprowadzałyśmy ustawę kwotową, wedle której na listach wyborczych miało być uwzględnianych 35% kobiet, też pojawiały się głosy, że to bez sensu, bo chodzi o płeć, a nie kwalifikacje. A jakież to kwalifikacje ma przykładowo taki poseł Matecki i setka innych, jak nie takie, że kumple wprowadzili ich na listy wyborcze? Więcej

że w polityce wygrywa nie ten, kto ma rację, ale ten, kto zna odpowiednie chwytły retoryczne. Teraz problemem jest chamstwo, zanik kultury osobistej, a nawet więcej – promocja prostactwa. A przecież norm grzeczności i towarzyskiej oglądy uczymy się już ponad 600 lat. Ostatnim etapem w rozwoju tej cywilizacyjnej oglądy były zasady poprawności politycznej, bo oprócz wyrządzania krzywdy fizycznej czy psychicznej można jeszcze krzywdzić słowem. Normy poprawności politycznej odnosiły się do stereotypów krzywdzących mniejszości. Ten językowy element

Straszy się wszystkim, co kojarzy się z postępowaniem i równością. I co narusza patriarchalną kulturę opartą na hierarchii.

niż trzy czwarte mężczyzn jest w parlamencie wyłącznie z powodu płci, a nie kompetencji.

W odpowiedzi usłyszy pani, że wciągnięcie 50% kobiet na listy jest niemalże identyczną praktyką.

– Jakbyśmy wzięły z ulicy 50 przypadkowych kobiet i 50 przypadkowych mężczyzn, to okaże się – statystycznie – że kobiety są znacznie lepiej wykształcone, bardziej dbają o swoje zdrowie, dłużej żyją, piją mniej alkoholu i – co bardzo istotne – są silniej nastawione na współpracę. Nie słyszałam nigdy o politycznych mafiach kobiet, tak jak słyszę o mafijnej działalności PiS, gdzie co prawda kobiety są, ale głównie w rolach „żołnierek” posłusznych szefowi. Tymczasem mężczyźni są statystycznie znacznie gorzej wykształceni, więcej piją, nie dbają o swoje zdrowie, krócej żyją i są nastawieni na prywatne ambicje. Wygląda więc na to, że nawet gdybyśmy mieli ten parytet zapłacić wyłącznie przypadkowymi osobami, to i tak się to opłaca dla dobra społecznego, by w parlamencie było więcej kobiet.

Patrząc na poziom debaty publicznej, można zaryzykować tezę, że racjonalność przegrywa z chamstwem?

– Racjonalność przegrała dawno temu. Zresztą już Grecy wiedzieli,

grzeczności nie ma nic wspólnego z cenzurą, przeciwnie, on wręcz rozwija wyobraźnię, bo uczy szukania nowych określeń.

Dlaczego więc straszy się poprawnością polityczną?

– Bo straszy się wszystkim, co się kojarzy z postępowaniem i równością. I co narusza patriarchalną kulturę opartą na hierarchii. Bo niby dlaczego „prawdziwy mężczyzna” nie może pośmiać się z blondynki, nie powzywać złodzieja od Cyganów i nie upokorzyć „czarnucha”? Ten zakaz jakoś odbiera władzę białym mężczyznom. Choćby takiemu Ryszardowi Legutce, jednemu z ideologów PiS, wyszczególniającemu w książce pod zmiennym tytułem „Nie lubię tolerancji” ekologów, feministki, ruchy LGBT, w których służbie „pracuje” poprawność polityczna. Dziś polityka w ogóle stała się „legutkowa” i punkty zdobywają w niej ludzie, których chamstwo ich zwolennicy nazywają „autentycznością”, „spontanicznością”, „szczerością” – choć to zwykły brak manier.

Jakie są tego przyczyny?

– Mediatyzacja życia politycznego: toczy się ono de facto w mediach, które gardzą argumentacją i domagają się oryginalności wypowiedzi. A najbardziej oryginalne jest to, co populistyczne. Media nie zwracają uwagi na kompetencje,

kulturę osobistą czy spójność racji, „gość” musi zaistnieć, oglądalność musi wzrosnąć. Z tego jednak rozliczani są dziennikarze i wydawcy. Kompetencje i racjonalność to przeszkoda w robieniu kariery. Zdarzają się jeszcze telewizje, głównie zagraniczne, gdzie rozmawia się na ważne społecznie tematy bez tego całego show. Są programy, do których przychodzi kilku ekspertów i przez bitą godzinę wymieniają się kulturalnie argumentami. Jako odbiorczynie mogą sobie wtedy wyrobić zdanie, czegoś się dowiedzieć o danym problemie. Oglądając naszą telewizję czy rzucając okiem na media społecznościowe, mogą sobie co najwyżej wyrobić opinię o czyichś zdolnościach retorycznych.

A co pani powie na takie stwierdzenie: silna, niezależna... konserwatystka.

– Co z nią?

Nie ma tu sprzeczności?

– Konserwatystki mogą być bardzo silne, np. kasą swojego męża lub wsparciem swojego szefa. Mogą też czuć się silne, ponieważ wypełniają powołanie, do którego zostały wezwane przez samego Pana Boga. Gorzej w polityce: konserwatystka, która siedzi na sali sejmowej i o coś walczy, klóci się z obrazem, który powinna reprezentować jako konserwatystka, a mianowicie żony i matki – a więc nie Sejm, lecz żelazko, przygotowanie posiłków dla dzieci i utrudzonego pracą męża... Ale tak na serio. W postawach konserwatywnych kobiet najbardziej razi mnie brak pamięci. Weźmy choćby Beatę Szydło. Nie została premierką dlatego, że pozwoliła jej na to prezes Kaczyński. Gdyby nie sufrażystki i feministki w ogóle nie mogłaby opuścić swojego domostwa i swoich kur. Tylko dzięki ruchom feministycznym weszła do sfery publicznej i osiągnęła pozycję. I trzeba pamiętać, że kobiety, które wywalczyły nasze prawa, były wyśmiewane, wykluczane, torturowane, siedziały w więzieniach, ginęły, byśmy mogły być niezależne i np. służyć dobrowolnie, a nie z przymusu jakiemuś mężczyźnie. Jak Szydło Kaczyńskiemu. Konserwatystki, które tak bardzo przywiązane są do tradycji i historii, jakoś nie zauważają, że w naszych

podręcznikach w ogóle nie ma kobiet ani historii emancypacji, a przecież to ona je wyniosła z kuchni do świata.

Jest teraz taka moda na tzw. *trad wife* (ang. tradycyjna żona).

– Tak, znam zjawisko. Dość kuriozalne, ale sporo jest rzeczy kuriozalnych w ludzkich wyborach. Jeśli ktoś wybiera służbę rodzinie i nieodpłatną pracę na rzecz mężczyzny – i nie jest do tego przymuszony – nie ma sprawy. Problem powstanie, gdy pan, któremu służy, znajdzie sobie inną, zachoruje lub umrze, nie pozostawiając jej środków do życia. Poznałam

do życia, a ona bez żadnych kwalifikacji, w wieku „pozarynkowym”, bezskutecznie szukała możliwości jakiegoś zarobku. I wtedy to ona mówiła mi, że niezależność finansowa jest najważniejsza, żadne tam tradycyjne role...

Czas skończyć ze stereotypami?

– Między innymi z tymi dotyczącymi mężczyzn.

Dlaczego?

– Bo są one nośnikami sprzeczności. Jak pokazują badania nad męskością, kobiety wymagają od swoich mężczyzn, by z jednej strony

jeszcze się nie ukształtowała, nie dopasowała do „nowej kobiecości”. Kobiety od stu lat porzucają swoje tradycyjne role i rozmawiają o nowych tożsamościach (temu służyła tzw. druga fala feminizmu). Mężczyźni pozostali mentalnie w miejscu jako wodzowie, kapłani, szefowie, ojcowie czy tzw. piąte koło u wozu, czyli żywicieli rodziny.

Pojawia się tęsknota za „czasami, kiedy wszystko było prostsze”?

– Prostsze, bo patriarchalne. Cu-downie było mieć żonę, taką tradycyjną, która ugotuje, posprząta, urodzi, uprasuje, w nic się nie będzie wtrącała, tylko pachniała. Sama chciałabym taką mieć. Napisałabym bym wtedy dwa razy więcej książek. Wiele czuje nostalgię za takim pełnym patriarchalizmem i to jest po części przyczyną backlashu, o którym wspominaliśmy wcześniej. Ale powrotu do przeszłości nie będzie, patriarchat cieżnie.

Mężczyźni pozostali mentalnie w miejscu, jako wodzowie, kapłani, szefowie, ojcowie czy tzw. piąte koło u wozu, czyli żywicieli rodziny.

kiedyś pewną panią w programie Pospieszalskiego, która z niekłamną radością opowiadała o urokach życia rodzinnego, pięknie wychowywania dzieci, gotowania, sprzątanía, które wypełniało jej udaną codzienność. Spotkałam ją po latach. Mąż zostawił ją z trójką dzieci, bez środków

byli partnerscy, pełni troski, zajmowali się domem, wychowywali dzieci, a z drugiej – by byli macho, świetnie zarabiali i troszczyli się o wszystko. Z męskością dziś w ogóle mamy problem, bo w obliczu wielkiej rewolucji, którą wywołało wejście kobiet na rynki pracy, ona

Kornel Wawrzyniak

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl



Ekipa oGROMnej Pomocy to ludzie pełni empatii, życzliwości, z miłością na dłoni, którzy swoją energię, czas i pozytywne nastawienie oddają poprzez pomoc dzieciom nieuleczalnie chorym, zwłaszcza małym pacjentom onkologicznym.

Kreatywność oraz chęć pomocy zaowocowały wieloma projektami, które już zostały zrealizowane, a kolejne są w trakcie realizacji.

Pod swoimi ogromnymi skrzydłami mają szczególne miejsce dla dzieci chorych na guza pnia mózgu typu DIPG, stając się tym samym buforem pomiędzy światem zewnętrznym a rodziną chorego dziecka.

Doświadczenie oraz osobiste przeżycia wolontariuszy oGROMnej Pomocy pomagają zrozumieć jakże trudną walkę o dziecko. Oprócz wsparcia emocjonalnego tworzą oni także projekty, które mają na celu pomoc i wsparcie Małych Wojowników.

Więcej o Fundacji można przeczytać na FB.



Wesprzyj nas

31 1240 5862 1111 0011 1036 2615

Tytułem: **DAROWIZNA**

Żelazny elektorat to mit

Polscy wyborcy nie są wierni. Czekają na dobre propozycje

Robert Walenciak

Do pierwszej tury wyborów prezydenckich pozostało kilka tygodni. Wszechobecne sondaże rysują coraz ciekawszą sytuację. Wiąże się ona z coraz lepszymi notowaniami Konfederacji i – przede wszystkim – ze słabnięciem Nawrockiego, a wzrostem siły Mentzena.

Przyjrzyjmy się paru ostatnim sondażom. Nawrocki ma w nich poparcie na poziomie 20%. Jest ono zatem dużo niższe niż partii, która go wystawiła. Dlaczego tak się dzieje? Sondaże kłamią? A może na naszych oczach tworzy się nowa tendencja – elektorat PiS, przynajmniej istotna jego część, wypowiada posłuszeństwo Kaczyńskiemu i nie chce głosować na kandydata wskazanego przez prezesa? Czy żelazny elektorat PiS pęka?

Jeżeli tak i tendencja ta jest trwała, mielibyśmy wielki przełom. Potłowa publicystów politycznych musiałaby zjeść swoje, pisane latami, analizy. Przyjmowały one w ciemno, że Kaczyński ma swój zabetonowany elektorat, nie do ruszenia. Że choćby nie wiem co się działo, jego wyborcy i tak uwierzą we wszystko, co prezes powie, nawet że białe jest czarne, i karnie pójdą do urn. Tak było przez lata, przynajmniej od wyborów prezydenckich w 2005 r.

A teraz? Teraz ta konstrukcja, jeśli jeszcze się nie rozpada, to w każdym razie mocno trzeszczy.

Składa się na to kilka elementów. Zaczniemy od kandydata na prezydenta, czyli Karola Nawrockiego. Po kilkunastu tygodniach kampanii wiemy już na pewno, że nie jest wartością dodaną. Przeciwnie – sztamowy, sztywny, klepie wyuczone



Wyborcy wynoszą polityków do góry, ale to politycy tych wyborców zdobywają, przekonują do siebie, przytrzymują.

frazy kiepską polszczyzną, regularnie się myląc. W zasadzie im więcej występuje, tym gorzej mu idzie. Ani wiedzą, ani inteligencją nie porywa, słuchamy go i zastanawiamy się, dlaczego Kaczyński go wybrał. Przecież miał w PiS kilkunastu, ba, kilkudziesięciu lepszych!

Może prezes uznał, że do drugiej tury wejdzie każdy z nalepką PiS, a potem będzie już plebiscyt: jesteś przeciw rządowi Tuska czy za? Czy nie była to jednak zbyt ryzykowna kalkulacja?

Historia III RP pokazuje, że kandydaci na prezydenta nie są sklejeni z elektoratem popierających ich partii. Aleksander Kwaśniewski zdecydowanie wychodził poza elektorat lewicy. W 2005 r. zdecydowanie poza ówczesny elektorat PiS wyszedł

Lech Kaczyński. Wyniki wyborcze i Kwaśniewskiego, i Lecha Kaczyńskiego były podwalinami potęg ich formacji. Ba, w roku 2000 Andrzej Olechowski, startujący jako kandydat pozapartyjny, obywatelski, zdobył 17% głosów, wyprzedzając Mariana Krzaklewskiego (15,5%). Ten wynik okazał się wielkim kapitałem politycznym, bo Olechowski na jego bazie razem z Donaldem Tuskiem i Maciejem Płażyńskim powołał do życia Platformę Obywatelską.

Z kolei źle dobrany kandydat może utopić formację. Na pewno fatalny wynik Krzaklewskiego w 2000 r. przyczynił się do upadku AWS. Innym spektakularnym przykładem był wynik Magdaleny Ogórek. W 2015 r. wysunął ją jako kandydatkę na prezydenta Leszek Miller. Ogórek uzyskała

2,38% głosów, co wprowadziło SLD w korkociąg, z którego ta partia już się nie wydostała...

Jeżeli jesteśmy przy SLD – w 2005 r. Sojusz zdołał się obronić przed upadkiem i w wyborach do Sejmu uzyskał 11,31% głosów. Sondaże dawały mu... 6%, ale kandydatura Włodzimierza Cimoszewicza w wyborach prezydenckich pozwalała na realne nadzieje, że SLD wskoczy na wyższy, 20-procentowy poziom. Że się odbuduje. Bo w sondażach kandydat Sojuszu notował grubo ponad 20% poparcia. Cóż, mieliśmy kłamstwa pani Jaruckiej, sfałszowane dokumenty, bezpieczniacką intrygę, wściekły atak oddanych Tuskowi mediów – i Cimoszewicz z wyborów się wycofał. Zostawiając swoją formację na lodzie. Konsekwencje tamtych decyzji ponosimy do dziś.

Dobór kandydata, który będzie wartością dodaną, który będzie przyciągał, a nie zniechęcał, jest więc politycznym ABC. Kaczyński o tym zapomniał?

Ale jest i drugi element osłabiający wpływ PiS. Bo owszem, widzimy, jak Platformę zużywa rządzenie, jest zbyt dużo słabych ogniów. Ale PiS również się zużywa. Bo nie rządzi. Bo historyzuje. Bo osłabiają go kolejne oskarżenia o złodziejstwo, z którymi Kaczyński nie potrafi dać sobie rady. Choć na różne sposoby próbuje. Szedł już w zaparte, wołał, że zarzuty mało znaczące, że to zemsta Tuska. W grze były też oskarżenia rządzących o tortury, o zamach stanu – wszelkie sposoby podgrzewania atmosfery. Gra na najwyższej nucie. Tak jak histeria związana ze śmiercią wieloletniej sekretarki Kaczyńskiego, pani Barbary Skrzypek. Tylko że to wszystko z punktu widzenia PiS słabo działa.

Owszem, najbardziej zawzięta część jego elektoratu nie przejmuje się zarzutami prokuratury. Ale dla wielu wyborców one coś znaczą. Od momentu powstania PiS budowało swoje poparcie jako partia, która chce walczyć z patologiami, ze złodziejstwem, z okradaniem państwa. Tych, którzy te hasła brali na poważnie, informacje na temat pi-sowskich przekrętów gorszą i zniechęcają. PiS jest dziś partią brudną.

Jednak gdyby nie element trzeci, prawicowi wyborcy pewnie dalej głosowaliby na partię Jarosława Kaczyńskiego. Tym elementem jest pojawienie się alternatywy, czyli Konfederacji i Mentzena. Na nich prawicowy wyborca może teraz oddać głos. Są wystarczająco daleko od PiS, nie rządzą, więc nie można im zarzucać żadnych przekrętów. A przy tym są wystarczająco blisko PiS, by prawicowy wyborca, ten nieznośny Platformy, mógł na nich przetrzeć swój głos.

PiS jest dziś partią brudną.

Czy tak się dzieje? Jeśli ktoś obserwuje kampanię, spotkania wyborcze, wiece – skłonny będzie potwierdzić. Zwłaszcza że Mentzen jest sprawniejszy od Nawrockiego, bardziej dynamiczny, lepiej mówi. No i zbiera głosy młodych. W grupie wyborców do lat 40 Konfederacja bije PiS na głowę.

To element kluczowy. Mentzen próbuje bowiem zebrać wokół siebie szeroką koalicję: swoich tradycyjnych wyborców, wyborców PiS szukających kogoś nieskompromitowanego i wyborców antyestablishmentowych (uwaga! – w 2015 r. Paweł Kukiz zdobył 20% głosów!),

Pierwszą ofiarą wiary w żelazne elektoraty był SLD. Liderzy tej partii uwierzyli w opowieści prof. Mirosławy Grabowskiej o podziale postkomunistycznym, według którego Polska trwale dzieli się na dwa elektoraty – postkomunistyczny i post-solidarnościowy. Wyciągnęli z tego takie wnioski, że swoich wyborców mają na zawsze...

SLD miał 41% głosów w wyborach z 2001 r. A w 2005 r. – 11,3%. I tak już w zasadzie zostało, tendencja spadkowa się utrzymała – w tej chwili Nowa Lewica ma w sondażach 4,6% poparcia. Twierdzą SLD padły jedna po drugiej. Województwo świętokrzyskie, na które Sojusz mógł liczyć jak na Zawiszę, dziś jest województwem PiS. Szybko poszło. Nieżyjąca już Małgorzata Winiarczyk-Kossakowska, posłanka ze Świętokrzyskiego, opowiadała, jak to lokalni działacze, wójtowie, wszyscy związani z SLD, a wcześniej z PZPR, którzy pomagali jej w kampanii, przeszli pod skrzydła PiS.

Inny bastion – województwo kujawsko-pomorskie. Tu w roku 2001 SLD otrzymało 48% głosów, w roku 2005 – 18,5%, a dziś jest pod progiem, w wyborach z 2023 r. – 4,6%. Lewica więc zniknęła.

Wcześniej zniknęła AWS, której wróżono, że będzie główną siłą prawicy i będzie się wymieniała władzą

Historia III RP dowodzi, że nie ma żelaznych elektoratów i wyborcy bez skrupułów porzucają partie, na które głosowali.

no i buduje nowy podział, tym razem pokoleniowy – po jednej stronie „stare” partie, PO i PiS, po drugiej nowa siła, która nie chce żyć ciągnącą się przez dziesięciolecia wojną Kaczyński-Tusk i lepiej rozumie dzisiejszy świat.

Czy to się uda? Przekonamy się już za parę tygodni. W każdym razie pęknięcie PiS jest realne.

•

Nie będzie to zresztą niczym nadzwyczajnym. Historia III RP dowodzi, że nie ma żelaznych elektoratów i wyborcy bez skrupułów porzucają partie, na które głosowali.

z SLD. Na jej politycznych zwłokach do Sejmu w 2001 r. dostały się nowe partie: PiS (wtedy otrzymało 9,5% poparcia) i PO (12,6%). I proszę, jak się rozwinęły! Cztery lata później PiS miało prawie 27% głosów, a PO – ponad 24%. A potem było jeszcze lepiej. Choć, pamiętajmy, były takie miesiące, kiedy wydawało się, że Platforma Obywatelska straci pozycję wielkiej partii i spadnie do drugiej ligi.

Tak było w 2016 r., gdy swój najlepszy czas miał Ryszard Petru z Nowoczesną. Gwoli przypomnienia: w wyborach w 2015 r. Platforma

► dostała 24,1% głosów, a Nowoczesna – 7,6%. Ale później mieliśmy sejmowy rollercoaster. I oto w sondażach w roku 2016 Nowoczesna notowała średnie poparcie na poziomie 23%, a PO – ledwie 16%. Spekulowano zatem, że ta mijanka oznacza nowy układ sił. Ostatecznie struktury partyjne zwyciężyły, Nowoczesna po kolejnych zakrętach została wchłonięta przez PO.

Twierdże SLD padły jedna po drugiej. Świętokrzyskie, na które Sojusz mógł liczyć jak na Zawiszę, dziś jest województwem PiS.

Nawiasem mówiąc, epizod z Nowoczesną chętnie w PiS przypominają. Z intencją, że podobnie będzie na prawicy: dziś jest czas, że Konfederacja idzie w górę, a jak się wyszumi, utuczy, to zostanie przez Prawo i Sprawiedliwość skonsumowana.

Innym zakrętem w historii Platformy była pierwsza połowa 2021 r., gdy po odejściu Grzegorza Schetyny kierował partią Borys Budka. Wtedy PO była w sondażach na trzecim miejscu. I wyglądało to fatalnie. Na przykład w sondażu CBOS w maju 2021 r. PiS miało poparcie na poziomie 33%, PO – 11% (!), a drugą siłą była Polska 2050 Szymona Hołowni z 18-procentowym poparciem. Uznając, że CBOS grało w tamtym czasie nieczysto, faworyzując PiS i odbierając poparcie PO, i tak wynik był dla Platformy dotujący, a nic nie zapowiadało, że będzie lepszy. Szczególnie że jej wyborcy mieli wybór – Polskę 2050 i Szymona Hołownię!

Ta tendencja jednak szybko się odwróciła. W maju 2021 r. do polskiej polityki powrócił Donald Tusk. I najpierw odmienił PO, potem – scenę polityczną (biedny Szymon Hołownia), a potem wygrał wybory.

Te historie pokazują więc, że nie ma w Polsce żelaznych elektoratów. Że, owszem, wyborcy mają swoje poglądy, ale nie są one czymś stałym. Ewoluuja, bo sytuacja, i sama Polska, się zmienia. Poza tym wyborcy nie darzą ślepą miłością tych lub innych polityków, raczej poszu-

kują takich, którym mogliby zaufać. Mamy zatem ruch w dwie strony: to wyborcy wynoszą do góry polityków, ale to politycy tych wyborców zdobywają, przekonują do siebie, przytrzymują.

Spójrzmy na ich drogi polityczne. Jarosław Kaczyński zaczynał u boku Lecha Wałęsy jako jego najwierniejszy współpracownik. Jego pierwsza partia, Porozumienie

Centrum, szukała wyborców w centrum, w pewnej odległości od Kościoła. Dziś PiS znajduje się blisko Kościoła, jest partią ludową, żywiącą się wyborcami Ligi Polskich Rodzin, Samoobrony i AWS.

A Donald Tusk? Był liberałem, był mocno prawicowy, a nawet bliski lewicy. Był chyba wszędzie. Wszędzie tam, gdzie widział polityczny zysk. Innymi słowy, to talent polityka i dobrze dobrana „narracja” decyduje o porażce czy sukcesie. Obserwujemy to przecież każdego dnia.

Najprostszym sposobem jest wojna – i z niej, z konfliktu PO kontra PiS, Kaczyński i Tusk stworzyli sobie polityczne perpetuum

I jeżeli dzisiaj mówimy o politycznym obumieraniu lewicy, to nie bierze się ono znikąd, tylko z tego, że partia Włodzimierza Czarzastego efektownie milczy w sprawach dla wyborców lewicy ważnych. Lub zachowuje się wobec nich niepoważnie: wobec kobiet, wobec własnej historii, wobec środowisk ludzi nauki. Jej przedstawiciele tłumaczyli to tym, że chcą pozyskiwać nowych wyborców, zwłaszcza młodzież. Tylko że nic z tego nie wyszło.

Oto więc kolejny przykład na potwierdzenie tezy, że żelaznych elektoratów nie ma. Że wyborcy, rozczarowani „swoimi” partiami, albo idą do innych, albo zapominają o sprawach, które kiedyś uważali za najważniejsze, i inne rzeczy zaprzątają im głowę. W ten sposób rozmył się elektorat postpezetpeerowski. To potwierdza też tezę, że o swoich wyborców należy dbać. I słowem, i czynem. Tak jak dbało PiS za swoich rządów – schlebując sprzyjającym mu środowiskom i pilnując transferów socjalnych do tych grup, co nazywało się polityką godności.

Ostatecznie zatem decydują talenty polityków. Tusk ma pokój pełen skalpów rywali, których ograł: Płażyńskiego, Olechowskiego, Rokity, Petru, Hołowni. Podobnie Kaczyński. Choć teraz ma przed sobą kolejny bój. Sam go sprowokował tą nieśczęsną kandydaturą Nawrockiego.

O swoich wyborców należy dbać. I słowem, i czynem. Tak jak dbało PiS, schlebując sprzyjającym mu środowiskom i pilnując transferów socjalnych do tych grup, co nazywało się polityką godności.

mobile. Ale przecież nie tylko oni. W najnowszej historii lewicy był czas, kiedy w Sejmie rywalizowały kierowany przez Leszka Millera SLD oraz ugrupowanie Janusza Palikota. I wydawało się, że obie siły walczą o ten sam elektorat. Niekoniecznie! Bo w czasie gdy konflikt tych partii był najmocniejszy, obydwie notowały wzrost poparcia w sondażach. Bo przyciągały uwagę, bo awantura potrafiła przekonać część wyborców do lewicowych spraw.

Próbuje mobilizować struktury, wykorzystuje śmierć biednej Barbary Skrzypek, straszy Niemcami... Ale czy wygra ten bój z kolejnymi czyhającymi na jego pozycję młodymi i ambitnymi politykami? A właściwie sztylciarzami, bo przecież oni nie chcą układać się z Kaczyńskim, tylko mają apetyt na jego miejsce.

Polityko, trwaj...

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Po której stronie łóżka śpi cudzoziemiec?

Przyznanie polskiego obywatelstwa nie jest zadaniem prostym, zwłaszcza że obcokrajowcy czasami chcą iść na skróty

Marek Książek

– Jeśli mamy wątpliwości, staramy się zweryfikować to, co we wniosku napisał cudzoziemiec, i nawet sprawdzamy na miejscu – mówi Maria Rochowicz, dyrektor Wydziału Spraw Obywatelskich i Cudzoziemców Warmińsko-Mazurskiego Urzędu Wojewódzkiego w Olsztynie. Wydział formalnie dzieli się na dwa oddziały, którymi kierują Beata Mamińska-Pietrzak (sprawy obywatelskie) i Agnieszka Wilkowska-Kłócek (legalizacja pobytu cudzoziemców). Zajmują się sprawami przybyszów z innych krajów, którzy starają się w Polsce o karty czasowego lub stałego pobytu, a w następnej kolejności – o uznanie ich za obywateli polskich, jeżeli o taki status wystąpią do wojewody.

Przywilej prezydenta

Jest i druga, prostsza ścieżka wiodąca do celu – nadanie obywatelstwa przez prezydenta RP. Tak się dzieje chociażby w przypadku zagranicznego sportowca, który związał się kontraktem z polskim klubem i szkoleniowcy chcą go powołać do reprezentacji kraju. Prezydent ma ten przywilej, że może nadać mu obywatelstwo, nawet jeśli kandydat na Polaka nie mieszka nad Wisłą, Odrą czy Łyną i słabo mówi po polsku. Čwierć wieku temu obywatelstwo zgodnie z taką procedurą uzyskał nigeryjski piłkarz Emmanuel Olisadebe. Natomiast całkiem niezłe w naszym



Ostatnio prezydenckie obywatelstwo otrzymał Jesse Eisenberg, amerykański aktor i reżyser o polskich korzeniach, twórca nakręconego w naszym kraju filmu „Prawdziwy ból”.

języku mówi kubański siatkarz Wilfredo León, który ożenił się z Polką, dekadę temu dostał polski paszport i grał w zespole, który w Paryżu zdobył dla naszego kraju srebrny medal olimpijski. Ostatnio takie prezydenckie obywatelstwo otrzymał także Jesse Eisenberg, amerykański aktor i reżyser o polskich korzeniach, twórca nakręconego w naszym kraju filmu „Prawdziwy ból”.

Prezydent nie jest związany żadnymi warunkami i może nadać polskie obywatelstwo każdemu

cudzoziemcowi uznaniowo, oczywiście na jego wniosek i po sprawdzeniu kandydata przez nasze służby. Potem akt nadania obywatelstwa obcokrajowiec zwykle odbiera od danego wojewody, tak jak zrobiły to dwie osoby z Białorusi (z dzieckiem) 6 marca br. w Olsztynie. Tego dnia wojewoda warmińsko-mazurski Radosław Król wręczył takie akty w sumie 11 cudzoziemcom, z których większość musiała jednak przejść procedurę nie nadania obywatelstwa, lecz ▶

- uznania obcokrajowca za obywatela polskiego.

Fikcyjne małżeństwa

Przepisy mówią, że o ten status mogą się ubiegać cudzoziemcy zamieszkujący w Polsce na podstawie określonych zezwoleń, którzy w toku długoletniego, legalnego pobytu

w godz. 6-22, i to bez zapowiedzi) nieraz wychodzi na jaw, że sytuacja jest daleka od deklarowanej. Na pytanie, po której stronie łóżka śpi cudzoziemski partner, pani domu odpowiada np., że po prawej, a on – że po lewej. Nie wiedzą, jakiej pasty do zębów używa partner, co robił w ostatnim tygodniu, koleżanki kobiety nie widują jej męża miesiącami.

Pobyt stały można uzyskać po trzech latach małżeństwa z obywatelem lub obywatelką Polski i po dwóch latach wspólnego nieprzerwanego pobytu czasowego, a z tym bywa różnie.

w naszym kraju zintegrowali się ze społeczeństwem polskim, znają język, mają zapewnione mieszkanie i źródła utrzymania, respektują polski porządek prawny oraz nie stanowią zagrożenia dla obronności lub bezpieczeństwa państwa, a w szczególności: uchodźcy, osoby bez obywatelstwa, dzieci oraz małżonkowie obywateli polskich i osoby polskiego pochodzenia. W praktyce oznacza to, że najpierw kandydat na obywatela musi przebywać w Polsce na podstawie karty czasowego pobytu, potem karty stałego pobytu, mieć stały dochód oraz zapewnione miejsce zamieszkania, a po trzech latach może się ubiegać o polskie obywatelstwo, co uprawnia do uzyskania dowodu osobistego lub paszportu z orłem w koronie. Z dowodem może już się poruszać po strefie Schengen, a z paszportem po całym świecie.

– Pobyt stały cudzoziemiec może uzyskać po trzech latach małżeństwa z obywatelem lub obywatelką Polski i po dwóch latach wspólnego nieprzerwanego pobytu czasowego, a z tym bywa różnie i dlatego czasami musimy sprawdzać w ich miejscu zamieszkania, czy istotnie takie osoby są razem – podkreśla Agnieszka Wilkowska-Kłoczek.

Okazuje się bowiem, że te relacje często nie przypominają małżeńskich, co urzędnicy szybko wyczuwają już na początkowym etapie procedury. Zobowiązani są wówczas do zweryfikowania zapisów w wniosku. W trakcie sprawdzania na miejscu stanu faktycznego (a pracownicy wydziału mogą wejść do mieszkań

Z czego wniosek, że para nie prowadzi wspólnego gospodarstwa domowego. Po co zatem Polka wychodzi za cudzoziemca, skoro wygląda to na małżeństwo fikcyjne?

– Może z dobrego serca, żeby pomóc człowiekowi pozostać w naszym kraju, ale prawda bywa czasami bardziej prozaiczna: bo ma z tego korzyści finansowe – wyjaśnia Maria Rochowicz. Oczywiście sprawa dotyczy obojga płci, bo równie dobrze „samarytaninem” może być Polak,

podarż zakochuje się, ułatwia cudzoziemce zdobycie polskiego obywatelstwa, a ta, gdy dostanie już paszport, zmienia miejsce pobytu, pozostawiając męża na lodzie.

Podobny szok czeka panie, które jadą na wycieczki do Tunezji, Algierii, Egiptu lub Maroka, gdzie poznają ciemnoskórego, zwykle romantycznego młodzieńca, z którym od ręki biorą ślub przed miejscowym urzędnikiem, przywożą nowożeńca do Polski i potwierdzają małżeństwo w urzędzie stanu cywilnego. I natychmiast starają się dla niego o kartę czasowego, a w późniejszym terminie stałego pobytu, choć z nowym małżonkiem porozumiewają się zazwyczaj „językiem migowym” lub za pomocą elektronicznego tłumacza, znają bowiem tylko kilka angielskich słówek. Jeśli w trakcie procedury ubiegania się o karty pobytu cudzoziemiec pozna więcej polskich słów, i tak, zanim nauczy się dobrze mówić po polsku, jako oficjalnie uznany obywatel z polskim paszportem znika, zostawiając zakochaną w nim żonę samą. A ta zrozpaczona wydzwania po urzędach i prosi o zatrzymanie

Mieliśmy pana, który ożenił się z Wietnamką, po pół roku się rozwiódł, wziął za żonę Białorusinkę i też się rozwiódł, by za trzecim razem ożenić się z Rosjanką.

który bierze fikcyjny ślub z cudzoziemką, żeby jej pomóc.

– Na przykład mieliśmy do czynienia z panem, który ożenił się z Wietnamką, po pół roku się z nią rozwiódł, wziął za żonę Białorusinkę i też się rozwiódł, by za trzecim razem ożenić się z Rosjanką. Nie sądzę, aby robił to z miłości – dodaje Agnieszka Wilkowska-Kłoczek.

Miłość bywa ślepa

Motywacje są różne. Na przykład rozwiedziony starszy pan, zwykle o wysokiej pozycji społecznej, na portalu randkowym trafia na młodą mieszkankę Afryki lub Azji, w wieku swojej córki, i sprowadza ją do naszego kraju. Może również zatrudnić dziewczynę w charakterze pomocy domowej, ale krew nie woda – gos-

niewiernego, choć najczęściej to szukanie wiatru w polu.

Co mają do powiedzenia

Procedura przyznawania obywatelstwa wymaga od cudzoziemca certyfikatu znajomości języka polskiego (podobnie jak w przypadku zezwolenia na pobyt długoterminowego rezydenta Unii Europejskiej, przebywającego co najmniej pięć lat na terenie RP). Zwykle więc cudzoziemiec, taki jak wspomniany Tunezyjczyk czy Algierczyk, idzie od razu do szkoły z polskim językiem wykładowym. Jeśli jest to liceum (do niedawna również gimnazjum) lub studia wyższe, świadectwo ukończenia takiej szkoły jest honorowane. Gorzej ze szkołami policealnymi. W naszym systemie oświaty są one pożyteczne,

bo młodzi uczą się w nich konkretnego zawodu, lecz nie ma dużych szans na to, by obcokrajowcy nauczyli się tam polskiego. Ostatnio, jak mówią panie z wydziału, dużą popularnością cieszą się szkoły florystyczne! Pewnie wychodzą z nich fachowcy od układania kwiatów, ale raczej z małą znajomością mowy Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego.

– W województwie podlaskim był przypadek, że do urzędu przyszedł cudzoziemiec z wnioskiem o przyznanie mu obywatelstwa, ale w ogóle nie posługiwał się językiem polskim, choć skończył jakąś szkołę w Hajnówce. Wojewoda podlaski poinformował o tym kuratorium oświaty, które przeprowadziło tam kontrolę, i szkołę zamknięto – opowiada Beata Mamińska-Pietrzak.

Dlatego w planowanej nowelizacji ustawy świadectwa ukończenia tego rodzaju szkół nie będą honorowane w procedurze ubiegania się o polskie obywatelstwo. Podmiotów uprawnionych do organizowania dla cudzoziemców egzaminów z języka polskiego „na poziomie biegu” jest sporo, wymienione są na liście zatwierdzonej przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego.

To szkoły wyższe i fundacje w różnych miastach Polski, ale także w Ukrainie. Bo Ukraińców osiedla się w naszym kraju najwięcej, na co wpływ ma z pewnością wojna, choć już wcześniej napływ ludności z tego kraju był wyraźny. Jednak w ubiegłym roku na 169 obcokrajowców, którzy dostali obywatelstwo polskie na Warmii i Mazurach (w tym 20 na mocy decyzji prezydenta RP), najwięcej, bo 70, było Białorusinów.

Rzecz w tym, aby cudzoziemcy faktycznie tu pracowali, weszli w nasze struktury społeczne i nie uciekali w świat po otrzymaniu karty pobytu lub paszportu.

Ale Ukraińców – 65. Poza tym 24 Rosjan i trzy osoby z Armenii, po jednej z Niemiec, Indii, Mongolii, Turcji, Słowacji i Izraela. Jeden nowy obywatel Polski był bezpaństwowcem. Z tego wniosek, że przyjeźdźni z Afryki, o których mowa wyżej, napotkali trudności w staraniach o obywatelstwo.

– Mamy świadomość, że nasze decyzje zmieniają ludziom życie, ale czasami te osoby chcą nas oszukać, dlatego musimy być czujni, a nawet asertywni, i prowadzić postępowania

rzetelnie. Właśnie po to, by obywatelami naszego kraju zostali ludzie uczciwi, utożsamiający się z nową ojczyzną – mówi Maria Rochowicz, zaznaczając, że niebawem mają być wprowadzone zmiany w ustawie o cudzoziemcach. Bo tak czy owak, oni są nam potrzebni.

– Zdecydowana większość cudzoziemców przyjeżdża do nas ze względów ekonomicznych, z czego obie strony odnoszą korzyści – dodaje

Agnieszka Wilkowska-Klocek. – Nam jest potrzebna siła robocza, a oni płacą ZUS, podatki i wypełniają luki kadrowe w wielu branżach. Rzecz w tym, aby cudzoziemcy faktycznie tutaj pracowali, weszli w nasze struktury społeczne i nie uciekali w świat po otrzymaniu karty pobytu lub paszportu. A jeśli poznają naszą historię i hymn narodowy, choć formalnie tego się od nich w Polsce nie wymaga, tym milej będą u nas widziani.

Marek Książek

LIST

Blaski i cienie Polski Ludowej

Będąc pod wrażeniem konferencji „Blaski i cienie Polski Ludowej”, która odbyła się pod koniec stycznia w Katowicach, postanowiłem dorzucić swoje trzy grosze do tematyki „ciężkiego” życia w PRL. Tym bardziej że połowa mojego życia przypadła na tamten „zniewolony” (jak mawiają niektórzy politycy) okres, a połowa na III Rzeczpospolitą i mam skalę porównawczą.

Pochodzę z biednej rodziny, która mieszkała w prawie 80-tysięcznym mieście. Moich rodziców nie było stać na edukację w elitarnych szkołach, dlatego jak większość młodych ludzi uczyłem się w zwykłych. Po skończeniu szkoły średniej i zdaniu egzaminów na uczelnię zacząłem studiować górnictwo na Wydziale Górniczym Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Mój profil studiów nie był przypadkowy. W okolicy zaczął bowiem powstawać duży kombinat górniczo-energetyczny. Na drugim roku studiów podpisałem z przyszłym pracodawcą umowę o stypendium fundowane, która gwarantowała mi pewną pracę i comiesięczny dopływ gotówki. Stypendium praktycznie w całości pokrywało koszty studiowania i w sposób znaczący odciążało rodziców od finansowania studiów.

Po skończeniu szkoły wyższej podjąłem dobrze płatną, jak na tamte czasy, pracę zgodną z kierunkiem studiów. A że byłem już żonaty i dzieciaty, pracodawca zapewnił mi mieszkanie tymczasowe. Po roku pracy otrzymałem „za złotówkę” mieszkanie zakładowe. W międzyczasie, jeszcze w okresie studiów, był stan wojenny, a że dzieliła nas z żoną i rodziną odległość ponad 500 km, musiałem regularnie korzystać z ulgowych przelotów samolotami i od czasu do czasu z pociągów. I nie było żadnych problemów z przemieszczaniem się, oprócz zdobycia odpowiedniego zaświadczenia o zmianie miejsca pobytu.

Powracając do mojej pracy, muszę podkreślić, że była ona stabilna i dobrze płatna aż do emerytury. Oczywiście nie każdy był takim szczęściarzem jak ja, ale większość dużych państwowych zakładów, chcąc pozyskać wykwalifikowaną kadrę, postępowała podobnie jak mój macierzysty zakład. Muszę też podkreślić, że w okresie PRL nie odczułem żadnej okupacji czy represji, jak to opowiadają niektórzy politycy. Po prostu pracowałem dla dobra rodziny i kraju zgodnie z ówczesnym prawodawstwem.

Mój przykład pokazuje pozytywne oblicze Polski Ludowej. Owszem, były także pewne niedogodności, ale to temat na osobne rozważania.

Witold Misztela, stały czytelnik

SĄD POSPRZĄTAŁ SPRZĄTACZKĘ

Czy Mała Emi została zmanipulowana przez ludzi, których podziwiała?

Mateusz Cieślak

Czy Mała Emi, skazana właśnie za szkalowanie jednego z bardziej znanych polskich sędziów, była członkinią ekipy hejterskiej? Czy może jej ofiarą? I czy w ogóle istniało coś takiego jak farma hejterskich trolli w wymiarze sprawiedliwości?

Mała Emi, bo tak ją najczęściej nazywano, 19 marca została skazana przez sąd w Bochni za wpisy szkalujące sędziego Waldemara Żurka z Sądu Okręgowego w Krakowie. Ukarano ją grzywną w wysokości 6 tys. zł. Nie do końca wiadomo za co. Ale o tym za chwilę. Wyrok nie jest prawomocny,

którym podówczas kierował Zbigniew Ziobro.

Wiem, że to są twierdzenia przekorne. Ale niestety nie do końca pozabawione sensu. Proponuję, by na całą tę sprawę spojrzeć nieco inaczej, niż to robią wszyscy.

Sąd obłożony

19 marca mały sąd w Bochni przeżywał takie obłożenie przez dziennikarzy, jakiego nigdy chyba tu nie było. A potem w tytułach relacji dominowało stwierdzenie, że zapadł tam pierwszy wyrok w „aferze hejterskiej”. Nikt się nie zastanawiał nad prawdopodobieństwem – a za-

wyspowiadała się przecież przed dziennikarzami TVN. Wiemy więc, że postępowała nagannie. Inna sprawa, czy dopuściła się tych czynów, o które została oskarżona. Ale o tym zaraz.

Mała Emi była sądzona przez sąd w Bochni, ponieważ sprawę wniósł sędzia Waldemar Żurek. Poczuł się urażony kilkoma wpisami na swój temat, które pojawiły się w internecie. Rzeczywiście były dość obrzydliwe. Inna kwestia, czy opublikowała je oskarżona osoba. To przecież trzeba udowodnić.

Sędzia Żurek jak każdy obywatel ma konstytucyjne prawo do sądu. To też z niego skorzystał. Do sądu trafił tzw. prywatny akt oskarżenia. Sędzia wskazywał w nim jedną tylko osobę – wspomnianą Małą Emi. A gdzie słynna „farma trolli” z Ministerstwa Sprawiedliwości? Nie w tym procesie. Co więcej, w żadnym procesie.

Mała Emi na sali sądowej nie pojawiła się ani razu. Nie miała na to czasu ani pieniędzy, gdyż ciężko pracuje, sprząając u Anglików.

bo to dopiero pierwsza instancja. obrońca Paweł Matyja powiedział mi, że Mała Emi na pewno będzie się odwoływać. Powiedział też dlaczego.

Każdy, kto śledzi polską politykę, wie doskonale, co oznaczają określenia: „afera hejterska” oraz „farma trolli w Ministerstwie Sprawiedliwości”. Tylko czy taka afery była? W przypadku jednej osoby, nawet jeśli osoba ta hejtowała kogoś sędziego, trudno jeszcze mówić o aferze. Takich hejterów polskie media społecznościowe są pełne. I oczywiście, gdyby ograniczyć się do Małej Emi, nie znajdzie się żadnej farmy trolli. Tym bardziej farmy trolli mającej siedzibę w resorcie,

pewniam, jest ono niemałe – że był to zarazem wyrok ostatni.

Na ławie oskarżonych posadzono tylko jedną osobę. To właśnie Mała Emi. Na sali sądowej nie pojawiła się jednak ani razu. Nawet nie dlatego, że nie chciała. Nie miała na to czasu ani pieniędzy, gdyż ciężko pracuje, sprząając domy i mieszkania Anglików. Nie było jej stać na bilet ani na hotel. I całkiem możliwe, że nie będzie jej stać na zapłatę 6 tys. zł grzywny, jeśli sąd odwoławczy podtrzyma wyrok pierwszej instancji.

O statusie zawodowym i majątkowym Małej Emi wspominać tu nie dlatego, żeby wywołać jakieś ciepłe uczucia wobec niej. Kilka lat temu

A grupa hejterska gdzie?

W sprawie „afery hejterskiej” toczy się śledztwo we Wrocławiu. Tamtejsza prokuratura bada m.in. udział sędziów w owej aferze. Nie jest jednak powiedziane, że ci kiedykolwiek zasiądą na ławie oskarżonych. Warto się zapoznać z komunikatem Prokuratury Regionalnej we Wrocławiu, dotyczącym tegoż postępowania. Wydano go 7 marca po doniesieniach stacji TVN 24.

Telewizja ta dwa dni wcześniej w publikacji poświęconej procesowi Małej Emi informowała, że Prokuratura Regionalna we Wrocławiu, badając „aferę hejterską”, złożyła do Sądu

Najwyższego wnioski o uchylenie immunitetów czterem sędziom, by postawić im zarzuty. I jednemu z nich immunitetu nie uchylono.

Prokuratura to prostowała, dzięki czemu wiemy, że wnioski o uchylenie immunitetu czterem osobom skierowano do Sądu Najwyższego już 28 czerwca 2024 r. Minęło sporo miesięcy, ale Sąd Najwyższy trójką sędziów jeszcze się nie zajął. Na razie odbyło się dopiero kilka posiedzeń dotyczących sędziego Jakuba I. Kolejne wyznaczone jest na kwiecień. Na tym zapewne się nie skończy, ponieważ Sąd Najwyższy powołał jakiegoś biegłego i czeka na jego opinię.

Już jednak widać, w jakim kierunku sprawa immunitetów może pójść. Jeden prokuratorski wniosek o uchylenie immunitetu sędziemu Jakubowi I. był bowiem w lutym tego roku rozpoznawany przez Sąd Najwyższy. Rozpoznawała go Izba Odpowiedzialności Zawodowej. Wniosek prokuratury odrzuciła. Stwierdziła, że zebrany materiał dowodowy to za mało, by z całą pewnością twierdzić, że niejaki „FigoFago” (tak brzmiał nick jednego z hejterów) to sędzia Jakub I.

To, czego w przypadku sędziego jest „za mało”, okazuje się wystarczające, by skazać kobietę, która teraz sprząta angielskie domy. Pamiętajmy, Mała Emi trafiła przed sąd wyłącznie za kilka wpisów uderzających w sędziego Żurka. Zadaniem sądu było zbadać materiał dowodowy, ocenić go, a następnie wydać wyrok tylko w tym zakresie. Mała Emi nie przyznawała się i odmówiła składania wyjaśnień. Trzeba więc było znaleźć inne dowody jej winy.

Były mąż Małej Emi to sędzia Tomasz Sz., który zbiegł na Białoruś. Jakiś czas temu w telewizji Polsat opisywał żonę jako „chorą alkoholicką, która jedynie leżała na kanapie, piła i paliła”. A jeśli tak było, to kto wtedy naciskał w komputerze enter?

Sędziowie i ona

Tak również warto spojrzeć na tę sprawę. Na sali sądowej wyrok wydawał sędzia. To należy podkreślić w czasach, kiedy sami sędziowie twierdzą, że wielu wydających

wyroki nie ma prawa nazywać się sędzią. Oskarżycielem również był sędzia. Świadcami byli sędziowie. Niesędzią w tym procesie była jedynie Mała Emi. Pardon, nie tylko ona. Był jeszcze prokurator. Prokuratura bowiem uznała, że ważny interes społeczny każe jej przyłączyć się do prywatnego aktu oskarżenia sędziego Waldemara Żurka. I śledztwo w sprawie zniekształcających go treści prowadziła Prokuratura Rejonowa Kielce-Wschód. A kiedy Mała Emi nie przyjeżdżała na wezwania prokuratury, ponieważ sprzątała domy w Anglii, prowadząca śledztwo prokurator zapowiedziała, że wyda za nią list gończy. Mała Emi więc spięta się i przyjechała do Polski. Co i tak nic prokuraturze nie dało, gdyż kobieta odmówiła wyjaśnień.

My jednak dzięki takiej postawie prokuratury czegoś się dowiedzieliśmy. Mianowicie na co kielecka prokuratura wydaje pieniądze i na co poświęca czas. Być może oznacza to, że w Kielcach nie popełnia się przestępstw i prokuratorzy się nudzą oraz cierpią na nadmiar środków finansowych. Może by zwoził tam z innych stron Polski złoczyńców? Pod wpływem lokalnej atmosfery

pojmy swoje grzechy i zejść ze złej drogi.

Historyczny proces

Wydawałoby się, że już samo to nagromadzenie sędziów występujących w różnych rolach świadczy o tym, jak wielkie znaczenie ma toczący się w Bochni proces dla środowiska prawniczego. Ale nie tylko dlatego można mówić o wyjątkowości tej sprawy. Było to przecież wydarzenie medialne. Relacjonowane szeroko przez stacje telewizyjne, radiowe i prasę drukowaną oraz wirtualną. Sędzia, który orzekał, wiedział, że cała Polska śledzi jego poczynania i ruchy. Komentuje i ocenia. Że może on przejść do historii i znaleźć się w podręcznikach prawniczych.

Jak jednak ocenić następującą sytuację? Obrońca Małej Emi wstaje i mówi, że czyn zarzucany oskarżonej przedawnia się po sześciu latach. Sąd przyznaje mu rację: po sześciu latach, faktycznie. Obrońca na to, że sześć lat już minęło, w styczniu. Tymczasem mamy marzec. Sędzia odpowiada jednak, że jego zdaniem w tym procesie sześć lat jeszcze nie minęło. Co znaczy, że przedawnienia ▶

Były mąż Małej Emi to sędzia Tomasz Sz., który zbiegł na Białoruś. Jakiś czas temu opisywał żonę jako „chorą alkoholicką, która jedynie leżała na kanapie, piła i paliła”.



► nie ma. Dlaczego nie ma? Odpowiedzi być może będziemy mogli poszukać w uzasadnieniu pisemnym wydanego wyroku.

A jak ocenić zeznania sędziego Arkadiusza Cichockiego, złożone podczas procesu? Chodzi nie o ich prawdziwość, lecz o to, co zawierały. „Lczyłem, że wyjazdy będą

Cichocki oraz sędzia Strumiński. Ten drugi w grupie atakującej innych sędziów nie był, a w sądzie znalazł się jako świadek, ponieważ w pewnym momencie Mała Emi poprosiła go o pomoc, gdy chciała z całej tej sprawy się wypłatać. Pozostali uparcie twierdzą, że żadnej grupy nie było. Wszystko, co złe, czyniła

udało się zidentyfikować, ale nie wiadomo, kto na nim naciskał enter. Mała Emi złożyła zażalenie i sprawa się toczy. Prowadzi ją prokuratura w Raciborzu.

Ciekawe, co sąd napisze o intencjach, jakie miały przyświecać Małej Emi. Skoro ją skazał, powinien te intencje ocenić. Jak mówiła ona sama, wierzyła w to, że dobrze służy Polsce. Tak jej bowiem tłumaczyli mądrzejsi od niej ludzie, bardziej świadomi tego, co znaczy służba publiczna, wygłaszający na salach sądowych sentencje o moralności i etyce, niezrządki w świetle fleszy i przed telewizyjnymi kamerami. Jak miała więc wątpić w to, że zwalcza zło i zaprowadza dobro? Poza tym miała pomagać karierze męża.

Jak zatem ocenić jej intencje? Były szlachetne czy podłe? Co więcej, z ustaleń sądu wprost wynika, że Mała Emi została zmanipulowana przez ludzi, których podziwiała. Sam sędzia wydający wyrok cytował słowa byłego męża Małej Emi: „Bezinteresowna propaństwowa działalność dziewczyny z granatem w ręce, która robi dla naszej sprawy więcej niż ministerialne służby informacyjne”.

W sprawie „afery hejterskiej” toczy się śledztwo we Wrocławiu. Tamtejsza prokuratura bada m.in. udział sędziów w aferze.

merytoryczne, ale sprowadzały się do spożywania dużych ilości alkoholu. Atmosferę oddaje fakt, że w pewnym momencie sędzia Ł. uderzył pięścią w twarz sędziego Michała L.” – tak sędzia Cichocki relacjonował jedno ze spotkań. Podkreślił, że chodziło o spotkanie osób noszących togi i łańcuchy z orłem w koronie, a nie o imprezę meneli.

Sędzia Cichocki miał romans z Małą Emi, gdy była ona żoną sędziego Tomasza Sz. I wraz z tym drugim (dziś goszczonym przez Łukaszenkę) postanowił ujawnić swój udział w grupie atakującej innych sędziów. „Chciałbym pozostać sędzią aż do czasu, gdy będę mógł odejść w stan spoczynku. By mieć czyste sumienie, muszę powiedzieć, co widziałem i w czym uczestniczyłem. Czasem wystarczy widzieć coś złego i nie reagować, by w tym uczestniczyć. Sędzia musi od siebie wymagać więcej. Ja wtedy nie wymagałem. Niestety. Żałuję i przepraszam”, mówił Onetowi i OKO.press.

Jego życzenie na razie się spełnia. Jest sędzią, i to nie byle jakim, bo Sądu Okręgowego w Gliwicach. Pracuje w wydziale karnym, czyli tam, gdzie sądzi się oskarżonych o popełnianie przestępstw. Być może wśród podsądnych są również jacyś hejterzy.

Farma trolli? A skąd!

Czy w Ministerstwie Sprawiedliwości istniała „farma trolli”? Z materiałów z procesu Małej Emi wynika, że raczej nie. Wszyscy sędziowie zeznający w tym procesie zrzucają winę na nią. Z tej konwencji wyłamują się tylko wspomniani sędzia

Emilia. Skąd jednak bezrobotna kobieta, która w środowisko sędziów weszła dzięki mężowi, mogła wiedzieć o postępowaniach dyscyplinarnych? Skąd mogła mieć inne informacje niedostępne zwykłemu śmiertelnikowi?

Proces w Bochni i śledztwo prowadzone w Kielcach to niejedyny problem, jakie Mała Emi ma z polskim wymiarem sprawiedliwości. Toczyło się bądź toczy kilka różnych postępowań, w których prokuratorzy życzą sobie ją widzieć. Nie chcąc, żeby któryś z nich znów wpadł na pomysł wydania za nią listu gończego,

Proces toczący się w Bochni ma wielkie znaczenie dla środowiska prawniczego.

przyjeżdża więc od czasu do czasu na dwa, trzy dni. I obskakuje wtedy Opole, Wrocław, Kielce, Piotrków Trybunalski czy Warszawę. Wszędzie tam jacyś sędziowie czują się przez nią pokrzywdzeni.

Mała Emi ściga Małą Emi

Ona sama też żąda ścigania i ukarania Małej Emi. Choć brzmi absurdalnie, jest to fakt. Powstało bowiem ileś kont internetowych o takiej samej ksywce. Niektóre jednobrzmiące. W niektórych przypadkach było tam nawet jej zdjęcie. Mała Emi złożyła więc w prokuraturze zawiadomienie, że ktoś się pod nią podszywa. Prokuratura znalazła komputery, z których korzystano do założenia lewych kont. Po czym postępowanie umorzyła, uznając, że komputer co prawda

Po wydaniu wyroku dziennikarze zapytali sędziego Żurka, co czuje. „Nie czuję satysfakcji. Domagam się od mojego państwa, by postawiło przed sądem osoby odpowiedzialne za zorganizowanie afery hejterskiej”, cytowała go „Gazeta Wyborcza”. Tu należy zauważyć, że afera hejterska, aczkolwiek obrzydliwa, była drobiazgiem w stosunku do całości działań dewastujących polskie sądownictwo. Znacznie gorsze były te działania, które dotknęły Sąd Najwyższy oraz Trybunał Konstytucyjny. Ale najgorsze były te związane z rzeszą tzw. neosędziów, ponieważ ich wyroki mają wpływ na los zwykłych ludzi. Są to wyroki nielegalne, co jest poglądem nie moim, tylko unijnych trybunałów. A przypomnę, że prawo Unii jest również prawem polskim.

Z bezprawiem neosędziowskim walczyli sędziowie Tuleya i Juszczyżyn. Prześladowani byli za zastośowanie tzw. rozproszonej kontroli konstytucyjnej. Śmiało można ich uznać za bohaterów walki o praworządność. I trzeba teraz zapytać: na co była ich walka? Neosędziowie spokojnie sobie siedzą w sądach i orzekają. A ich bezprawne wyroki są akceptowane przez innych sędziów.

Sędziowie albo i nie

Sam Waldemar Żurek nie jest tutaj bez winy. W Sądzie Okręgowym w Krakowie toczyła się sprawa o sygnaturze I C 3072/21. Pozwanym był skarb państwa w osobie prezesa Sądu Apelacyjnego w Katowicach za to, że ten dopuścił do orzekania osobą nieuprawnioną. Chodziło o neosędziego.

Sędzia Waldemar Żurek został wylosowany do tej sprawy. Po czym zażądał, by go wyłączone. Wyjaśniał, że wypowiadał się publicznie na temat neosędziów i dlatego nie powinien orzekać. Ale czy zrobił słusznie?

Gdyby się wypowiadał publicznie, że kraść nie wolno, też by się wyłączył od orzekania w sprawie złodzieja?

To nie jest jakaś wyjątkowa postawa. Prezesem Stowarzyszenia Iustitia, oficjalnie zwalczającego zjawisko neosędziów, jest prof. Krystian Markiewicz. Zasiadał on w trzyosobowym składzie Sądu Okręgowego w Katowicach, orzekającym w sprawie IV S 72/22. Był wtedy sędzią referentem.

sędziowskiego mogli także, jak sędzia Żurek, wyłączyć się. Mogli zwrócić się z prośbą o opinię do Sądu Najwyższego albo do trybunałów unijnych. Niczego takiego nie zrobili. Oddalili skargę. Uznali tym samym, że neosędzia jest takim samym sędzią jak oni. Ciekawe, co by powiedzieli, gdybym to ja włożył togę, wszedł do sądu i usiłował orzekać?

Nie sposób nie odnieść wrażenia, że polskie sądownictwo jest pogrą-

Sędzia Cichocki miał romans z Małą Emi, gdy ta była żoną Tomasza Sz. I wraz z tym drugim postanowił ujawnić swój udział w grupie atakującej innych sędziów.

Tym razem chodziło o stwierdzenie nieważności wszystkich czynności podejmowanych przez sąd, albowiem decyzje podejmował neosędzia. I cóż uczynił sąd, do którego skarga na tamten sąd nie sąd trafiła? Sędzia Markiewicz i cała reszta składu mogła orzec, że neosędzia sędzią nie jest. Członkowie składu

żone w bardzo głębokim kryzysie. Ze względu na chaos, jaki ogarnął wymiar sprawiedliwości, coraz trudniej zorientować się, co jest literą prawa, co zaś jego karykaturą. Co działaniem legalnym, a co przestępstwem. Co bzdurą, a co dowodem. Kto sędzią, a kto nie.

Mateusz Cieślak

Pomóżmy sobie wzajemnie

1,5% PIT PODARUJ SENIOROM

KRS 0000161452



Fundacja „EMERYT”

ul. Ogrodowa 8, 00-896 Warszawa

tel.: (22) 620 40 44

www.fundacja-emeryt.org; e-mail: seniorzy@fundacja-emeryt.org



Śmierć Barbary Blidy

Minister Zbigniew Ziobro był już gotowy, by w telewizji komentować transmisję wyprowadzania skutej kajdankami posłanki i stawiać zarzuty rzekomego łapownictwa

Józef Musioł

Dzięki Franciszkowi Ranoszkowi poznałem wiele zakątków Południowej Afryki, poznałem także wiele wybitnych osób. Kilka razy byłem w Ambasadzie RP w Pretorii, przy powołaniu której miał on też swój udział. Nic dziwnego, że bywał tam często przy różnych okazjach. Pewnego razu pierwszy nowo powołany polski ambasador pan Stanisław Cieniuch zaprosił Franka, gdyż pani minister Barbara Blida miała dekorować polskich kombatanów, których los rzucił po II wojnie światowej do Afryki Południowej. Chodziło o to, aby kpt Franciszek Ranoszek ich przedstawiał w czasie tej uroczystości. W ten sposób na afrykańskim szlaku spotkało i zaprzyjaźniło się dwoje Ślązaków. A potem, już w Polsce, dzięki Franciszkowi Ranoszkowi w czasie kolejnej jego wizyty w ojczyźnie i ja mogłem poznać Barbarę Blidę. Jak zwykle podczas takiej wizyty byłem jego cicerone w Polsce, on rewanżował mi się tym samym, gdy to ja odwiedzałem Afrykę.

W kwietniu 2007 r., gdy kolejny raz odbywałem z nim podróż po Śląsku, nocowaliśmy w hotelu przy ulicy Dworcowej w Katowicach. W godzinach popołudniowych, gdy Franek wrócił z wizyty u swoich krewnych w Mikołowie, oświadczył: „Wiesz Józek, dzwoniłi do mnie Blidowie i zaprosili na kolację do ich domu. Henryk – mąż Barbary – po nas przyjedzie i nas odwiezie. Zgódź się”. Nie mogłem odmówić i tym sposobem tego dnia właśnie gościliśmy u Blidów w typowym górniczym domu rodzinnym w Michałowicach. Barbara Blida czyniła



To nie był zwykły pogrzeb, zwykłej posłanki. To był protest, głośna manifestacja na Śląsku. Zginęła Ślązaczka, córka żołnierza armii gen. Andersa.

honory śląskiej gospodyni (spotkanie to uwieczniłem, robiąc zdjęcie moją komórką).

Jeszcze przed godziną 22 jej mąż odwiózł nas do hotelu. Po kilku dniach Franek odleciał do RPA, a 25 kwietnia tego roku wczesnym rankiem odebrałem telefonicznie wiadomość, że Barbara Blida została postrzelona, a krótko potem, że nie żyje. Szok!

Powiadomiłem o tym tragicznym wydarzeniu Franciszka Ranoszka. Był wstrząśnięty i zdruzgotany, a gdy już poznał termin pogrzebu, prosił, abym w jego imieniu złożył kwiaty na jej grobie. Barbarę Blidę

żegnały tysiące ludzi przybyłych z różnych zakątków Śląska. Trumna została ustawiona na środku kościoła, a za nią stał roboczo ubrany mężczyzna z ogromną białą-czerwoną flagą. Znany nie tylko na Śląsku artysta muzyk Józef Skrzek grał na organach i śpiewał tak, że płacz było słychać wśród tłumu ludzi. W kościele było też trzech byłych premierów: Leszek Miller, Waldemar Pawlak i Józef Oleksy, w których gabinetach Blida pełniła różne funkcje. Bodajże trzech księżny celebrowało tę smutną uroczystość żałobną. Proboszcz w swoim wystąpieniu wspominał, że „nas tu nie mogło



Kolacja w domu Blidów. Od lewej: Franciszek Ranszek, Barbara Blida, Henryk Blida, Michałkowice, kwiecień 2007 r.

Pogrzeb Barbary Blidy, Siemianowice Śląskie, 30 kwietnia 2007 r.

nie być; w tej świątyni Blida została ochrzczona, tu przystąpiła do pierwszej komunii, tu odbył się jej ślub, tu chrzcila swoje dzieci”.

Na bliski cmentarz ciągnęło morze ludzi. Gdy dotarłem do jej grobu złożone już kwiaty i wieńce sięgały wysokości chyba półtora metra. Przemawiali m.in. Kazimierz Kutz oraz Waldemar Pawlak, który cytował Martina Niemöllera – poetę i byłego więźnia Dachau:

Kiedy przyszli po Żydów, nie protestowałem.

Nie byłem przecież Żydem.

Kiedy przyszli po komunistów, nie protestowałem. Nie byłem przecież komunistą.

Kiedy przyszli po socjaldemokratów, nie protestowałem.

Nie byłem przecież socjaldemokratą.

Kiedy przyszli po związkowców, nie protestowałem. Nie byłem przecież związkowcem.

Kiedy przyszli po mnie, nikt nie protestował. Nikogo już nie było.

W ten sposób nawiązał do grozy ówczesnej sytuacji i pierwszych rządów PiS.

To nie był zwykły pogrzeb, zwykłej postanki. To był protest, głośna manifestacja na Śląsku, symbolicznie przypominająca pogrzeb Korfanteo dwa tygodnie przed napaścią Niemiec na Polskę w 1939 r. (przy zachowaniu należytej proporcji). Zginęła Ślązaczka, córka żołnierza armii gen. Andersa.

Barbara Blida zginęła w czasie działań przedstawicieli państwa, za przyczyną czynności wykonywanych przez jego funkcjonariuszy, w swoim domu, w czasie nieudanej próby jej nieuzasadnionego pojmania.

Śmierć Barbary Blidy odbiła się głośnym echem, ukazały się publikacje ujawniające, że tragiczna śmierć nastąpiła w czasie próby pojmania lewicowej działaczki i filantropki, która była kolejnym elementem politycznego show. Minister Zbigniew Ziobro był już gotowy, by w telewizji komentować transmisję wyprowadzania skutej kajdankami postanki i stawiać zarzuty rzekomego łapownictwa, czego

dowodzić miały obciążające zeznania jej przyjaciółki szkolnej. Na marginesie trzeba dodać, że następnie ona nie tylko te zeznania odwołała, ale przyznała, że składała je, będąc w tzw. areszcie wydobywczym, kiedy grożono jej samej aresztowaniem czy też aresztowaniem jej córki (S. Latkowski i P. Pytlakowski, „Wszystkie ręce umyte. Sprawa Barbary Blidy”, Warszawa 2010).

Wszczęto postępowanie o postawienie premiera Jarosława Kaczyńskiego oraz ministra i prokuratora generalnego Zbigniewa Ziobry przed Trybunałem Stanu. Solidnie przygotowany, tak od strony faktycznej, jak i prawnej, wniosek przepadł z powodu nieobecności kilku posłów. Sprawa przyscha i zapadła cisza nad tym grobem. Barbara Blida nie zginęła w wypadku drogowym, nie została napadnięta, nie padła ofiarą rozboju, nie poległa w jakimś konflikcie, w nieszczęśliwych okolicznościach. Zginęła w czasie działań przedstawicieli państwa, za przyczyną czynności wykonywanych przez jego funkcjonariuszy, w swoim rodzinnym domu, w czasie nieudanej próby jej nieuzasadnionego pojmania.

„Nic się nie stało, Polacy, nic się nie stało”, chciałoby się przywołać zawołanie kibiców po przegranym przez Polskę kolejnym meczu piłki nożnej. Ślązacy, naprawdę nic się

nie stało? Gdzie godność, gdzie poczucie solidarności? Żadnych protestów? Ważniejsze stały się swary w sprawie gwary czy języka śląskiego? Tymczasem zginęła młoda kobieta, symbol współczesnej aktywnej wspaniałej Ślązaczki.



Fragment książki Józefa Musioła *Okrakiem przez wiek*, wydanie II, poszerzone i uzupełnione Wydawnictwo Naukowe Śląsk, Katowice 2024

Rosja nie jest głównym zagrożeniem dla USA

Kapitalistyczna Rosja nie jest wspólnym wrogiem nawet w Unii Europejskiej

Krzysztof Pilawski

Gdybym był Amerykaninem, po obejrzeniu „Anory” pomyślałbym o Rosjanach: „Takie same sk... jak my”. I pozostając w bliskim bohaterom filmu Seana Bakera klimacie leksyki nienormatywnej, zadałbym pytanie: „Po kiego ch... nam wojna z Rosją?”.

O obrazie, któremu Akademia Filmowa przyznała pięć Oscarów, w tym dla najlepszego filmu, przeczytałem w „Gazecie Wyborczej”: „Konsekwentnie odkłamuje wizerunek pracy seksualnej. Przypomina,

normalny kraj kapitalistyczny, w którym rządzą pieniądze i siła, a nie komunistyczny Związek Radziecki gotów ruszyć z posad bryłę świata, byle tylko oczyścić naszą planetę z własności prywatnej i wyzysku człowieka przez człowieka.

Tytułowa bohaterka jest proletariuszką, konkretnie seksworkerką, czyli zgodnie ze słownikiem języka polskiego kobietą zatrudnioną w przemyśle erotycznym. Zatrudnioną, dodajmy, na śmieciówce – właściciel klubu, w którym pracuje, nie opłaca jej składki zdrowotnej i emerytalnej, nie płaci za urlop wypoczynkowy. Szansa na awans

rodzice. Tym razem formą protestu staje się wzięty pół żartem, pół serio ślub z Anorą. Choć uroczystość w Las Vegas jest groteskowa, wydany akt małżeństwa ma moc prawną. Nowo poślubiona traktuje sprawę śmiertelnie poważnie, chce być członkinią rodziny Zacharowów. Na przeszkodzie jej awansowi społecznemu stają jednak teściowie.

Burżujskie esperanto

Państwo Zacharowowie w niczym nie przypominają radzieckich dygnitarzy pozbawionych prawa do posiadania na własność przydzielonej im przez państwo dachy i limuzyny do przewożenia najważniejszych członków kierownictwa partii i rządu. Ci bogaci burżuje nie odbiegają zachowaniem i stylem życia od kolegów z innych państw, niekoniecznie przyjaznych Rosji. Donald Trump ma dla nich ofertę – złote karty po 5 mln dol. sztuka, które uprawniałyby do zamieszkania w USA na stałe. 47. prezydent tak reklamował swój kolejny pomysł: „Znam trochę rosyjskich oligarchów i są to bardzo mili ludzie. Nie są tak bogaci jak kiedyś, ale myślę, że stać ich. Więc wielu ludzi będzie chciało przyjechać do tego kraju”.

Rodzice Iwana nie mogą pozwolić, by syn, zapewne także sukcesor ich fortuny, związał się z – jak to określił w tytule swojego filmu Andrzej Żuławski – kobietą publiczną. Zanim jeszcze przyfrunęli do Stanów prywatnym jetem, zlecili odkręcenie ślubu syna mieszkającym w Nowym Jorku gangsterom, duchownemu Kościoła ormiańskiego oraz adwokatowi. Wszyscy

Zainteresowanie Waszyngtonu tym, co dzieje się na obszarze dawnego ZSRR, słabnie.

że próba spełnienia marzenia o społecznym awansie często kończy się rozczarowaniem”. Często, choć nie zawsze, skoro znana nam z imienia i nazwiska zwykła ulicznica z Los Angeles, sorki – pracownica seksualna – już ponad trzy dekady temu zdobyła Oscara oraz zabójczo przystojnego milionera.

Rosja to nie ZSRR

Wbrew recenzjom pisanym progresywnym bełkotem najlepszy kinowy film minionego roku nie jest sequelem ani remakiem „Pretty Woman”, lecz dziełem oryginalnym, które po zwycięstwie Donalda Trumpa nabrało nowych znaczeń. Jego twórcy pokazują czarno na białym – nie jestem pewien, czy całkiem świadomie – że dzisiejsza Rosja to

społeczny Anory vel Ani pojawia się wraz z poznaniem nowego klienta – przebywającego czasowo w USA Iwana Zacharowa, dla bliskich Wani. Życie pozbawionego trosk materialnych dwudziestolatka, syna rosyjskiego oligarchy, toczy się wokół imprez, seksu, narkotyków i dżojstika. Mimo ogromnej różnicy wieku Wania niemal do złudzenia przypomina Huntera Bidena, ułaskawionego w ostatnich dniach prezydentury przez troskliwego papę. Donald Trump właśnie skasował temu konserwowi amerykańskiego przemysłu erotycznego i pochodzących z Rosji seksworkererek liczną ochronę agentów Secret Service.

Podobnie jak Hunter Wania szasta pieniędzmi, których nie zarobił. Od czasu do czasu wzbiera w nim dziecienny bunt, za który także płacą



Trump nie potrzebuje słownika, by rozmawiać z Putinem. Nie uważa Rosji za głównego przeciwnika USA.

oni przypominają członków mafii. Miszka Japoniec z niedocenionej polsko-radzieckiej komedii Juliusza Machulskiego „Deja vu” tęsknił za rodzimą mafią: „Byłoby świetnie, gdybyśmy ją mieli. Ale nad tym trzeba solidnie popracować”. Tak też się stało. Dzisiejsza Rosja ma swoich kapitalistów i powiązane z nimi mafie, także w USA. Nie ściga ich już za oceanem żaden rosyjski milicjant, jak to czynił w „Czerwonej gorączce” nieustraszony Arnold Schwarzenegger.

„Złoto to jedyne esperanto” – tak Doktor Plama z „Hydrozagadki” skwitował pytanie, czy podać mu słownik na spotkanie z maharadzą z pustynnego kraju, któremu oferował wodę z polskich zbiorników; Trump też nie potrzebuje słownika, by rozmawiać z Władimirem Putinem. Nie uważa Rosji za głównego przeciwnika Stanów Zjednoczonych ani nawet za zmartwienie tego państwa. Jego zmartwieniem jest trwająca wojna w Ukrainie, w którą uwikłała Waszyngton poprzednia administracja. Ta wojna w ocenie gospodarza Białego Domu to zły interes, Ameryka straciła na niej setki miliardów dolarów. W dodatku toczy się daleko od Stanów, więc co je ona obchodzi. Zgodnie ze słowami Trumpa wojna jest „o wiele

ważniejsza dla Europy niż dla nas. My mamy wielki, piękny ocean, który nas oddziela”.

Silnym i bogatym wolno więcej

Za tym oceanem doskonale rozumieją, że angażując się przeciwko Rosji, USA nie powstrzymują, jak w czasach zimnej wojny, ekspansji godzącego w podstawy kapitalistycznego ustroju komunizmu. Zacošana kapitalistyczna Rosja nie zagraża USA. ZSRR przez wiele lat

się do zachodnich tradycji i symboli. To z Zachodu przywędrowały czerwone sztandary i pierwszy hymn ZSRR – „Międzynarodówka”. Państwo radzieckie urodziło się w zachodniej Europie pod wpływem zachodniej teorii – marksizmu. Zachłysnęły się nim dwa pokolenia rosyjskich emigrantów politycznych, dla których także w Rosji Putina miejsce byłoby tylko w kolonii karnej o zaostrzonym reżimie. Ci emigranci intelektualisci pozostawili po sobie wiele tekstów cenionych do dziś w świecie – pomijam dotkniętą

Zamykając się w ruskim mirze i wielkoruskim szowinizmie, Kreml sam redukuje możliwości oddziaływania na świat.

był technologicznym konkurentem Waszyngtonu – wystrzelił w kosmos pierwszego psa, pierwszego mężczyznę i pierwszą kobietę. Rosja ma Putina, ale nie ma Muska ani big techów, nie potrafi zbudować samolotu pasażerskiego ani nawet opartego na własnej myśli technicznej samochodu osobowego.

Uwiadomowi technologicznemu towarzyszy zacošanie ideologiczne. Zamykając się w ruskim mirze i wielkoruskim szowinizmie, Kreml sam redukuje możliwości oddziaływania na świat. Związek Radziecki odwoływał

antykomunizmem Polskę. Wśród nich jest napisana wiosną 1916 r. w Zurychu broszura, której autor wymienił cechy imperializmu: „Monopole, oligarchia, dążenie do panowania zamiast dążeń do wolności, wysysk coraz większej liczby małych lub słabych narodów przez garstkę najbogatszych albo najsilniejszych narodów (...). Coraz bardziej jaskrawo występuje jako jedna z tendencji imperializmu tworzenie »państwa-rentiera«, państwa-lichwiarza”.

O takiej roli marzy dzisiejsza Rosja. Były prezydent i premier, od wielu ▶

► lat bliski współpracownik obecnego szefa państwa, Dmitrij Miedwiediew, napisał na platformie X Elona Muska: „Rozmowa telefoniczna między prezydentami Putinem i Trumpem potwierdziła dobrze znany pomysł – w jadalni jest tylko Rosja i Ameryka. W menu: lekkie przystawki – brukselka, brytyjska ryba z frytkami i paryski

140 mln Rosjan, którzy od trzech lat nie są w stanie sobie poradzić z 40 mln Ukraińców. Nie ma żadnego powodu, żeby Europa jako całość miała jakiegokolwiek kompleksy wobec Rosji”. Niedługo potem przekonywał w Brukseli: „Europa musi podjąć wyzwanie i wygrać wyścig zbrojeń. Jestem przekonany, że Rosja to przegra, tak

sprzątaczek. Akademików przeraziła wypowiedź na temat intensyfikacji wyścigu zbrojeń przypisywana ówczesnemu doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego USA Zbigniewowi Brzezińskiemu: „My nie zjemy deseru, ale oni (ZSRR – przyp. K.P.) nie zjedzą drugiego dania”.

Czasy się zmieniły, Rosja nie jest głównym zagrożeniem dla USA. Mimo wspierania inicjatyw byłych republik radzieckich i kolorowych rewolucji zainteresowanie Waszyngtonu tym, co dzieje się na obszarze dawnego ZSRR, słabnie. W końcu lat 50. w Europie stacjonowało ponad 400 tys. amerykańskich żołnierzy, obecnie nie ma ich nawet 100 tys., Trump zapowiada kolejne redukcje. Dzisiejsza kapitalistyczna Rosja nie jest postrzegana jako wspólny wróg nawet w Unii Europejskiej. Perspektywy Warszawy i krajów bałtyckich nie dzielają liczne unijne stolice. Nie ma co liczyć na solidarny udział w postulowanym przez Donalda Tuska wyścigu zbrojeń. Na co zatem można liczyć? Na *business as usual*.

Krzysztof Piławski

Nie ma co liczyć na solidarny udział w postulowanym przez Donalda Tuska wyścigu zbrojeń.

kogut. Danie główne to kotlet po kijowsku. Życzymy smacznego!”. Skoro Rosja jest tak wielkim imperialistą jak USA, dlaczego nie zażąda zwrotu Alaski? Czyżby wciąż się bała, że zostanie pocięta jak wołowina, z której przygotowuje się strogonowa?

Wyścig Donalda Tuska

Donald Tusk też popisał się megalomanią, mówiąc w Sejmie: „500 mln Europejczyków błaga 300 mln Amerykanów, żeby chronili nas przed

jak przegrał ZSRR. To jedyna metoda, by uniknąć konfliktu na szerszą skalę”.

Premier pozostaje dzieckiem zimnej wojny, nie dostrzega różnicy między ZSRR a Rosją. Jego wypowiedź przypomniła mi debatę z końca lat 70. prowadzoną w czasie przerwy w zajęciach przez kilku przedstawicieli radzieckich nauk społecznych, w cuchnącej toalecie Uniwersytetu Kijowskiego – tylko tam czerwona jak sam gmach uczelni profesura nie była narażona na ataki uzbrojonych w szczotki i ścierki towarzyszek



SOS WIOSKI DZIECIĘCE

dziecisos.org

Nie muszą mieć Twoich genów, żeby odziedziczyły po Tobie wszystko co najlepsze.

Pomóż stworzyć dom dla opuszczonych dzieci **i przekaż 1,5% podatku** na SOS Wioski Dziecięce.

1,5% KRS 0000 056 901

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Teodycea pisowskiej niewinności

Być może historia życia i śmierci legendarnej pani Basi, rozstawionej serialem komediowym, przez lata jednej z najbliższych współpracownic Jarosława Kaczyńskiego, godna jest obszernej opowieści. Może to temat na powieść, może na film. Na razie śmierć Barbary Skrzypek stała się kolejnym „paliwem” pisowskich narracji. Łącząc zgon z przyczyn naturalnych – tyle już wiemy – z faktem wcześniejszego o kilka dni przesłuchania w warszawskiej prokuraturze w sprawie budowy/niebudowy przez PiS „dwóch wież”, a nie łącząc go z bliższą mu w czasie rozmową z Jarosławem Kaczyńskim, wkraczamy na tereny niezbadanych meandrow teologii politycznej PiS.

Możemy jednak postarać się zrekonstruować niektóre elementy podwalin tej teodycei dla wyznawców, w końcu w kraju niewierzących praktykujących każde takie dywagacje mogą się wydać zajmujące, ożywcze, a może i inspirujące? Samo pojęcie teodycei to nazwa jednej z gałęzi teologii chrześcijańskiej, w której przez wieki bez większego powodzenia usiłowano się uporać z pewnym paradoksem, trudnym do ogarnięcia rozumem: jak pogodzić istnienie „dobrego”, miłosierne-go Boga z równoczesnym istnieniem zła na świecie.

W teodycei pisowskiej miejsce boga zajmuje rzecz jasna PiS, czy to w osobie Jarosława Wszechdobrego, Nieomylnego, Namaszczonego, czy to – szerzej – całego ludu pisowskiego, ze szczególnym uwzględnieniem tych z owego ludu, którym podczas niepodzielných rządów tzw. Zjednoczonej Prawicy w latach 2015-2023 było dane (rozdane) być zatrudnionym przez państwo – bo trudno nazwać to służbą. Na wielu, w tym osobnikach w randze ministrów, ciężą dość mocno uzasadnione podejrzenia popełnienia najrozmaitszych przestępstw pospolicznych, głównie związanych z zaborem mienia i bezprawnym rozporządzaniem nim – krótko mówiąc, różnych kradzieży, możliwych z racji nadużywania funkcji urzędniczych. (Najbardziej spektakularną historią jest wyprowadzenie „dla swoich” ponad 100 mln zł z Funduszu Sprawiedliwości).

Teodycea zaczęła zresztą działać podczas rządów PiS, rozpościerając nad wszystkimi krewnymi i znajomymi królika (PiS) parasol absolutnej nietykalności, przy braku jakiegokolwiek zainteresowania instytucji państwa takich jak np. prokuratura. PiS zyskało nie tyle czapkę niewidkę, ile zbiorowy kostium niewidzialności dla wymiaru sprawiedliwości i niewykrywalności. Taką sprawą była afera z próbą wybudowania dwuwieżowego imperium PiS w centrum Warszawy, znanego pod nazwą Srebrna.

W sieci wcześniejszych zdobywczy majątkowych partii związanych z braćmi Kaczyńskimi po 1989 r. znalazły się niezwykle cenne grunty położone w samym centrum miasta. To tam miały powstać dwa gigantyczne wieżowce, których działanie finansowałoby funkcjonowanie środowisk pisowskich, postpisowskich, wokół- i obok-pisowskich na wieki wieków, amen. Tak, zanim się ktoś zorientował, funkcjonował Trumpowski model monetywizowania polityki i władzy – nieruchomości, głupcze! Kalkulacje Jarosława Kaczyńskiego rozbiły się jednak o wątpliwości związane z konfrontacją z władzami miasta stołecznego Warszawy. W rezultacie zaangażowany z klucza rodzinnego do prac koncepcyjno-architektonicznych austriacki architekt i biznesmen Gerald Birgfellner został na lodzie i podjął próbę sądowego dochodzenia od Kaczyńskiego swoich roszczeń, które wycenił na ok. 1,3 mln euro. Bez specjalnego zaskoczenia przyjęto fakt, że prokuratura postanowiła sprawą w ogóle się nie zajmować. Zmiana władzy zaowocowała zwinięciem parasola bezkarności i śledztwo jednak ruszyło. Elementem postępowania było wezwanie pani Barbary Skrzypek

W teodycei pisowskiej miejsce boga zajmuje rzecz jasna PiS, czy to w osobie Jarosława Wszechdobrego, Nieomylnego, Namaszczonego, czy całego ludu pisowskiego.

na przesłuchanie w roli świadka. Nie został do niego dopuszczony mecenas, który faktycznie broni od lat interesów Jarosława Kaczyńskiego i PiS. Przesłuchanie zakończyło się podpisaniem protokołu (po śmierci pani Barbary prokuratura upubliczniła jego zapis).

Wszystko to nie ma żadnego znaczenia, bo Jarosław Kaczyński i postuszne mu szczujnie medialne (Sakiewicz) ruszyli do szturm – na prowadzącą śledztwo i przesłuchanie prokurator Ewę Wrzosek, na prokuraturę, na ministra Bodnara i, jak zawsze, na Donalda Tuska. Wszak z definicji teodyceowskiej lud pisowski niewinny jest zawsze, wszędzie i bez wyjątku – indagować go nie wolno. Tu na żadne subtelności miejsca nie ma – państwo oskarżane jest o spowodowanie śmierci byłej współpracownicy Kaczyńskiego.

Teodycea ma to do siebie, że ogarnia wszystko i wszystkich bez możliwości rozumowej weryfikacji. PiS z definicji reprezentuje dobro absolutne i jakieś tam państwo ze swoim systemem prawnym i procedurami nie będzie mu wchodzić w drogę – to chyba po tych ośmiu latach rządów powinno być jasne i zrozumiałe? Nie jest? Jak zwykle heretycy opóźniają marsz ku zbawieniu. ■

Ameryka nie powinna mieszać się w zmianę władzy w Ukrainie

Doug Bandow

W dyskursie politycznym w Polsce brakuje perspektywy konserwatywnych amerykańskich analityków i publicystów, którzy stanowią zaplecze intelektualne prezydentury Donalda Trumpa. To na ich barkach spoczywa w dużej mierze ciężar tłumaczenia wypowiedzi obecnego prezydenta Stanów Zjednoczonych, precyzowania ich i nadawania im spójności. Głoszone przez nich poglądy nie są oczywiście analizami dążącymi do bezstronności, ale nie może to być powód do ich ignorowania. Przeciwnie, czytane z należytą ostrożnością stanowią istotny zestaw puzzli, których ułożenie dawałoby odpowiedź na pytanie, co obecnie dzieje się w amerykańskiej, a zatem i światowej polityce.

Jednym z takich konserwatywnych intelektualistów jest Doug Bandow, były współpracownik prezydenta Ronalda Reagana, autor książki „Foreign Follies. America’s New Global Empire” („Zagraniczne szaleństwa. Nowe globalne imperium Ameryki”). Z jego analizami można się zapoznawać przede wszystkim w witrynie Cato Institute (Instytutu Katona), którego jest pracownikiem. Bandow

pod adresem: www.theamericanconservative.com/trump-shouldnt-impose-his-will-on-ukraine/.

(...) Jak na ironię, kontrowersje w Gabinecie Ovalnym (chodzi o głośną rozmowę przed kamerami prezydenta Donalda Trumpa i wiceprezydenta J.D. Vance’a z prezydentem Wołodymyrem Zełenskim – przyp. P.K.) wraz z nieprzyjaznymi komentarzami Donalda Trumpa dodały ukraińskiemu przywódcy politycznych skrzydeł. Inni ukraińscy liderzy wsparli go i jego słupki w sondażach wzrosły. Na przykład burmistrz Dnipro Borys Fiłatow stwierdził, że Zełenski „jest naszym prezydentem” i „żadna kłamliwa kreatura z Moskwy, Waszyngtonu czy skądkolwiek nie ma prawa pisać słowa przeciw niemu”. Nie powinno to nikogo dziwić. Słowne krytyki i protekcjonistyczne salwy Trumpa sprawiły, że również kanadyjska opinia publiczna stała się wrogo nastawiona do Ameryki. Wzmogły one poparcie polityczne dla Liberalnej Partii Kanady, postrzeganej jako lepiej przygotowana do konfrontacji z Waszyngtonem.

tymoshenko-petro-poroshenko – przyp. P.K.), że czterech współpracowników Trumpa krążyło po Kijowie, prowadząc rozmowy z „Julią Tymoszenko, ambitną byłą premier Ukrainy, i członkami partii Petra Poroszenki, poprzednika Zełenskiego na stanowisku”. Cel administracji? Wybory, które – jak ma nadzieję Waszyngton – doprowadzą do odsunięcia obecnego prezydenta Ukrainy. Ostatnim amerykańskim prezydentem, który tak jawnie ingerował w ukraińską politykę, był Barack Obama (...). Wysłał do Kijowa Victorię Nuland – neokonserwatywnego jastrzębia – aby wsparła obalenie prezydenta Janukowycza. Nuland reprezentuje sytuującą się ponad podziałami partię wojny, co pozwoliło jej pracować dla administracji Clintona, Busha, Obamy i Bidena. Jednym z jej mentorów był wiceprezydent Dick Cheney. Za granicą nigdy nie miała oporów przed podkreślaniem dyktatu Waszyngtonu. Jej rozmowa z 2014 r. z ambasadorem USA w Kijowie na temat preferowanych przez administrację kandydatów do [ukraińskiego] rządu po puczu – zasadniczo traktująca

Ukrainę jako terytorium zależne Ameryki – została zarejestrowana dla potomności (rozmowę tę, która okazała się w owym czasie dyplomatyczną bombą, można odsłuchać

pod adresem: www.youtube.com/watch?v=WV9J6sxCs5k – przyp. P.K.). (...)

Politico poinformowało, że czterech współpracowników Trumpa krążyło po Kijowie, prowadząc rozmowy z „Julią Tymoszenko i członkami partii Petra Poroszenki, poprzednika Zełenskiego na stanowisku”.

konsekwentnie głosi konieczność powstrzymywania się przez Amerykę od interwencjonizmu. Generalnie jest przekonany o ograniczonych obowiązkach USA w sferze polityki międzynarodowej, czego potwierdzeniem są także fragmenty prezentowanego poniżej tekstu. Warto zwrócić uwagę na określenie w nim państw europejskich jako byłych sojuszników Ameryki. Całość rozważań Bandowa ukazała się na stronie internetowej The American Conservative 13 marca 2025 r.

Wyrażona przez Trumpa publicznie frustracja Zełenskim zdaje się prowadzić amerykańską administrację do interwencji w politykę ukraińską. Politico poinformowało (6 marca ukazał się tam artykuł „Top Trump allies hold secret talks with Zelenskyy’s Ukrainian opponents”, dostępny pod adresem: www.politico.eu/article/donald-trump-allies-secret-talks-voledymyr-zelenskyy-opposition-ukraine-elections-yulia

Próba odsunięcia Zełenskiego przez administrację Trumpa prawdopodobnie nie zakończy się pomyślnie. W rzeczywistości sukces może się okazać gorszy od porażki. Po pierwsze, działania Waszyngtonu poprawiły notowania wyborcze Zełenskiego, czyniąc z niego głównego obrońcę

Ukrainy na forum międzynarodowym. Pomimo powszechnej frustracji wojną ma on dużą przewagę nad potencjalnymi rywalami (24% przewagi nad Wałerijem Załużnym, 34% nad Poroszenką, 39% nad Tymoszenko – przyp. P.K.). (...) [Po drugie] działania Waszyngtonu mogą doprowadzić do politycznej potyczki między USA a ich dawnymi europejskimi sojusznikami. Ci zaś, od dawna przyzwyczajeni do

podważiliby swoją wiarygodność w kraju. Administracja Trumpa została obwiniona o korupcję, niekompetencję i inne problemy. To zaszkodziłoby reputacji Ameryki za granicą i wizerunkowi prezydenta w kraju. (...) Jeśli [Donald Trump] spróbuje narzucić Kijowowi zarówno rząd, jak i ugodę, to jeśli cokolwiek pójdzie źle, wina spadnie na niego. Co jest możliwe, a nawet prawdopodobne.

zmusiły ich do kapitulacji, skutkiem długotrwałym może być jeszcze większa niestabilność, a nawet konflikt.

Podstawowym problemem polityki zagranicznej Joeego Bidena nie było to, że była błędna, choć często taka się okazywała. Chodziło raczej o to, że Biden nie umiał się powstrzymać przed rozwiązywaniem problemów międzynarodowych, pomimo rosnących ograniczeń amerykańskiej władzy. Donald Trump powinien unikać tej samej pułapki. Stawianie Ameryki na pierwszym miejscu nie oznacza próby rozstrzygania problemów świata i narzucania wymagowanych rozwiązań wszystkim, i to wbrew ich woli. Tak

Barack Obama wysłał do Kijowa Victorię Nuland, która jako reprezentantka sytuującej się ponad podziałami partii wojny mogła pracować dla administracji Clintona, Busha, Obamy i Bidena.

polegania na militarnym wsparciu Ameryki i robiący jak najmniej, jeśli chodzi o własną obronę, (...) mogą wykazywać o wiele większą chęć do interweniowania (...). Mogliby odpowiedzieć USA, promując kandydata podatniejszego na ich poglądy. Co więcej, ukraińscy urzędnicy podający się dyktatowi Waszyngtonu, wiążąc USA ze swoimi działaniami,

Porozumienie pokojowe przetrwa tylko wtedy, gdy zostanie zaakceptowane, choćby z oporami, przez ukraiński naród. Przekazanie władzy komuś, kto będzie uchodził za człowieka Ameryki i kto miałby gwarantować wynegocjowane przez USA porozumienie, może się odbić nieprzyjemną czkawką. (...) Jeśli Ukraińcy uwierzą, że to Stany Zjednoczone, a nie Rosja,

jak słuszne było wycofanie się z Afganistanu, podobnie Ameryka powinna opuścić Ukrainę. Administracja USA musi zmienić swoją politykę i zaoferować pomoc w negocjacjach w sprawie porozumienia. Ale o swoim losie może zdecydować tylko Kijów. Ukraińcy powinni zostać sami, aby podjąć tę decyzję w swoim imieniu.

Wstęp, wybór i przekład Piotr Kimla



THE DUMPLINGS
ORKIESTRA

26.04.2025
WARSZAWA
STODOŁA

BILETY: TICKETCLUB.PL

Jak Czesi i Słowacy (nie) szykują się na wojnę

Debaty o przywróceniu obowiązkowej służby wojskowej

Łukasz Grzesiczak

Wicepremier i słowacki minister obrony Robert Kaliňák podczas wizyty w Warszawie pod koniec lutego stwierdził, występując w towarzystwie naszego szefa MON Władysława Kosiniaka-Kamysza, że w razie rosyjskiego ataku Słowacja nie powinna się bronić. Za to Czesi dyskutują o wzmocnieniu możliwości obronnych, ale decyzję utrudnia tocząca się kampania wyborcza.

W styczniu 2023 r., na finiszu czeskiej kampanii przed wyborami prezydenckimi, podczas debaty telewizyjnej ówczesny kandydat Andrej Babiš powiedział, że w przypadku ataku na Polskę lub państwa bałtyckie nie wystąpi żołnierz z pomocą. Babiš przedstawiał się wówczas jako „kandydat pokoju”, a kontrkandydatowi, emerytowanemu generałowi Petrowi Pavłowi, próbował przykleić łatkę byłego wojskowego, który chce wciągnąć Czechów w wojnę z Rosją. Pavel jednoznacznie opowiedział się za wystaniem czeskich wojsk np. do zaatakowanej Warszawy. I to on ostatecznie został prezydentem.

Okazało się, że Andrej Babiš źle ocenił czeskie nastroje po roku inwazji Rosji na Kijów. Jego wypowiedź spotkała się z ogromną krytyką w kraju i za granicą. Następnego dnia próbował wycofać się ze swoich słów, w mediach społecznościowych tłumaczył, że „obowiązkiem światowych polityków jest zapobieganie wojnie”. „Jeśli doszłoby do niej, to oczywiście zastosowałbym się do art. 5, który nie podlega dyskusji”, zapewniał. Warto jednak pamiętać, że wspomniany przepis Traktatu północnoatlantyckiego nie zmusza do wysłania wojsk na pomoc zaatakowanemu sojusznikowi, ale zobowiązuje do podjęcia



Żołnierze czeskiej armii na paradzie z okazji 100. rocznicy jej utworzenia, 28 października 2018 r.

działań, „jakie [kraj sojusznicy] uzna za konieczne, łącznie z użyciem siły zbrojnej, w celu przywrócenia i utrzymania bezpieczeństwa obszaru północnoatlantyckiego”.

Przed rokiem to samo pytanie podczas telewizyjnej debaty w końcówce kampanii wyborczej usłyszeli dwaj słowaccy kandydaci na prezydenta: Peter Pellegrini i Ivan Korčok. Ten drugi podkreślił, że Słowacja nie może być pasażerem na gapę, i zdecydowanie opowiedział się za pomocą. Pellegrini nie zadeklarował przyjęcia z pomocą zaatakowanej Warszawy. Stwierdził, że Słowacja jest do tego stopnia rozbrojona, że nie ma jak przyjść z pomocą, a jej broń została wysłana do Ukrainy. I to właśnie Pellegrini najlepiej wyczuł słowackie nastroje, ostatecznie pokonując w głosowaniu Korčoka, który później dołączył do najsilniejszej liberalnej partii Progresywna Słowacja.

Przywołane sytuacje ilustrują, jak bardzo czeskie i słowackie społeczeństwo różni się w kwestii oceny rosyjskiego zagrożenia. Przygotowany

przez słowacki think tank raport „Globsec Trends 2024”, dotyczący nastawienia społeczeństw państw Europy Środkowej i Wschodniej, pokazuje, że dwa lata po inwazji Rosji na Ukrainę aż 27% Słowaków wciąż uważało Rosję za jednego z dwóch strategicznych partnerów. Podobnego zdania jest jedynie 8% Czechów i – dla porównania – 3% Polaków. Tylko 49% Słowaków uważało, że Rosja jest zagrożeniem dla bezpieczeństwa ich kraju. Podobnego zdania było aż 76% Czechów i 90% Polaków.

Nasi południowi sąsiedzi różnią się nie tylko oceną zagrożenia ze strony Rosji, inaczej także postrzegają odpowiedzialność Moskwy za atak na Kijów. Słowacja jest jedynym z dziewięciu uwzględnionych w badaniu państw naszego regionu, gdzie większość społeczeństwa jest zdania, że to nie Rosja ponosi winę za atak na sąsiada. Według aż 51% Słowaków odpowiedzialność ponosi Ukraina, która nie respektowała praw rosyjskojęzycznej mniejszości, oraz NATO, które prowokowało Rosję. Tylko

41% Słowaków za atak wini Rosję. Dla porównania: pogląd o odpowiedzialności Rosji za atak na Kijów podziela 68% Czechów. Niewiele, bo 26%, uważa, że winę ponoszą sama Ukraina i NATO. Można zauważyć, że w ostatnich kilkunastu latach Czesi skutecznie wyleczyli się z miłości do Rosjan mającej źródło jeszcze w panslawizmie.

W czeskiej klasie politycznej dominuje przekonanie, że nie ma co załamywać rąk nad ostatnimi działaniami prezydenta Donalda Trumpa. Trzeba jednak mieć ich świadomość i liczyć się z konsekwencjami. Głośnym echem odbiła się propozycja Donalda Tuska, który zapowiedział szkolenia wojskowe dla chętnych. Jego pomysł przedstawiony 14 marca w głównym programie informacyjnym publicznej telewizji ČT24 uznano za próbę przywrócenia obowiązkowej służby wojskowej. Dziennikarz Martin Řezníček, ten sam, który pytał Pavla i Babiša o wysłanie wojska na ratunek zaatakowanym sojusznikom, zadał gościom pytanie, czy Czechy powinny przywrócić kilkumiesięczne obowiązkowe ćwiczenia wojskowe.

„W tym momencie nasze społeczeństwo nie jest gotowe do dyskusji o przywróceniu obowiązkowej służby wojskowej. Istnieje wiele możliwości dla obywateli zainteresowanych wsparciem sił zbrojnych, np. w przypadku sił aktywnej rezerwy”, powiedział europoseł Ondřej Kovařík z partii ANO. Polityk opozycji przypomniał, że zawodowa armia próbuje zachęcić obywateli, by wstępowali w jej szeregi, ale mimo wysokich limitów naboru nie udaje się znaleźć chętnych. Zwrócił również uwagę, że sama armia nie jest gotowa na powszechny obowiązkowy pobór, który w sytuacji profesjonalizacji wojska nie ma sensu. Zdaniem Kovaříka ważniejsze jest, by Czesi byli przygotowani na kryzysy, w czym powinny pomagać szkolenia organizowane w szkołach.

Czeski minister nauki i innowacji Marek Ženíšek z rządzącej konserwatywno-liberalnej partii TOP 09 w rozmowie z dziennikarzem zwrócił uwagę, że w Polsce istnieje umowa rządzących i opozycji w kwestii spraw bezpieczeństwa. I przypomniał, że według rządu Petra Fialy nie ma

technicznych możliwości przywrócenia poboru do wojska w czasie tej kadencji. Jednak w przyszłości debata na ten temat będzie konieczna. Także prezydent Pavel wykluczył powrót obowiązkowej służby wojskowej.

Kwestia powrotu do debaty jest tu kluczowa. Prawdopodobnie obecni rządzący po jesiennych wyborach parlamentarnych stracą władzę na rzecz ANO Andreja Babiša. Mimo skomplikowanej sytuacji międzynarodowej w naszej części Europy partie obecnie tworzące czeski rząd nie chcą ryzykować jeszcze większej utraty wyborców, a podnoszenie tematu obowiązkowej służby wojskowej nie jest na rękę Babišowi, sceptycznemu wobec wsparcia Ukrainy i dalszego konfliktowania się z Rosją.

O tym, o czym politycy nie mają odwagi mówić w kampanii wyborczej, mówią czescy wojskowi. W 2024 r. szef Sztabu Generalnego Armii Republiki Czeskiej gen. Karel Řehka przekonywał, że „Republika Czeska w przyszłości będzie musiała rozważyć nowe formy służby wojskowej, czy to obowiązkowej, czy dobrowolnej”. Według generała Czesi powinni mieć 37,5 tys. żołnierzy. To symulacje sprzed powrotu Donalda Trumpa do władzy.

Obecnie czeska armia liczy 24 tys. żołnierzy i niewiele ponad 4 tys. aktywnych rezerwistów – członków sił rezerwowych. Te składają się z ochotników, którzy co roku odbywają dobrowolne ćwiczenia wojskowe nie dłuższe niż 12 tygodni. Nie są zawodowymi żołnierzami, ale ćwiczą, by wesprzeć kraj w razie niebezpieczeństwa.

W Republice Czeskiej powszechny obowiązek obrony kraju (nie mylić z obowiązkową służbą wojskową) spoczywa na mężczyznach i kobietach w wieku od 18 do 60 lat. Można ich zmobilizować w sytuacji zagrożenia państwa lub stanu wojny. Obowiązkowa służba wojskowa została zlikwidowana 1 stycznia 2005 r., od kiedy Czesi mają w pełni profesjonalną armię.

Mało prawdopodobne, by po ewentualnym powrocie do władzy Babiša wrócił też powszechny pobór.

W październiku 2024 r. Instytut Polityki i Społeczeństwa, czyli think tank partii ANO, przygotował raport, w którym przedstawił pomysł na wzmocnienie czeskiego wojska. W analizie tej skrytykowany został pomysł przywrócenia obowiązkowej służby wojskowej – zdaniem jej autora, Jana Rovenkiego, skuteczniejsze byłyby działania skoncentrowane na wzmocnieniu sił aktywnej rezerwy i podniesieniu atrakcyjności armii zawodowej poprzez zaoferowanie lepszych warunków pracy oraz specjalne programy rekrutacyjne.

Autor analizy wierzy jednak, że na pomoc zaatakowanym Czechom ruszą sojusznicy z NATO, co w kontekście ostatnich wypowiedzi

Czeska armia ma 24 tys. żołnierzy i niewiele ponad 4 tys. aktywnych rezerwistów.

Donalda Trumpa nie wydaje się takie oczywiste: „Kolejnym istotnym czynnikiem (argumentem przeciwko wprowadzeniu powszechnej obowiązkowej służby wojskowej – przyp. ŁG) jest przynależność Czech do NATO, co zapewnia bezpieczeństwo poprzez zbiorową obronę i zmniejsza potrzebę znacznego zwiększenia liczebności armii. Nawet w przypadku konwencjonalnego konfliktu zbrojnego Czechy będą mogły liczyć na wsparcie silnej grupy państw sojuszniczych”.

Sąsiednia Słowacja zrezygnowała z obowiązkowego poboru rok po Czechach, w styczniu 2006 r. Dziś tamtejsza armia liczy ok. 20 tys. żołnierzy, reszta – 4,5 tys. – to pracownicy cywilni. W siłach aktywnej rezerwy ma do dyspozycji jedynie 160 (!) przeszkolonych żołnierzy. W przeciwieństwie do Czech u naszych drugich południowych sąsiadów do sił aktywnej rezerwy mogą się zgłaszać jedynie byli wojskowi i osoby z doświadczeniem służby w resortach siłowych. Zdaje się, że Słowaków problem siły ich wojska tak nie zajmuje. Minister obrony Robert Kaliňák na wspomnianej na początku tekstu konferencji prasowej z Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem stwierdził, że Rosjanie zawsze kiedyś sami odejdą. ■

Izraelczycy i Palestyńczycy żywią do siebie nawzajem głęboką nienawiść

Skazani są na powracające cykle przemocy i radykalizację młodzieży

Jakub Katulski

Najnowszą bronią w konflikcie izraelsko-palestyńskim są ograniczenia w swobodzie wyrażania poglądów i wolności zgromadzeń, wprowadzone przez administrację amerykańską. Symbolem poczynań Donalda Trumpa stało się zatrzymanie przez funkcjonariuszy Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego palestyńskiego aktywisty Mahmouda Khalila, absolwenta nowojorskiego Uniwersytetu Columbia. Khalil ma zieloną kartę, a jego żona jest obywatelką amerykańską. Mimo to, wedle tego, co mówi sekretarz stanu Marco Rubio, Khalil może się spodziewać deportacji i utraty

hasła, dystrybuowano materiały popierające Hamas, a żydowski studenci uniwersytetu nie czuli się bezpiecznie, ponieważ byli nękani przez propalestyńskich aktywistów.

11 marca br. w obronie Mahmouda Khalila zwołano na uczelni demonstrację, która zakończyła się ingerencją policji i aresztowaniem tuzina protestujących. Amerykańskie środowiska konserwatywne przekonują, że interwencja i zatrzymanie były konieczne, gdyż działalność Khalila nie nosi w istocie znamion obrony wolności słowa, choć tak przekonują organizacje broniące praw obywatelskich, utrzymując, że arbitralne zatrzymanie demonstrujących uderza w swobody mieszkańców Stanów Zjednoczonych.

bardziej nienawidzi”, można by usłyszeć bardzo zróżnicowane odpowiedzi. Każdy, kto tym konfliktem się interesował, słyszał zapewne cytaty z Goldy Meir, pierwszej (i na razie ostatniej) kobiety w Izraelu będącej szefową rządu: „Pokój nadejdzie, gdy Arabowie zaczną kochać swoje dzieci bardziej, niż nienawidzić nas”. Cytat głośny, doniosły, być może nawet wybitny. W istocie jednak nieprawdziwy, nieuczciwy i wyssany z palca, choć tak chętnie podpierają się nim proizraelscy publicyści.

W rzeczywistości trudno znaleźć źródło tych słów, a przypisywanie ich Goldzie Meir wynika tylko z tego, że rozmaite aforyzmy świetnie się rozprzestrzeniają, zwłaszcza gdy głoszą to, co chcielibyśmy usłyszeć. Ten przypadek jest nie tylko intelektualnie nieuczciwy – wykorzystuje się go wyłącznie po to, by fałszywie przypisywać jednej ze stron dążenie do pokoju, a drugą przedstawiać jako krwiożerczą, pragnącą wojny i pełną nienawiści. To ułatwia dehumanizację przeciwników i od dekad jest mechanizmem stosowanym w tym konflikcie. Teraz jednak niesie realne konsekwencje, które widać właśnie w Izraelu i w Palestynie.

Nienawiść, którą żywią do siebie nawzajem Palestyńczycy i Izraelczycy, jest tym większa, że w ostatnich miesiącach spadły maski, a z ust aktywistów, polityków i wojskowych coraz częściej padają otwarte wezwania do przemocy, na które przyzwolenie daje sam system polityczny, nie pociągając prowodyrów do odpowiedzialności. Kanał 14 telewizji

Przyczyną zatrzymania Mahmouda Khalila był jego propalestyński aktywizm, w tym organizowanie wieców i demonstracji na uniwersytecie.

statusu. Rubio zaznaczył też, że tak będzie wyglądała procedura postępowania wobec wszystkich osób, które „wspierają Hamas”.

Choć Mahmoud Khalil nie usłyszał oficjalnych zarzutów, wiadomo, że przyczyną zatrzymania był jego propalestyński aktywizm, w tym organizowanie wieców i demonstracji na uniwersytecie, szczególnie przeciwko działaniom izraelskiego wojska w Strefie Gazy po wydarzeniach z października 2023 r. Przeciwnicy wieców przekonują, że w czasie protestów wykrykiwano antysemickie

Nie tylko w USA, ale także w Europie zwraca się jednak uwagę na to, że demonstracje, prócz tego, że polaryzują, używają w dodatku języka nienawiści – są pełne antysemickich, antyarabskich czy po prostu nienawistnych haseł wykrzykiwanych przez jednostki czy grupy. Te działania w oczywisty sposób dezintegrują, tak samo jak polaryzujący jest konflikt izraelsko-palestyński.

Gdyby spytać osoby ze środowisk zaangażowanych w demonstracje i w dyskusje na temat izraelsko-palestyńskiego konfliktu, „kto kogo



Protest w Jerozolimie przeciwko premierowi Izraela Benjaminowi Netanjahu, wzywający do zakończenia wojny w Strefie Gazy. 19 marca 2025 r.

izraelskiej, znany z bezkrytycznego sprzyjania ekipie Beniamina Netanjahu, 19 stycznia w programie „Patrioci” prowadzonym przez Jinnona Magala udzielił głosu kontrowersyjnemu rabinowi Awrahamowi Zerbibowi. Na antenie nazwano go „królem D9” (model buldożera marki Caterpillar, z którego korzysta izraelskie wojsko – przyp. J.K.), a on sam głośno chwalił się osobistym wkładem w burzenie palestyńskich domów w Strefie Gazy. Podkreślał przy tym, że ich mieszkańcy nie będą mieli dokąd wrócić, a on chciałby w ten sposób pokazać obywatelom Izraela, że Palestyńczycy w Gazie zostali „zmiażdżeni” – po drugiej stronie są „dziesiątki tysięcy zabitych, którzy zostali zjedzeni przez bezdomne psy i koty, bo nikt się po nich nie zgłosił”.

Taka retoryka może zdawać się szokująca, tym bardziej że ze strony prowadzącego program dało się słyszeć jedynie słowa pochwały i zachęty. Jinnon Magal nie kryje

zresztą nacjonalistycznych poglądów – w przeszłości był w końcu posłem skrajnie prawicowej partii Żydowski Dom. Słowa rabina Zerbiba są też jedynie pokłosiem długich lat dyskursu, który otwierał drogę do przemocy. Pierwszymi odpowiedziami na masakrę z 7 października, kiedy bojownicy Hamasu zaatakowali izraelskie kibuce, zabijając 1,2 tys. osób w ciągu kilku

w której zabicie Araba będzie jak zabicie szczonego”. Szmuel Josef Agnon, przyszły laureat Nagrody Nobla z dziedziny literatury, w 1945 r. porównywał Arabów do psów, wytykając im brak godności i nienawiść wobec cywilizacji. Założyciel partii Kach, rabin Meir Kahane (będący dzisiaj inspiracją dla Itamar Ben-Gewira, lidera skrajnie prawicowej partii

Od dekad izraelska prawica chętnie porównuje Palestyńczyków do zwierząt.

godzin, były głośne, powtarzane w izraelskich mediach wezwania do zrównania Strefy Gazy z ziemią. Od dekad izraelska prawica porównuje Palestyńczyków do zwierząt – jeszcze przed powstaniem Izraela, w latach 30., w łonie Irgunu, ugrupowania będącego awangardą syjonizmu rewizjonistycznego, Josef Kacnelson mówił, że należy „stworzyć sytuację,

Żydowska Siła – przyp. J.K.), mówił, że Palestyńczycy są rakiem, którego należy się pozbyć za wszelką cenę, Icchak Szamir, premier Izraela z ramienia Likudu w latach 80. i na początku 90., porównywał Palestyńczyków do szarańczy, a inny poseł z tego ugrupowania, Jechiel Chazan, w 2004 r. podczas przemówienia w Knesecie nazwał ich robactwem. ▶

Palestyńczycy nie pozostają jednak dłużni. Już w drugiej i trzeciej dekadzie XX w. podczas licznych demonstracji w mandatowej Palestynie dało się słyszeć porównania Żydów do psów. W 1936 r. gazeta „Falastin” (arab. Palestyna – przyp. J.K.) wydawana w Jafie opublikowała

Demonstracje nie tylko polaryzują, ale używają także języka nienawiści – są pełne antysemickich, antyarabskich i nienawistnych haseł.

karykaturę przedstawiającą „syjonistycznego krokodyla”, który przy wsparciu brytyjskiego oficera kolonialnego i zaawansowanego sprzętu wojskowego pożera arabskich sadowników. Współczesne ugrupowania i media palestyńskie chętnie sięgają po metaforę zwierzęcą, mówią o szczurach, świnich i małpach – w 1995 r. Hamas, przekazując informacje o zamachu bombowym w mieście Bajt Lahija, zakomunikował, że zabito „20 psów” i raniono „60 małp”. W 2014 r., po porwaniu przez Hamas trzech izraelskich nastolatków, nominalnie władający

na Zachodnim Brzegu Fatah publikował na swoich profilach w mediach społecznościowych rysunek przedstawiający trzy złapane na wędkę szczury oznaczone białymi gwiazdami Dawida.

Dzisiaj widać wyraźnie, że obie strony konfliktu czują do siebie głęboką nienawiść, a marzenia o jego

pokoju rozwiązanu, w tym dwupaństwowym, można włożyć między bajki. Głęboko zakorzeniona dehumanizacja przyczynia się do tego, że ani Izraelczycy, ani Palestyńczycy takiego zakończenia nie chcą. Ani w nie nie wierzą. Według badań Palestinian Center for Policy and Survey Research we wrześniu 2024 r. 39% Palestyńczyków wyraziło poparcie dla idei rozwiązania dwupaństwowego, lecz aż 48% podało, że preferowaną przez nich metodą uzyskania niepodległości państwa jest walka zbrojna (30% wolałoby negocjacje, a 15%

pokoju opór – przyp. J.K.). Raport Instytutu Gallupa wskazał, że w październiku ub.r. aż 64% Izraelczyków nie chciało rozwiązania dwupaństwowego. Co chyba jednak ważniejsze, po obu stronach widać brak nadziei na poprawę. 66% mieszkańców Izraela i aż 68% mieszkańców Zachodniego Brzegu i Jerozolimy Wschodniej uważa, że trwały pokój nigdy nie zostanie osiągnięty.

W tej sytuacji Palestyńczycy i Izraelczycy są skazani na powracające cykle przemocy i coraz większą radykalizację młodszych pokoleń, które będą co rusz świadkami, ofiarami i sprawcami wzajemnych zbrodni. Trwające na Zachodnim Brzegu zamieszki, bezkarność grup osadników dokonujących samosądów, ataki na dobytek palestyńskich rolników, zamachy w Izraelu przeprowadzane przez członków i sympatyków Hamasu czy innych ugrupowań, a także cykliczne wojny są jedynie symptomem głębszych problemów. Brak trwałych rozwiązań tego konfliktu jest jednocześnie najlepszą pożywką dla wszelkiej maści radykałów, którzy po prostu zapraszają do przekucia w czyny własnej nienawiści.

Jakub Katulski



KSIAŻKI

Ami Ayalon, Anthony David

Bratobójczy ogień

Jak Izrael stał się swoim własnym wrogiem i czy jest nadzieja na przyszłość

tłum. Tomasz Macios

Grupa Wydawnicza Filia, Poznań 2024

Ami Ayalon jest izraelskim admirałem w stanie spoczynku. Był komandosem elitarniej 13. Flotylli, dyrektorem agencji bezpieczeństwa Szin Bet, ministrem w rządzie Izraela i członkiem Knestu. Jako szef agencji bezpieczeństwa rozumiał, że kiedy Izrael prowadzi operacje antyterrorystyczne w sytuacji braku nadziei na polityczne rozwiązanie, palestyńskie społeczeństwo popiera przemoc, ponieważ nie ma nic do stracenia. W trakcie pisania tej książki uświadomił sobie, że życie w służbie kraju uczyniło go ślepy na autodestrukcyjny charakter polityki, która podkopała izraelskie społeczeństwo obywatelskie, przynosząc jednocześnie upokorzenia palestyńskim sąsiadom. A przecież – pisze – „to są ludzie, którzy pragną takich samych praw narodowych jak my i zasługują na nie”. I dodaje: „Jeśli Izrael stanie się orwellowską dystopią, to nie za sprawą garstki uzbrojonych teologów wciągających nas w mroczną przeszłość. Zaprowadzi nas tam świecka większość, milcząca i motywowana strachem”.

(es)



Oko w oko



Tomasz Jastrun

Dywan wyciągnięty spod nóg

Trumf i Musk, czyli schamienie polityki światowej. Straszne, że to płynie właśnie ze Stanów, które były dla nas wzorem demokracji. Czy obserwujemy dramatyczne załamanie się cywilizacji Zachodu? Przecież mali Trumpowie także już są w Europie. I Trump przytula tych swoich braci, jak choćby Orbána. Na razie nie wiemy, jak odpowiadać na zamach na demokrację, który narodził się z naszych trzewi. Nie jesteśmy też pewni, jakie są przyczyny takiego szerzenia się populizmu. Z pewnością głównym sprawcą jest szybkość zmian cywilizacyjnych – jakby ktoś ludziom wyciągał dywan spod nóg, a ci w panice chwytają się bezmyślnie tego, co sztywne i skostniałe.

Kolejny spektakl z Trumpem w roli głównej to konferencja prasowa w obecności sekretarza generalnego NATO Marka Ruttego. Trump kocha robić z siebie błazna, a durniów z tych, którzy mu w spektaklu towarzyszą. Rutte znalazł się w idiotycznej sytuacji. Wokół grupka doradców i republikańskich kongresmenów. Wszyscy nadskakują szefowi, cyniczni i żałośni, grono liżusów z wywalonymi jęzorami. Takich scen spodziewałem się w Rosji, nigdy w Stanach.

„Wybraniec” („The Apprentice”) – bardzo dobry film o młodym Trumpie. Grający go aktor Sebastian Stan kandydował do Oscara. To opowieść, jak Trump uczył się zła – miał tu mentora – jak rósł jego narcyzm, jak podłym stał się człowiekiem. Ta historia stanowi klucz do dzisiejszego Trumpa, ale też do duszy skrajnej prawicy, także naszej, która go popiera. Umiera krzepki w Polsce mit Stanów, również we mnie i czuję się z tym jakoś niezręcznie. „Mit amerykańskiej demokracji trzeba w Polsce obalić – mówi prof. Timothy Snyder. – Trump jest wystarczająco cyniczny, aby grać z Putinem, ale nie jest wystarczająco cyniczny, żeby wygrać. Amerykanie grają w grę, której do końca nie rozumieją. Są w stanie zniszczyć istniejący ład międzynarodowy, lecz nie są w stanie konkurować z Chinami i Rosją”.

Ale jest też inny aspekt tego dramatu. Trump jest zaburzony psychicznie, co nasila się z wiekiem. To narcyz i psychopata. Ostatnio mieliśmy z tym do czynienia w latach 30. Hitler i Mussolini, gdyby nie byli zbrodniarzami, byłiby jak Trump błaznami. Trump zapewne nie jest typem mordercy, nie ma również narzędzi, by wprowadzić w życie wszystko, co mu podpowie chory umysł. W tym wszystkim pada pytanie o wyborców. Miliony Amerykanów uwierzyły w jego brednie, tak jak miliony uwierzyły Hitlerowi i Stalinowi. Przypadek Trumpa okazuje się tym

osobliwszy, że to szaleństwo dzieje się w ramach demokracji, która ma na tyle mocne ramy, że nie da się obalić. Jest więc strasznie, ale nie beznadziejnie.

Ostatnio dwa razy w autobusie widziałem dziewczyny przytłone w erotycznym uścisku. Obyczajowość jednak u nas się zmienia, na pohybel polskiej prawicy.

„Notesy” Andrzeja Wajdy to prawdziwa kopalnia z wieloma cennymi kamieniami. Żywa, rozedrgana wrażliwość i inteligencja reżysera. Zawsze był na wojnie o sztukę, szukał gorączkowo inspiracji. Jest też trochę polityki. W roku 2007 Wajda pisze: „Nie pogardzałem dotąd żadną władzą tak bardzo jak obecną. Są niezależni od Wielkiego Brata, ktokolwiek nim jest, a zachowują się podle”. Wcześniej notuje: „Najgorsze, że świat Kaczyńskich, z ich intrygami i humorami, jest też światem ich wyborców – frustratów i nieudaczników. Ich zwycięstwo wspiera

Na razie nie wiemy, jak odpowiadać na zamach na demokrację, który narodził się z naszych trzewi.

większość przerażoną wysiłkiem, jaki trzeba włożyć, żeby w tych czasach utrzymać się przy życiu. Widząc Lecha na fotelu prezydenta z wiszącymi nad podłogą nogami, oddycham z ulgą. Kartofel na tronie”. A przecież Wajda pisał to za pierwszego PiS, które przy obecnym wydaje się niemal pocziwe.

Śmierć współpracowniczkę prezesa, Barbary Skrzypek, trzy dni po przesłuchaniu w sprawie słynnych dwóch wień Kaczyńskiego, urosła do rozmiarów makabrycznej groteski. Współczuję rodzinie. Prezes i PiS wołają do rządzących: łotry, mordercy, Tusk i Bodnar zamordowali pocziwą kobietę. Media pisowskie plują żółcią i jadem. Mord wisi w powietrzu. W ciągu trzech dni od przesłuchania do śmierci kobiety rozmawiał z nią prezes, zdawała mu relację z przesłuchania, zmarła więc nie po przesłuchaniu, lecz po rozmowie z nim. Kopiując paranoiczne myślenie prawicy, należy uwierzyć, że prezes dołączył jej do kawy medykamentu, by doznała zawału i na dalszych przesłuchaniach nie ujawniła całej prawdy. Jesteśmy w wirującym kręgu obłędu, do którego ochoczo dołącza Duda. Ależ on podryguje – co za upiorny taniec.

MARZENIA, które utknęły na granicy

Kolumbia, Ameryka i ciężar odpowiedzialności

Piotr Wójciak-Pleyn

Korespondencja z Kolumbii

W styczniu tego roku grupa Kolumbijczyków została deportowana z USA w atmosferze międzynarodowego skandalu. Stali się tłem pierwszej dyplomatycznej burzy nowej kadencji Donalda Trumpa. Prezydent nazwał migrantów kryminalistami i kazał zakuć w kajdanki, choć żaden z nich nie popadł w konflikt z prawem. Uciekali przed przemocą i biedą, kierowani naiwnością i desperacją.

Kolumbijska rzeczywistość jest ściśle związana z amerykańskimi ambicjami kształtowania świata. USA, z ich interesami i problemami wewnętrznymi, są obecne w Kolumbii od lat. Dziś, gdy granice Ameryki zamykają się, pytanie o jej odpowiedzialność za losy kolumbijskich migrantów zyskuje na wadze.

Gdy w 1962 r. pułkownik armii amerykańskiej William P. Yarborough wylądował w Kolumbii, zastał kraj, w którym wrzał duch rewolucji. Przewrót na Kubie rozpałał wyobraźnię progresywnych ruchów społecznych. Służąc chłodną ekspertyzą, apostoł strategii antypartyzanckich miał pomóc zdusić rewolucyjny ferment. Sugerował wypowiedzenie brudnej wojny wrogowi wewnętrznemu. W tajnym raporcie Yarborough zalecał stworzenie struktur kontrwywiadu i terroru wobec komunistów. Powstałe na mocy tej dyrektywy oddziały paramilitarne były jak dżin wypuszczony z butelki, który jeszcze przez dekady podsycał najdłuższą wojnę domową na zachodniej półkuli.

Wkrótce po wizycie amerykańskiej delegacji armia kolumbijska wdrożyła wytyczne Waszyngtonu. Celem była jedna z „niezależnych republik” – autonomiczna enklawa rządzona przez organizacje chłopskie. Przez dwa tygodnie armia atakowała 50 partyzantów we wsi Marquetalia. Stosowano bombardowania, tortury i broń chemiczną. Ogłoszony w prasie triumf okazał się pozorem – zajęta wieś świeciła pustkami. Uciekinierzy stworzyli FARC, rozpyłwając się w dżungli jak duchy. Przez lata liderzy partyzantki głosili, że brutalne

taksówkę, pracował na targu, handlował. Kiedy wybuchła pandemia, wyjechał do miasteczka Riosucio, do matki. Rządził tam Clan del Golfo, największa w kraju grupa przestępcza o korzeniach paramilitarnych. Działo się tam wiele złych rzeczy, gangsterzy zabijali policjantów. Ale myślał: „To moje rodzinne miasteczko, nie mogę się bać. Nie robię nic złego”. Napadli go podczas powrotu z trasy. Znow stracił wszystko. Grozili mu śmiercią za bycie donosicielem. Miał już nigdy więcej nie pokazywać się w Riosucio.

Migranci wiedzieli, że zaprzysiężenie Trumpa stanowi cezurę – po nim drzwi się zatrzasną na dobre.

kampanie wojskowe z tamtego okresu były dowodem na konieczność podjęcia walki zbrojnej. Atak na Marquetalię uznaje się za symboliczny początek konfliktu w Kolumbii.

José Vincente to jeden z ponad 6 mln przymusowo przesiedlonych Kolumbijczyków. Jest nim od 20 lat. W innym życiu mieszkał na wzgórzach okalających Medellín. Miał hodowlę bydła. Ale w Kolumbii dochodowy interes przyciąga gangi. Pewnej nocy przyjechały ciężarówki grupy paramilitarnej. Napastnicy skrupowali go, okradli i kazali się wynosić. Prokuratura wpisała go do rejestru ofiar i przyznała skromne wsparcie.

Gdy stracił wszystko, jego dom zaczął się rozpadać. Żona z dwojgiem dzieci wyjechała do USA i zerwała kontakt. Został mu tylko strach. Próbował przetrwać – prowadził

Prawie 60-letni José Vincente sprzedał wszystko, co mu pozostało, a brakującą sumę pożyczył. W maju 2024 r. wyruszył przez przesmyk Darién, by dotrzeć do USA. „Chciałem tam znaleźć lepszą przyszłość i odnaleźć dzieci, których nie widziałem od 12 lat”.

W Ameryce lat 80. w modzie była kokaina. Odzwierciedlała reaganowski indywidualizm i blichtr. Jej źródło biło tysiące kilometrów na południe w andyjskiej dżungli. 40 lat później Gustavo Petro w ONZ zwrócił się do Zachodu: „Służymy wam za wymówkę dla pustki i samotności waszego społeczeństwa. Ukrywamy przed wami problemy, których reformy się wzbraniacie. Łatwiej jest wypowiedzieć wojnę dżungli, jej roślinom, jej ludziom”. Petro mówił o dekadach porażek ponoszonych przez USA w walce z własnym



28 stycznia grupa Kolumbijczyków została deportowana z USA w atmosferze międzynarodowego skandalu.

nałogiem. Starań równie nieskutecznych, co szkodliwych dla kraju, w którym rosla koka.

Na przełomie wieków Kolumbia stała nad przepaścią. Za sprawą pieniędzy z handlu kokainą, korupcji i przemocy przestępczość zorganizowana rozkładała demokrację od środka. Podczas wizyty w Cartagenie Bill Clinton zadeklarował: „Kolumbijscy przemytnicy grożą bezpieczeństwu Ameryki”. W 2000 r. USA wdrożyły wart 10 mld dol. Plan Kolumbia, by zwalczać narkotyki i wspierać rząd w walce z rebeliantami.

Mówiono o cudzie – kraj wydawał się odradzać. Plan Kolumbia wzmocnił kolumbijskie siły bezpieczeństwa, osłabił rebeliantów. Lecz o tym, że cuda się nie zdarzają, świadczył krwawy szlak ciągnący się za amerykańską inwestycją. Wsparcie dla kolumbijskiej armii było wsparciem dla oddziałów paramilitarnych, nieoficjalnej dywizji wojska. Paramilitarne grupy, wspierane przez Plan Kolumbia, popełniły najwięcej zbrodni ze wszystkich aktorów konfliktu, dopuszczały się masakr cywilów i zamachów politycznych. Krytycy mówili o mechanizmie brutalnego kapitalizmu – cynicznej strategii eliminowania przeszkód dla międzynarodowego kapitału i przemysłu wydobywczego. Konflikt trwał, choć wypchnięty na prowincję.

Gdy w styczniu br. wznowiono krwawe konfrontacje w Catatumbo, Luisa już była w drodze do Stanów. Wychowana w kokainowym regionie na granicy z Wenezuelą, od dziecka doświadczała przemocy. Po raz pierwszy wysiedlono ją, gdy miała osiem lat. Od tej chwili jej życie toczyło się w rytmie konfliktu: ucieczka, powrót, ucieczka.

Wyszła za mąż w wieku 14 lat, krótko potem urodziła dziecko. Pracowała dla jednej z guerilli, które dawno straciły rewolucyjny charakter. Gdy ona gotowała dla partyzantów, jej córeczka bawiła się obok. „Właśnie wtedy po raz pierwszy poczułam, że moje życie może się w każdej chwili skończyć”. Gdy przyszli bandyci z wrogiej grupy, wzięła córkę na ręce i uciekła, ale strach nie minął.

Wracała, gdy robiło się spokojniej. Pracowała u rodziny, zarabiacząc grosze. Uczyla się, próbowała utożyc sobie życie. Ale popełniła błąd. Związała się z członkiem jednej z grup, urodziła dziecko. Kiedy od niego odeszła, zaczęły się groźby. Ostatnia w grudniu 2023 r. Mówili, że mogą zabić dzieci. Człowiek ma granice wytrzymałości. Powiedziała sobie: „Wyjadę, poszukam lepszego życia, zobaczę, czy uda mi się od tego wszystkiego uwolnić”. Znajomy

ze Stanów opowiadał, że tam życie jest inne, nie trzeba bać się każdego dnia. W Wielkanoc zostawiła dzieci w bezpiecznym miejscu i ruszyła w drogę. Miała 400 dol.

Wojną z dżunglą, o której mówił Gustavo Petro, była kampania spryskiwania kolumbijskich lasów glifosatem. Oficerowie z doświadczeniem z Wietnamu zakładali z amerykańskim optymizmem, że kokaina zniknie w pięć lat. Ledwie miesiąc później stało się jasne: kampania jest katastrofą. Samoloty truty wszystko – uprawy, zwierzęta, ludzi. Koka obumierała w jednym miejscu, by zaraz pojawić się w nowym, ciągnąc za sobą przemoc.

Przez walkę z narkotykami ucierpieli ci, którzy mieli z nich najmniej: kolumbijscy chłopci, miotani podmuchami cen na światowych rynkach. Między opryskami USA promowały zastępowanie koki legalnymi uprawami. Ale gleba w dżungli jest płytka i kwaśna, nie nadaje się do upraw przemysłowych. Nie ma dróg, by eksportować plony. Prawo ekonomii jest nieubłagane: na świecie nie ma rynku zbytu dla legalnych produktów z dalekiej prowincji Kolumbii. Więc zostaje koka – wiecznie zielona i pożądana.

Darién to czysta dżungla, pełna bagien. Jest bardzo wilgotno, łatwo się poślizgnąć. „Po drodze widzieliśmy martwych młodych ludzi. Niektórzy dostają zawału, inni nie wytrzymują, są chorzy. Ale co zrobić? Trzeba iść dalej. Idzie się i nie zwraca uwagi na to, co leży po drodze. Trzeba dotrzeć jak najszybciej do Panamy”, wspomina José Vincente.

Okazało się, że dżungla to nie – Meksyk to prawdziwy koszmar. Płacisz za każdy krok albo giniesz. Nad grupami migrantów po drodze krążą sępy – okradają ich członkowie grup przestępczych, policjanci, oficerzy migracyjni. W Mexico City José Vincente utknął bez pieniędzy. Pracował na targu, aż nabawił się przepukliny. Szwagier zapłacił przemytnikowi 9 tys. dol. i pojechał. On został. Z nowym rokiem czas zaczął się kurczyć. Migranci wiedzieli, że zaprzysiężenie Trumpa stanowi

► cezurę – po nim drzwi zatrzasną się na dobre. „Miałem przy sobie dokumenty potwierdzające status przesiedleńcy, więc żyłem nadzieją, że pozwolą mi przejść. Chciałem prosić o azyl”.

Wreszcie wyruszył na granicę. „Było już bardzo późno. Widziałem tylko światła graniczne i biegle, biegle... aż nagle pojawiły się samochody migracyjne. Jakby już wiedzieli, że się tam dostaliśmy”. Wszystko stało się tak szybko. Osiem miesięcy drogi. Kilka minut wolności. Potem areszt i deportacja. Najpierw skuci, z kajdankami na rękach i nogach, w amerykańskim transporcie. Potem bez kajdanek w samolocie, który wysłał prezydent Petro, w geście godności wobec tych, których Ameryka uznała za niepożądanych.

Ostatnim aktem współpracy między USA i Kolumbią była umowa o wolnym handlu (FTA). Traktat z 2011 r., eliminując cła i bariery, zakładał większą wymianę handlową i inwestycje, co miało promować

dochody wielu chłopów znacząco spadły, co pogłębiło ubóstwo na wsi. Ówczesny minister rolnictwa Carlos Cano przewidywał trzy opcje dla chłopów: migracja, uprawa koki lub współpraca z mafią. Miał rację. Ironią jest, że kolumbijsko-amerykańskie porozumienie, zamiast pomóc, pogłębiło problem narkotyków, zmuszając rolników do powrotu do koki.

Luisa przez Darién szła szybko, nie oglądając się za siebie. Słyszała historie o gangach, które czyhają w dżungli. Nie zaglądała po drodze do namiotów, w których chowano ciała zmarłych. Jednych okradano, drudzy upadali, nie mieli siły iść dalej. Ktoś wpadł do rzeki – plecaki wciągnął go pod wodę. Ona szła dalej.

Przeprawa przez Amerykę Środkową trwała 19 dni. Potem Luisa utknęła w Meksyku. „Jest jak kłątwa. Ledwo tam wchodzisz, a już zaczynają się problemy”, twierdzi. Po drodze okradano ją na każdym kroku. Większość trasy pokonała pieszo, nikt się

Kolumbia ma własne demony – wojny toczyły się tam na długo przed zaangażowaniem Ameryki w jej sprawy wewnętrzne. Klasa polityczna tego kraju – od zawsze skorumpowana i chciwa. Za spust pociągają rodowici Kolumbijczycy. Jednak rola USA w niekończącym się konflikcie nie jest przypadkowa.

Kiedy w „Nostromo” Joseph Conrad ustami Holroyda, amerykańskiego finansisty w fikcyjnym kraju Costaguana, mówi: „Weźmiemy sprawy świata w ręce, bez względu na to, czy to światu się spodoba czy nie”, przepowiada nadchodzący wiek amerykańskiego miru. Dziś Trump jest być może karykaturą Holroyda, ale podobne myślenie charakteryzowało wszystkich amerykańskich prezydentów, którzy ingerowali w wydarzenia w Kolumbii. Sprawy świata pozostają w coraz bardziej niestabilnych rękach USA, a konsekwencje tego zarządzania poniesiemy wszyscy.

Nawet o szczęściu migranta zawsze na koniec decyduje pieniądź. José Vincente nie zdołał spełnić marzenia o dotarciu do USA i odnalezieniu dzieci. „Gdybym miał wystarczająco dużo pieniędzy, zapłaciłbym kojotowi i przeszedłbym. Mój szwagier jest teraz w Ameryce”. On wrócił z ubraniami w worku na śmieci. Mieszka kątem i czeka na pomoc od rzędu dla deportowanych.

Po powrocie do Bogoty Luisa została uznana za wewnętrznie przesiedloną. Spędziła poza Kolumbią rok. Za granicą mimo trudów wędrówki poczuła spokój, którego tu nigdy nie zaznała. Teraz wraca do miejsca, gdzie nie ma nic ani nikogo. Napisała do MSZ, prosząc o możliwość wyjazdu do innego kraju. „Chcę spróbować gdzieś indziej, znaleźć lepszą przyszłość. Nie po to uciekałam przed przemocą i zagrożeniem, by wrócić do Catatumbo”. Ale teraz – cisza. Jakby przestali istnieć. I znowu ogarnia ją strach.

Piotr Wójciak-Pley

Autor jest doktorem na Uniwersytecie Autonomicznym w Barcelonie, specjalizuje się w problematyce Kolumbii i Ameryki Łacińskiej

Dżungla to nic – Meksyk to prawdziwy koszmar. Płacisz za każdy krok albo giniesz.

wzrost gospodarczy obu krajów. W rzeczywistości USA narzuciły Kolumbii neoliberalny model rozwoju ekonomicznego, który nieproporcjonalnie promował amerykańskie interesy. Mimo obietnic dobrobytu po 2012 r. Kolumbia od nadwyżki handlowej przeszła do deficytu, pogłębiając zależność od eksportu surowców. Międzynarodowym korporacjom, kluczowym dla wprowadzenia w życie FTA, zależało na zmniejszeniu kosztów produkcji, taniej sile roboczej oraz środowisku wolnym od związków zawodowych. Bankiet dla wielkiego kapitału oznaczał dla lokalnych społeczności dotkliwy rachunek w postaci pogorszenia warunków pracy, nierówności i degradacji środowiska.

Umowa o wolnym handlu była szczególnie szkodliwa dla kolumbijskich rolników. Kraj załała subsydiowana żywność z USA. W efekcie

nie zatrzyma, bo kartele zabijają za pomoc migrantom. Gdy jechała autobusem do Tijuany, porwała ją straż migracyjna. Luisa tłumaczyła, że ma wizytę w urzędzie, ale tylko się śmiała. Przez półtora tygodnia siedziała w kontenerze. Żądali 2,5 tys. dol. Grozili sprzedażą do burdelu, wysyłali rodzinie nagrania z bronią przy jej głowie.

Za część okupu posłużył telefon, resztę pożyczył znajomy. Ruszyła „Bestią” – pociągiem migrantów. Wskoczyć na ten pociąg, złapać się czegośkolwiek, żeby się utrzymać – to było przerażające. Widziała ludzi, którzy spadali i ginęli pod kołami. W Juárez zapłacili kolejnemu kartełowi za przejście granicy. 18 stycznia przeczołgali się przez dziurę. Zdążyła zobaczyć w oddali amerykańskie domy z pomarańczową dachówką. Po drugiej stronie już czekała straż graniczna.

Ustawa zweryfikuje psychoterapeutę

Szukając pomocy, tak naprawdę nie wiemy, kto jest rzetelnym specjalistą, a kto nie

Rozmawia Dominika Tworek

Co dla mnie – jako potencjalnego klienta psychoterapii – zmieni się po wprowadzeniu ustawy o zawodzie psychoterapeuty?

– Przede wszystkim dziś praktycznie każdy, kto chce, może sobie wywiesić tabliczkę, że jest psychoterapeutą. Szukając dla siebie pomocy, tak naprawdę nie wiemy, kto jest rzetelnym specjalistą, a kto nim nie jest. Ustawa spowoduje, że samorząd zawodowy zweryfikuje szkolenie tej osoby i wpisze ją do odpowiedniego ogólnopolskiego rejestru. Czyli będziemy mieli jedną instytucję, do której wszyscy psychoterapeuci będą obligatoryjnie przynależeli. Każdy specjalista będzie weryfikowany pod kątem odpowiedniego przygotowania merytorycznego, ale też wymogów etycznych do wykonywania tak wrażliwego społecznie zawodu. Tym samym psychoterapeuta zdobędzie status zawodu zaufania publicznego.

Gdy nazwisko danego „terapeuty” wyświetli nam się w tym rejestrze na czerwono, będzie to oznaczało, że tę etykietę nadał sobie samowolnie?

– Inaczej: jeżeli jakaś osoba tam widnieje, jest psychoterapeutą. Co więcej, w rejestrze będziemy mieli również informacje, w jakim nurcie pracuje, do czego ma uprawnienia, jakie ma dyplomy czy certyfikaty. Bo z psychoterapią jest trochę jak z wizytą u lekarza. Nie pójdziemy do chirurga, jeśli bolą nas uszy. Dlatego zależy nam na tym, żeby samorząd był instytucją, która niejako prowadzi pacjentów. Informuje, jaka metoda jest właściwa do jakich problemów, oraz

w czym specjalizują się dani psychoterapeuci, bo tych nurtów psychoterapii jest sporo i osobie spoza branży często trudno się zorientować, do kogo konkretnie należy się udać. Chcemy, żeby istniało jedno miejsce, które w neutralny i merytoryczny



ANNA GRZELKA

– redaktorka ustawy o zawodzie psychoterapeuty, razem z dr. n. med. Łukaszem Müldnerem-Nieckowskim koordynuje prace grupy roboczej ds. tej ustawy. Certyfikowana psychoterapeutka Polskiego Towarzystwa Psychoterapii Psychoanalitycznej i Instytutu Studiów Psychoanalitycznych im. Hanny Segal, superwizorka i członkini zarządu ISPHS oraz członkini zespołu dydaktycznego Krakowskiej Szkoły Psychoterapii Psychoanalitycznej.

sposób zbiera informacje na temat psychoterapii. Bo wiemy, że dziś pacjenci są często w tym wszystkim pogubieni.

Co jeszcze zmieni umocowanie prawne psychoterapii?

– Psychoterapeuta będzie miał nadaną ochronę tajemnicy zawodowej, jak w przypadku lekarza, adwokata czy dziennikarza. Obecnie, gdy do psychoterapeuty zapuka policja i powie: „Chcemy pana przesłuchać na okoliczność terapii prowadzonej z Janem Kowalskim”, realnie można go zmusić do ujawnienia tajemnicy zawodowej, bo nie jest to usankcjonowane.

Psychoterapeutą będzie mogła się tytułować wyłącznie osoba, która ukończyła minimum czteroletnie podyplomowe studia psychoterapeutyczne. Co jest zadziwiające, takie szkolenie może odbyć nie tylko psycholog. Dlaczego?

– Ukończenie psychologii nie jest równoznaczne z predyspozycjami do bycia psychoterapeutą i wcale nie gwarantuje jakości prowadzonej psychoterapii. Z doświadczenia supervisorów wynika, że czasem świetnie pracuje ktoś po zupełnie innym kierunku bazowym niż psychologia. W szkoleniu psychoterapeutów weryfikacji podlegają predyspozycje osobowościowe, kompetencje interpersonalne oraz dojrzałość emocjonalna. Czteroletnie szkolenie psychoterapeutyczne to mały element całości i dopiero początek drogi. Najważniejszymi elementami są: psychoterapia lub tzw. doświadczenie własne, superwizja (czyli praca pod opieką doświadczonego specjalisty) i staż kliniczny. Psychoterapeuta przechodzi więc wieloletnie, trudne szkolenie, ►

► w praktyce trwa ono 7-10 lat do uzyskania certyfikatu.

Czy to oznacza, że psychoterapeuci mogą nie mieć wystarczającej wiedzy z dziedziny psychologii?

– Wprowadziliśmy wymóg egzaminu z psychologii (oczywiście dla tych, którzy psychologii klinicznej nie studiowali) i wymóg egzaminu z medycyny – głównie psychiatrii (dla tych, którzy nie studiowali nauk medycznych). Dodam jeszcze, że dziś na ponad 140 kierunków psychologicznych więcej niż 90 nie ma pozytywnej akredytacji Polskiej Komisji Akredytacyjnej. Zatem obecnie trudno ocenić jakość zdobytego wykształcenia psychologicznego.

Filozof terapeuty – to jakoś mi się zgadza, ale prawnik czy dentysta?

– Przez ostatnie 30 lat certyfikaty psychoterapeuty – i mówię o tych po rzetelnych i wymagających szkoleniach – uzyskiwały osoby z różnymi tytułami magisterskimi i takie jest też obecne prawo. Stowarzyszenia w różny sposób dbały, aby każdy psychoterapeuta był rzetelnie przygotowany. Polskie Towarzystwo Psychologiczne stosowało wymóg egzaminu z psychologii klinicznej. Wzorowaliśmy się na tym rozwiązaniu, rozszerzając je o część medyczną oraz szkolenie uzupełniające, wyrównujące wiedzę bazową z obu modułów.

Dziś praktycznie każdy, kto chce, może wywiesić tabliczkę, że jest psychoterapeutą.

Idę do psychologa, idę do psychoterapeuty. Jaka jest różnica?

– Pomoc psychologiczna z założenia nie wnika w głębsze struktury osobowości. Obejmuje różne formy wsparcia w codziennych problemach życiowych. Jeżeli przychodzi osoba, u której widać, że trudności tkwią głęboko w strukturze jej charakteru, potrzebna jest psychoterapia. Żeby móc owe trudności przepracować, trzeba przede wszystkim stworzyć warunki, w których rozwinie się taki rodzaj relacji terapeutycznej, że psychoterapeuta będzie mógł stosować określone narzędzia.

To znaczy?

– Na przykład ktoś może na co dzień czuć się zbyt często oceniany



i krytykowany, może mieć w sobie przeświadczenie: „Jestem okropna, nic nie umiem, a wszyscy wokół ostro mnie oceniają”. Jeśli ktoś taki przychodzi do gabinetu, tu również będzie się bał surowej oceny psychoterapeuty. Bo będzie przeżywał tę relację zgodnie z tym, jak ukształtowały go wcześniejsze doświadczenia. Właśnie w relacji terapeutycznej można to przepracowywać, a psychoterapeuta powinien dobrze rozumieć

opinię, będzie zdobywał wiedzę z zakresu psychopatologii, podstawowych interwencji, np. kryzysowej czy prowadzenia treningu.

W wymogu superwizji i psychoterapii własnej chodzi o to, że psychoterapeuci muszą sami być zdrowi psychicznie?

– Powiedziabym, że dojrzałym emocjonalnie. Bo każdy człowiek ma jakieś obszary, w których jest mu trudno. Rolą terapeuty jest to rozumieć i mieć przepracowane własne bolesne doświadczenia. Nasza dojrzałość jest szczególnie istotna w przypadku pacjentów głęboko zaburzonych osobowością, którzy wzbudzają różne emocje w otoczeniu. Psychoterapeuta musi to poczuć i rozróżnić, co wnosi pacjent, a co jest jego. I odpowiednio z tym postępować, nie dać się temu sprowokować. Czyli my jesteśmy tu narzędziem emocjonalnym, które musi rozumieć, co w tym procesie się dzieje.

To wszystko i tak stuprocentowo nie chroni nas przed nadużyciami. Po prostu relacja na linii psychoterapeuta-pacjent jest szczególnie intymna i autorytarna.

– Nie ma takiej ustawy, która w stu procentach uchroni nas przed nadużyciami. Natomiast możemy, po pierwsze, jasno określić, kto ma kompetencje psychoterapeutyczne.

zjawiska i proces emocjonalny, który temu towarzyszy. To metoda, którą ja się posługuję, ale jest wiele innych, kładących nacisk na inne aspekty procesu terapeutycznego.

Z psychologiem nie przepracowuje się wcześniejszych doświadczeń?

– Psycholog nie powinien robić interpretacji wglądowych, stwierdzając, że to osoba, która wymaga głębokiej terapii, albo potrzebna jest terapia pary czy rodzinna. Powinien rozpoznać problem i przekierować do odpowiedniego specjalisty. Psycholog, który wybiera specjalność kliniczną na studiach (bo są też inne, jak psychologia pracy), będzie się uczył stosowania czy budowania narzędzi diagnostycznych, wydawania

Po drugie, przewencyjnie trzymać pieczę nad jakością szkoleń. Trzeba kontrolować szkoły i poziom egzaminów w tych szkołach. W tej chwili powstają kursy na setki osób w wersji online, a psychoterapii nie da się nauczyć w grupach po 400 czy 300 osób. To powinny być małe grupy do 15 osób. Nasza ustawa wprowadza takie ograniczenie.

Znam osoby, które są terapeutami. Mają wszystko, o czym rozmawiamy: terapie własne, superwizję, certyfikaty. Jednak obserwując ich patologiczne zachowania w życiu codziennym, nie mogę odeprzeć wrażenia, że przenoszą je na swoich klientów.

– Pieczę nad przygotowaniem zawodowym to pierwszy bastion ochrony pacjentów. Natomiast drugim punktem jest odpowiedzialność dyscyplinarna za popełnione naruszenia. Jeżeli do jakiegoś naruszenia już doszło, możemy złożyć skargę do samorządu, który ma sąd koleżeński. Z drugiej strony chcę podkreślić, że bardzo łatwo jest oskarżyć psychoterapeutę.

Dlaczego?

– Bo zrzuca się na niego wiele trudnych emocji i pacjent często przeżywa kontakt z terapeutą w sposób zniekształcony. Dlatego należy być bardzo ostrożnym w ferowaniu wyroków. Chodzi więc o to, żeby potencjalna odpowiedzialność dyscyplinarna była oceniana przez ludzi, którzy specjalizują się w danym podjeście psychoterapeutycznym. Żeby specjaliści, którzy na tym dobrze się znają, wydali ocenę, słuchając obu stron: i pacjenta, który mówi, że został pokrzywdzony, i terapeuty, który opowiada, jak prowadził ten proces. Taka decyzja powinna być podjęta spokojnie, ponieważ waży ona nie tylko na życiu tego pacjenta, ale i na życiu jego terapeuty i kolejnych pacjentów. Bo jeżeli my mamy możliwość, żeby zareagować na sytuację przekroczeń, np. odebraniem prawa do wykonywania zawodu, to następni pacjenci już nie trafią pod skrzydła tej osoby.

Jeżeli do terapeuty przyjdzie nowy pacjent, który przez lata terapii potencjalnie zostawi w jego gabinecie dziesiątki tysięcy złotych, niewiary-

godne wydaje się, że ten powie mu: „Nie potrzebuje pan terapii” i odeśle do psychologa. Żyjemy przecież w kapitalizmie.

– Aktualna rzeczywistość specjalistów wygląda następująco: jest nas tak mało, że my mamy raczej problem, jak zrobić, żeby osoby, które do nas dzwonią, miały gdzieś miejsce. I organizujemy się między sobą, żeby znaleźć je pacjentom w różnych dramatycznych sytuacjach. Co czasem jest bardzo trudne. Pracuję z młodzieżą i nie ma tygodnia, żeby ktoś nie dzwonił w sytuacji: „Moje dziecko ma myśli samobójcze. Kiedy ma pani czas?”, a ja wiem, że muszę odmówić i nie mam go do kogo wystać, bo nikt nie ma terminu. To

Psychoterapeuta zdobędzie status zawodu zaufania publicznego.

trudne emocjonalnie doświadczenie wielu z nas. My naprawdę nie potrzebujemy trzymać kogoś w terapii tylko dlatego, że chcemy zarabiać.

W kontrze do ustawy jest środowisko psychologów.

– To prawda, że środowisko psychologów nieterapeutów jest w mocnej opozycji. Zarząd główny Polskiego Towarzystwa Psychologicznego dąży do uzyskania pieczy nad psychoterapią i nie zgadza się z dążeniem psychoterapeutów do własnego samorządu zawodowego. Natomiast zarówno przedstawiciele zarządu sekcji psychoterapii tego towarzystwa, jak i 40 stowarzyszeń psychoterapeutów chcą pełnej, odrębnej regulacji psychoterapii. Bo tylko taka forma zabezpiecza wszystkie osoby korzystające z psychoterapii. Wniesiona do Sejmu ustawa jest również popierana przez środowisko akademickie i klinicystów. Wystosowali oni apel w sprawie regulacji, sygnowany przez 93 osoby, w tym 20 profesorów zajmujących się od wielu lat badaniami psychoterapii.

Szkoły psychoterapii plus koszty superwizji i terapii własnej idą nawet w setki tysięcy złotych. W związku z czym terapia to usługa elity dla elity.

– Szkolenie terapeutyczne jest bardzo wymagające i w tej chwili

finansowane z własnych kieszeni. To prawda, że bardzo dużo kosztuje, chociaż nie uważam, że jest ono dla elity. Wiele osób na kształcenie zaciąga kredyty, pożyczka od bliskich albo bardzo dużo pracuje. One po prostu robią to ogromnym wysiłkiem – siłą pasji i determinacji.

Jednak chciałoby się, żeby dostęp do pomocy psychoterapeutycznej miało całe społeczeństwo.

– Żeby mogło to się stać, potrzebujemy przede wszystkim struktur, które organizują zawód. Jeżeli będziemy mieli zawód uregulowany prawnie od początku do końca, możemy zabiegać o dofinansowanie szkoleń. Bo jeśli państwo ma dać na to pieniądze, przede wszystkim musi

wiedzieć, że szkolenie ma określone standardy. Proponując akredytację szkoleń, weryfikację egzaminów, kontrolę podmiotów szkolących, dajemy państwu rodzaj glejtu, ponieważ samorząd pełni wtedy funkcje administracyjne, które są przekazywane mu przez państwo. Możemy więc iść do rządu i przedstawiać mu konkretne argumenty.

Dlaczego państwo powinno uczestniczyć w finansowaniu szkolenia psychoterapeutów?

– Ponieważ jest ich stanowczo za mało, a bez nich nie poradzimy sobie z kryzysem zdrowia psychicznego. Idąc dalej, osoba, która otrzymała pomoc psychoterapeutyczną odpowiednio wcześniej, nie będzie generowała kosztów dla systemu w postaci wielokrotnych hospitalizacji, w tym w związku z chorobami somatycznymi, które się rozwijają, kiedy psychika jest przeciążona, rent socjalnych, a przede wszystkim kosztów osobistych i społecznych.

Dominika Tworek

* Wywiad konsultowała mgr Anna Kazuła, koordynator Zespołu Psychologów Oddziałów Psychiatrycznych Dziennych Centrum Medycznego Gizińscy w Bydgoszczy, członkini Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego oraz Polskiego Stowarzyszenia Psychoterapii Integracyjnej. Psycholog, certyfikowana psychoterapeutka PSPI, specjalistka terapii środowiskowej.

„DZIADY” JAK BROŃ

Niewiele zabiegów było potrzebnych, aby arcykowski poemat dramatyczny stał się manifestem wolności Ukrainy

Tomasz Miłkowski

„Dajcie nam broń, z resztą damy sobie radę”. Tym razem to słowa nie prezydenta Zełenskiego, ale ukraińskiego aktora Romana Łuckiego, który gra Konrada w poruszającej inscenizacji „Dziadów” według Adama Mickiewicza w reżyserii Mai Kleczewskiej w Iwano-Frankiwsku. Premiera miała miejsce dwa lata temu, potem spektakl zdążył się pojawić kilka razy w Polsce, w Krakowie i w Gdańsku, a w dniach, kiedy świat pamiętał o trzeciej rocznicy rosyjskiej agresji w Ukrainie, dzieło Kleczewskiej narazie zobaczyła Warszawa. A powinni je zobaczyć przede wszystkim ci, którzy się wahają, kto na kogo napadł w Ukrainie. „Dziady” to broń, bunt przeciw każdemu, kto niewoli drugiego człowieka.

„Dziady” zawsze miały ładunek buntowniczy. Zwłaszcza część trzecia z Wielką improwizacją, egzorcyzmami, sceną więzienną i salonem warszawskim.

Pojawiły się te „Dziady” w Warszawie może późno, ale w porę. Tu chodzi nie tylko o rocznicę, ale być może o dziejowy moment zwrotny w tej wojnie, kiedy ruszyła lawina nadziei i wątpliwości wywołanych pomysłem prezydenta Trumpa na szybkie zawieszenie broni, a potem zawarcie pokoju. Czy to okaże się możliwe, czas pokaże. Okoliczności czasu i miejsca sprawiają, że silniej wybrzmiewa ten spektakl, ukazujący mechanizm odrzucenia jarzma i bezwzględne dążenie do wyzwolenia.

„Dziady” zawsze miały ładunek buntowniczy. Zwłaszcza część trzecia poematu dramatycznego, z Wielką improwizacją, egzorcyzmami, sceną więzienną, salonem warszawskim,

balem u Senatora i widzeniem Księdza Piotra. Ci, którzy z „Dziadami” się zetknęli, mają to głęboko wyryte w pamięci. Moc poetyckiego słowa działa na wyobraźnię, zostawia ślady. W Polsce nieraz była jak tłący się lont. Dość przypomnieć wydarzenia związane z wystawieniem „Dziadów” przez Kazimierza Dejmka czy wcześniejsze długotrwałe i daremne starania o zgodę władz na wystawienie dramatu. W latach stalinowskich było to niemożliwe, potem dopuszczalne, ale poddawane czujnemu oku cenzora, wreszcie po zwrocie ustrojowym miało się okazać, że „Dziady” nadal potrafią uwierać i wywoływać ostre spory.

Mowa o krakowskiej inscenizacji Mai Kleczewskiej w Teatrze Słowackiego, która stała się powodem wieloletnich prób odwołania dyrektora teatru. Wprawdzie wprost tego

narodowego poematu w tkanę ukraińskiej wrażliwości, która szczególnie dzisiaj okazuje się dla dzieła Mickiewicza naturalnym środowiskiem. Niewiele zabiegów było trzeba, aby arcykowski „Dziady” stały się manifestem wolności Ukrainy, aby buntownicze pieśni i dążenia Polaków okazały się tożsame z pragnieniami Ukraińców. W tekst utworu wpleciono bodaj jeden tylko dzisiejszy dowcip ukraiński, aby całą resztę myśli obolałego narodu wyrazić niemal dosłownym przytoczeniem Mickiewiczowskiego tekstu.

Publiczność w tym spektaklu umieszczona została na scenie – na wznoszącej się konstrukcji kilkunastu rzędów, zwróconych w stronę otworu scenicznego, przestępnego zamiast kurtyny ogromnym, w pierwszej chwili pustym ekranem. Przedstawienie zaczyna się od monotonnego cytatu, który nad Wisłą znają wszyscy, nawet ci, którzy nie znają „Dziadów”: „Ciemno wszędzie, głucho wszędzie / Co to będzie, co to będzie?”. A potem na ekranie pojawi się twarz aktora, który okaże się Konradem, na razie wprowadzającym w nastrój obrzędu i buntu.

To dopiero preludium. Kiedy ekran częściowo się podniesie, znajdziemy się oko w oko z czeluścią widowni teatru, a jednocześnie metaforyczną czeluścią trwającej wojny. U brzegu proscenium bowiem będzie się rozgrywać nie tyle scena więzienna, którą pamiętamy z wielu inscenizacji i lektury dramatu, ile scena w okopach. Aktorzy widoczni jedynie częściowo, stojący i poruszający się poniżej proscenium, to żołnierze. Podczas chwilowej przerwy w walce ktoś przybywa, ktoś odchodzi, ktoś się żegna, kogoś się wspomina. W tym okopowym nastroju w naturalny sposób pojawiają się anegdoty, opowieści, a wśród nich podawane

zarzutu nie stawiano, posilając się etykietami zastępczymi, ale wszyscy wiedzieli, że poszło o „Dziady”, które godziły, jak insynuowano, w serca prawdziwych Polaków, tym razem wołając o sprawiedliwość dla kobiet. Tamto przedstawienie powstało po protestach Strajku Kobiet, reagujących na brak równości, przemoc i urzędowe dyrygowanie kobiecym ciałem w myśl jednych z najbardziej restrykcyjnych przepisów antyaborcyjnych w Europie.

To wszystko były nasze wewnętrzne spory, bo poza Polską „Dziady” rzadko trafiały na scenę, a w Ukrainie nigdy. Trwająca zaledwie dwie godziny, bez przerwy, inscenizacja jest pierwszą próbą wpisania naszego



„Dziady” w reżyserii Mai Kleczewskiej.



zwykle z deklamatorską emfazą opowiadanie Sobolewskiego o udrękach patrioty, więzionego i dręczonego przez wroga, teraz przedstawiane jako chleb powszedni wojny. Budzi to jednak gniew i chęć odpłaty. Stąd buntownicze pieśni, a wśród nich ta najsilniejsza, zwrócona przeciwko prześladowcom: „Zemsta na wroga”, śpiewana tak, że ciarki przechodzą. I już wiadomo, w jakiej sprawie wznosi się ta pieśń, bo to opowieść nie o młodości filomackiej z czasów Mickiewicza (choć o tym także), ale o młodych ludziach broniących dziś swojego kraju. Ta pieśń to wezwanie do czynu.

Z okopów wyłania się i wchodzi na scenę Konrad i wtedy rozpoczyna

się mistyka Improwizacji. Na początku spokojnej, rzeczowej („Cóż po ludziach”), właściwie bez emocji, potem coraz groźniejszej i chwytającej za gardło. Aktor sam na wielkiej scenie działa magnetycznie. To jednocząca publiczność siła, której nikt nie zatrzyma, chwila autentycznej wspólnoty. Tak to brzmi i tak pozostaje w pamięci.

Kiedy mogło się wydawać, że emocjonalne apogeum mamy za sobą, rozpoczynają się egzorcyzmy. Jednak będzie to egzorcyzmowanie nie Konrada, ale duszy zniewolonego narodu spod panowania rosyjskiego imperium. Na ekranie zobaczymy reporterskie ujęcia z rozmaitych wydarzeń artystycznych z udziałem

uśmiechniętych celebrytów, polityków, adorowanego Putina i artystów rosyjskich, wspierających reżim agresora, przeplatane zdjęciami dokumentującymi zbrodnie najeźdźców. Europa i świat przechodzą do porządku dziennego nad trwającym pustoszeniem Ukrainy, nalotami i śmiercią cywilów, podejmując artystów z Rosji, jak gdyby nic się nie stało. Ten fragment spektaklu to najmocniejszy akt protestu przeciw milczeniu wobec zbrodni. Nie przypadkiem reprezentanci złych mocy (diabły) mówią w tej scenie po rosyjsku – a na ekranie pojawia się tłumaczenie na ukraiński – to język obcy, język najeźdźcy, którego kultura stała się narzędziem imperialnego panowania. Ta mocna, chwilami agresywna scena odśladła głębokie korzenie dzisiejszego odrzucenia języka i kultury okupanta. Spektakl Mai Kleczewskiej jest polem walki w obronie przed zniewoleniem.

Po skończonych egzorcyzmach aktorzy kierują widzów do foyer, zamienionego w siedzibę Senatora, najpierw śpiącego i przeżywającego we śnie męki odrzucenia przez cara, a potem panoszącego się podczas balu niczym szef podrzędnej mafii albo właściciel domu publicznego, do którego sprowadzane są ofiary jego zachcianek. Tak to się kończy: donosicielstwem, przemocą, drapieżnym atakiem na kobiety i bezbronnych. I w tej scenie słychać rosyjski, a stojący po bokach foyer widzowie pozostają w niekomfortowej roli gości, którzy obserwują niegodziwość rozgrywającą się na wyciągnięcie ręki. To, że bal u Senatora (podczas warszawskich pokazów „Dziadów”) odbywa się w pałacu noszącym w przeszłości imię Józefa Stalina, wzmacnia moralną wymowę tej finałowej sceny.

Maja Kleczewska powiedziała po warszawskim pokazie dramatu, że dopiero teraz, kiedy pracowała nad tą inscenizacją w Ukrainie, zrozumiała, o czym są „Dziady”. Nawet jeśli do tego przeświadczenia dodała trochę entuzjazmu, to przecież dowiodła, że tekst jest wciąż gorący, ważny i gorzki. Tak długo, jak długo ważą się prawa człowieka do wolności. ■

Teatr jest niezagrożony

W świecie, w którym coraz więcej rzeczy generuje AI, scena pozostaje przestrzenią, gdzie dzieją się rzeczy ludzkie

Rozmawia Jakub Wojtaszczyk

Podobno lubisz po jakimś czasie wracać na ekran, by o sobie przypomnieć, i to projekt musi cię przyciągnąć. Co zatem było przyciągające w serialu „Porządny człowiek”?

– W aktorstwie bywa różnie. Najczęściej propozycja, którą otrzymuję, musi zadziałać na mnie jak magnes. Natomiast w przypadku „Porządnego człowieka” była to przede wszystkim reżyserka Aleksandra Terpińska. Prywatnie się przyjaźnimy. Imponuje mi swoim sposobem działania, myślenia i determinacją. Jest prawdziwą komandoską filmową! Pracuje wspaniale, z niezwykłą umiejętnością ogarniania wielkich planów filmowych. Jako twórczyni ma w sobie ogromną moc, dlatego chciałam spotkać się z nią w pracy.

Twoja bohaterka Kamila, silna, niepokorna kobieta, mogłaby być siostrą innych granych przez ciebie postaci. Masz typ ról, które przyjmujesz?

– Są role, w których czuję się dobrze, i takie, które kompletnie mi nie wychodzą. Żle się czuję w komedii – to dla mnie niezwykle trudny gatunek. Może chodzi o dystans do rzeczywistości, którego mi brakuje? Może coś nie pozwala mi wystarczająco „oddychać”, by komedię złapać i przez siebie przepuścić? Dlatego faktycznie propozycje, które dostaję, mają zwykle większy ciężar gatunkowy. To działa w obie strony – wiem, co mogę z siebie dać, bo jest to forma mi najbliższa; a reżyserzy wiedzą, że mogą mi taki materiał zaoferować, więc spotykamy się pośrodku. To często role kobiet silnych, ale z bagażem życiowych doświadczeń. Mam wrażenie, że to teatr jest miejscem, gdzie mam więcej przestrzeni na



Kadr z serialu „Porządny człowiek”.

AGNIESZKA ŻULEWSKA

– aktorka. Zagrała m.in. w filmach „Chemia”, „Demon”, „Cicha ziemia” czy „Ostatni komers”. Związana z warszawskim Teatrem Rozmaitości. Można ją zobaczyć w serialu platformy Max „Porządny człowiek”.

różnorodność i mogę bardziej poszaleć. Mam nadzieję, że film też będzie się zmieniał – a może to ja się zmienię? Dojrzewam, więc i moje możliwości aktorskie się rozwijają.

„Demon” Marcina Wrony to nie komedia, wręcz przeciwnie, ale masz w tym filmie fantastyczne sceny, na pograniczu komedii, groteski i właśnie ciężkiego dramatu.

– Może potrzebuję reżysera, który naprawdę czuje komedię i potrafiłby mnie przez nią poprowadzić. Sama intuicyjnie nie umiem tego gatunku wyczuć, trochę się gubię w jego rytmie.

Na pewno też komedią nie jest „Porządny człowiek”. Ponownie grasz matkę. W wypadku Kamili jednak mogła czerpać z doświadczenia własnego rodzicielstwa. Widzisz różnicę w przygotowaniu się do ról?

– Tak, to naprawdę radykalna zmiana w sposobie odbierania

rzeczywistości – pojawia się ogromne wyczulenie na kwestie związane z posiadaniem potomstwa: jego znikanie, choroby, a także na więź między matką a dzieckiem. Po porodzie nagle otworzyła się potężna, bezgraniczna przestrzeń miłości do tego nowego człowieka. Praca nad tymi tematami na planie jeszcze bardziej to uwypukla.

Teraz inaczej patrzysz na zawód?

– Oczywiście. Wcześniej moje życie było przede wszystkim pracą, wszystko robiłam dla siebie, pod siebie. To dość egoistyczne podejście. Czerpałam garściami, a cała rzeczywistość była podporządkowana moim przyjemnościom i aktorstwu, które też było pasją. Po urodzeniu Gucia jest zupełnie inaczej. Priorytet przesunął się na niego, a dzięki temu mam wrażenie, że w pracy złapałam głębszy oddech. Zawód stał się czymś dodatkowym do tego, co najważniejsze

– do życia z dzieckiem i partnerem. To paradoksalnie sprawia, że łatwiej mi się pracuje.

Aktorstwo jest trudnym zawodem, bo wiąże się z ciągłą oceną. Kiedy byłam młodsza, bardzo przeżywałam pierwsze zetknięcia z opiniami innych. Bardzo bolały! Z czasem jednak nabrałam do nich dystansu. Natomiast rodzicielstwo dało mi coś jeszcze mocniejszego – całkowicie odsunęłam te wszystkie rozmyślenia na bok. Nie robię sobie wyrzutów, że mogłam zagrać lepiej, inaczej. Po prostu wiem, że to, co robię, wynika z danej chwili, z mojego stanu, z momentu, w którym jestem. Taka też jest rola w „Porządnym człowieku”, bo powoli wychodzę z okresu piastowania syna i wracam do pracy. Może nie jestem w życiowej kondycji, lecz dzięki temu ten powrót tak mnie ciekawi.

Serial dotyka tematu ciemnych stron rodzicielstwa. Kiedy trudny nastoletni syn Kamili nie wraca do domu, twoja bohaterka mówi, że wołałaby, żeby tak pozostało.

mama lub tata byli pierwszą tarczą, którą atakowałam z największą siłą. Pokolenie moich rodziców miało o wiele trudniej. Nie wiedziało nie tylko, jak się przyznać do tych emocji, ale też jak je nazwać. Moje pokolenie teraz faktycznie może to robić, co niewątpliwie jest zdrowsze dla nas wszystkich.

Ale też łatwo posądzić rodziców z pokolenia milenialsów o egoizm.

– To tylko i aż nazwanie prawdy – że w tym momencie coś we mnie się przełamało, że mam już dość. Mogę powiedzieć: „Nienawidzę mojego dziecka”, bo czasem emocje są tak silne, że już nazwanie ich może coś uleczyć, zmienić. Drugim równie istotnym krokiem jest wybaczenie sobie, że się to powiedziało. Bo to nie ma nic wspólnego z brakiem miłości czy odrzuceniem dziecka – to po prostu uczucia, a my mamy prawo je odczuwać.

Pamiętasz, jaką chciałaś być aktorką?

– Wybór zawodu był wynikiem serii spontanicznych decyzji. Nigdy

jeśli chodzi o konkretne ambicje, takie jak dążenie do jakiejś wielkiej roli, wyjazd za granicę czy robienie kariery międzynarodowej – nie miałam takich marzeń i nadal ich nie mam.

W takim razie jak trafiłaś do łódzkiej filmówki?

– Uczęszczałam do ogólnokształcącego liceum sztuk plastycznych. Co prawda było to fantastyczne miejsce, rozumiałam jednak, że świat artystyczny jest złożony z indywidualistów. Każda osoba skupiała się na swoich projektach, co było piękne, ale brakowało mi w tym organicznej, zespołowej współpracy, której z jakiegoś powodu zawsze pragnęłam. Kiedy trafiłam na kółko teatralne, poczułam totalną siłę grupy. Tam proces twórczy jest dzielony między wiele głów i umysłów. Zrozumiałam też, że teatr pozwala wykorzystywać różne talenty, bo chłonie wszystko. Wybrałam Łódź z przypadku – tam egzaminy odbywały się jako pierwsze. Przeszłam do następnego etapu, potem do kolejnego i tak zostałam.

Skończyłaś szkołę i chałturzyłaś w serialach. Ten okres nazywaasz mrocznymi latami.

– Faktycznie było to trudne doświadczenie. Spotkałam ludzi wyzyskiwanych, zmęczonych, sfrustrowanych, szarych. Nagle, tuż po szkole, zobaczyłam ciemną stronę telewizji. Nie chciałam być częścią systemu, który po prostu drenuje aktorów i aktorki. Natomiast z perspektywy myślę, że dobrze było zobaczyć, jak może wyglądać zawód. Poza tym każdy z tych projektów mimo wszystko ćwiczył mnie jako aktorkę i pomagał mi coraz sprawniej zachowywać się przed kamerą. Okres ten nauczył mnie też stawiania granic i uświadomił, na co nie chcę się godzić.

Lubisz epizody, prawda? W mojej świadomości zaistniałaś ponownie dzięki „Ostatniemu komersowi” Dawida Nickela. Savage zagrałaś już jako aktorka o ugruntowanej pozycji.

– Jeśli rola jest pięknie napisana, wcielam się w nią z ogromną przyjemnością, niezależnie od jej wielkości. Nawet mały materiał można fantastycznie poprowadzić. Pomaga



– W końcu kulturowo doszliśmy do takiego momentu, w którym rozumiemy, że rodzice też mają w sobie tego typu negatywne emocje wobec własnych dzieci. Nie ukrywamy prawdy, nie lukrujemy rzeczywistości, tylko coraz bardziej się odstawiamy i mówimy, jak jest. Przecież to całkiem naturalne, że czasami nasze dziecko nas wkurza i mamy go dość. Bo to drugi człowiek potrafiący uderzyć w nas najmocniej. Jak byłam nastolatką,

nie miałam konkretnego planu, do jakiej szkoły chcę pójść, gdzie grać, co chcę osiągnąć. Kierowałam się intuicją. Miałam też szczęście, że głównie otaczałam się ludźmi, którzy byli po prostu w porządku. Wreszcie też traślałam na projekty, w których byłam traktowana z szacunkiem, na plany i do zespołów teatralnych, gdzie mogłam się rozwijać i po prostu było mi dobrze. Nigdy nie spotkało mnie nic krzywdzącego. Ale

► pasja reżysera i to jak ze mną rozmawia. Dawid Nickel naprawdę poświęcił się swojemu filmowi. Był bardzo uważny na każdy detal, zadbał o odpowiednią ilość czasu na dokładnie przemyślenie postaci, ich dopracowanie, popróbowanie. Kiedy jest na to przestrzeń, mogą wyjść niezwykle efekty.

Może gra na drugim planie to patent na uniknięcie szumu medialnego. Podobno ten jest dla ciebie w zawodzie najtrudniejszy?

– Po prostu nie czuję się z nim dobrze. Lubię pracować jako aktorka i funkcjonować zwyczajnie. Widzę, jak trudno jest żyć ludziom z ogromną rozpoznawalnością. Gdzie mogą pójść? Co mogą zrobić poza pracą? Nic. Popularność to przekleństwo, wręcz agresja świata wobec tej osoby. Ktoś musi naprawdę chcieć tak żyć.

Z drugiej strony potrafisz popularność „śluszenie” wykorzystać. Na przykład przy okazji premiery „Wielkiej wody” wzięłaś udział w kampanii na rzecz ochrony Odry.

– Nie mam natury aktywistki. Nie czuję się na siłach, aby wskrzeszać tematy i o nie walczyć. Natomiast w przypadku Odry pierwszy krok wykonały osoby z Greenpeace. Dały mi możliwość choć przez chwilę zaangażowania się w coś ważnego.

Może to drobne gesty, ale jeśli choć kilka osób zwróci uwagę na problem, to już coś. Oczywiście, jeśli ktoś ma przestrzeń, by połączyć zawód aktora z realnym pomaganiem, widzę w tym ogromny sens. Wtedy stajemy się naprawdę pożyteczni.

Czy aktorstwo może być misyjne? Piję tutaj chociażby do „Cichej ziemi” Agnieszki Woszczyńskiej, filmu, który można odczytywać jako promigrancki komentarz; ty grasz białą, uprzywilejowaną Europejkę.

– Aktorstwo może spełniać misję, ale musi ona iść w zgodzie z tym, co sami uważamy za słuszne, co czujemy. Myślę też, że zawód ten pomaga również ludziom na bardzo podstawowym poziomie - uruchamia ich emocje. Gdy widownia przeżywa katharsis, widzę w tym ogromną moc mojej pracy. Aktorzy to figury, pod które można podpiąć własne uczucia i doświadczenia. Można w sobie uruchomić konkretne emocje, a te pomogą nam coś zrozumieć, przepracować. Aktorzy dają ludziom możliwość przeżywania emocji.

A jakie emocje wywołuje w tobie teatr?

– Dogłębnie wzrusza mnie, że to, co się dzieje na scenie, wydarza się tylko raz. Jest to przeżycie niepowtarzalne, wyjątkowe. Mam też

wrażenie, że teatr, spośród wszystkich dziedzin sztuki, jest niezagrożony. W świecie, gdzie coraz więcej rzeczy jest skomputeryzowanych, przetwarzanych i generowanych przez AI, scena wciąż pozostaje przestrzenią, w której dzieją się rzeczy ludzkie – prawdziwe, cielesne, z „mięsa, skóry i kości”. I to jest dla mnie niezwykle poruszające. Z kolei film działa na mnie zupełnie inaczej – korzysta z wielu środków wyrazu, takich jak montaż, muzyka, sposoby filmowania, które pozwalają mu przenikać w zupełnie inne obszary emocji i myśli. Teatr natomiast zapewnia mi bardzo intensywne przeżycia. Jeśli spektakl nie rezonuje ze mną, potrafię kompletnie go nie zapamiętać, niemal „przespać”.

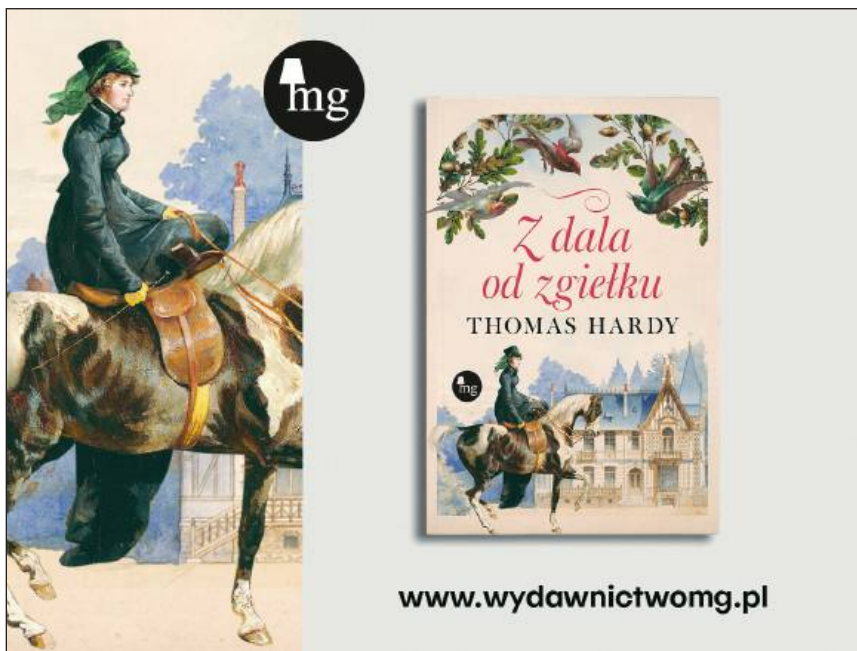
Używasz w teatrze innych technik, aby wejść w rolę?

– Tak, tym bardziej że w TR Warszawa, gdzie gram, nasze spektakle często mają formę instalacyjną, są performatywne, bazują na obecności i eksplorowaniu różnych abstrakcyjnych stanów. Ostatnim spektaklem, w którym budowaliśmy rolę w klasyczny, „filmowy” sposób, były „Cząstki kobiety” Kornéla Mundruczó. Mieliśmy wtedy napisane całe życiorysy postaci, dokładnie wiedzieliśmy, jakie relacje nas łączą. W pozostałych spektaklach chodzi o obecność, a niekoniecznie o budowanie psychologicznej roli. To jest dla mnie ciekawe, bo nie przywiązujemy się do realizmu, ale eksplorujemy bardziej fantazyjne, nieokreślone przestrzenie.

Czy myślisz o tym, jak budujesz swój aktorski wizerunek?

– Z jednej strony to suma przypadków, które składają się na pewien obraz. Ale, jak mówię, wybieram rolę, które są mi bliskie. Nie potrafię być kimś zupełnie innym, niż jestem. Są aktorzy, którzy przechodzą totalne metamorfozy, zmieniają się do roli w sposób ekstremalny. Tak często bywa w Hollywood, gdzie twórcy mogą pozwolić sobie na pełne wycięcie z życia, żeby całkowicie wcielić się w postać. Dla mnie to dosyć odległy temat. Moje role są kompatybilne z tym, kim jestem.

Jakub Wojtaszczyk



www.wydawnictwomg.pl

KURTYNA W GÓRĘ

Niesforna nieboszczka

Ta baśń o niesfornej nieboszczce mogła się skończyć katastrofą. Pokpiwanie ze śmierci bywa ryzykowne, wymaga smaku. Rodowi Wojtyśzków i Kroftów nigdy go jednak nie brakowało, toteż „Piekło-Niebo”, opowieść o młodej matce didżejce, która nie chce się pogodzić z odejściem, zwłaszcza że ma pod opieką małoletniego syna, tchnie dobrą energią. Zmarła, ale z niewygasłymi pretensjami do życia, niezły bałagan wszczyna w niebie i piekle. Urąga świętym i potępionym. Trudno jej dotrzymać kroku. Jej sposób bycia odmalowany przez Zuzannę Saporznikow ujmuje autentyzmem.

Cała obsada w tej funeralnej fantazji odnajduje się znakomicie, na czele z Piotrem Grabowskim w roli zaradnego Pana Boga i Robertem Czerwińskim jako zahukanym diabełkiem o poetyckiej duszy, który marzy o ziemskiej karierze pisarza. Ogląda się to z prawdziwą przyjemnością, czasem ze wzruszeniem i uśmiechem.

Rzecz dla widzów od lat 9 do 109. Dla tych starszych twórcy przygotowali kilka smakowitych aluzji do spektakli Teatru Narodowego.

Tomasz Miłkowski



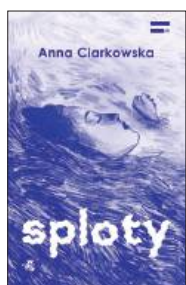
Maria Wojtyśzko, „Piekło-Niebo”, reżyseria Jakub Krofta, Teatr Narodowy, Scena przy Wierzbowej, premiera 22 lutego 2025

MIĘDZY OKŁADKAMI

Anna Ciarkowska

Sploty

W.A.B., Warszawa 2025



„Z przecięcia dwóch żyć powstaje punkt. Potem przez ten punkt przechodzą kolejne linie innych, linie przerywane, grube, przebiegające szybko, przystające w miejscu. Kiedy znika człowiek, znika punkt i cały ten niepowtarzalny splot, cały ten zbieg okoliczności, którym był”. Autorka „Dewocji” tym razem pisze o przemijaniu i pamięci. Jej proza ulepiona jest z poetyckiego języka, choć nie ma tu przesadnego patosu. Jest czułość, ale nie czułośćkliwość. Wrażliwość otulona szorstkością. Codziennosc przetkana magią. Sama fabuła – i kwestia bohaterki prozy – jest na drugim planie, lecz w końcu „ziemia nie stoi na słoniach, ale na opowieściach”.

Rafał Pikula



John Blow, „Venus and Adonis”, reżysera Pia Partum, dyrygent Krzysztof Garstka, Polska Opera Królewska, premiera 22 lutego 2025

Przerwany romans Wenus

Wczesna brytyjska opera „Venus and Adonis” przedstawia w muzycznej formie miłosną przygodę bogini, której zdarzyło się pokochać człowieka. Jest jeszcze Kupidyn, dorosły już syn Wenus, który posyła swoje strzały po uważaniu, i jedna z nich trafia Adonisa. Śpiewane dialogi przynoszą sensowne pytanie: jak długo może trwać miłość? I tu mamy logiczną odpowiedź – do śmierci. Gorzka refleksja ubrana jest we współczesne kostiumy, czego dopełnieniem są jeżdżące po scenie automaty.

Bronisław Tumitowicz

Aida na czarno i złoto

Nie wszystko złoto, co się świeci. Do takiego wniosku dojdzie niejeden widz „Aidy” w Operze Krakowskiej. Przedstawienie zrealizowane przez reżysera i choreografa Giorgia Madię oraz Domenica Franchiego, który odpowiada za scenografię i kostiumy, z jednej strony imponuje, z drugiej wywołuje pytania. Ot, choćby czy dominujące na scenie złoto ma zawsze uzasadnienie. Zwłaszcza że przyobleczono weń nie tylko faraona, jego córkę, kapłanów i cały dwór, ale także wziętych do niewoli Etiopczyków. Z kolei ucharakteryzowanie wszystkich na czarno miało chyba tworzyć wrażenie oglądania starożytnych figur. Nawet jeśli, to dwór faraonów nie mógł się składać wyłącznie z im podobnych, a zabieg ten wywołał dyskusje o stosowanie *black face*.



Czy zatem krakowska opera to nieporozumienie? Nie, to dobre widowisko, które powinno na lata zagościć w repertuarze. Zwraca uwagę muzyczne przygotowanie przedstawienia przez Marcina Nałęcza-Niesiołowskiego, który również stał przy pulpicie dyrygenckim. Świetnie zespółili chóry opery z chórem Filharmonii Krakowskiej, co wzmocniło partie chóralskie. A soliści? Choć momentami coś gorzej zabrzmiało, udźwignęli swoje role. Oksana Nosatova (Aida) czy Giorgi Sturua (Radames) z pewnością zostaną zapamiętani. Znakomicie od strony aktorskiej wypadli Olesya Petrova (Amneris) i Mikołaj Zalasinski (Amonasro).

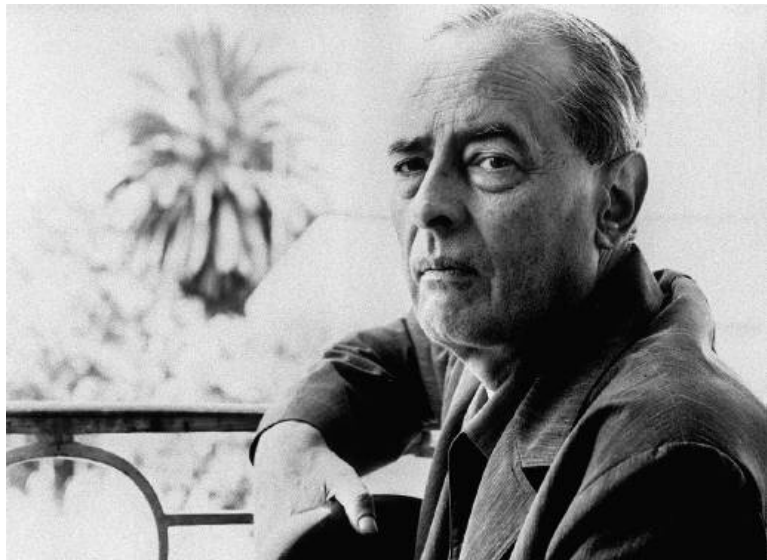
Paweł Dybicz

Giuseppe Verdi, „Aida”, Opera Krakowska, premiera 14 marca 2025

Kolumnę przygotowała
Agata Gogółkiewicz

A kto czytał, ten trąba

Forma, gęba, mina, pupa.
Geniusz! Inwencja słowna
Witolda Gombrowicza
nie znała granic



Marzena Mróz-Bajon

Argentyna przydarzyła się Gombrowiczowi przez przypadek. Wczesnym latem w 1939 r. w kawiarni Zodiak w Warszawie spotkał pisarza Czesława Straszewicza, który pochwalił się, że za miesiąc wypływa do Buenos Aires nowym polskim transatlantykiem, żeby opisać ten rejs.

– Co pan mówi, to może i mnie by zaprosili? – wypalił Gombrowicz.

Straszewicz obiecał zapytać i zrobił to na tyle skutecznie, że 29 lipca, punktualnie o godz. 16, obaj weszli na pokład Chrobrego, którego rejs – liczący 1042 pasażerów – miał zainaugurować połączenie na trasie Gdynia-Buenos Aires. (...) Spontaniczna podróż okazała się – o czym sam pisarz wówczas jeszcze nie wiedział – ostatecznym pożegnaniem z ojczyzną. Nie mógł wiedzieć i o tym, że także Chrobry nigdy do Gdyni nie wróci. (...)

Ale na razie jest jeszcze sierpień 1939 r. Wielki biały statek dopływa do Buenos Aires w środku południowoamerykańskiej zimy i przez kilka nocy jest pierwszym domem Gombrowicza na obcym kontynencie. Jeremi Stempowski – dyrektor GAL (Gdynia-Ameryka Linie Żeglugowe) – wyprawia na Chrobrym wykwintne kolacje z udziałem prezydenta Argentyny i dyplomatów. Odbywają się też koktajle, brydże

i herbatki w najlepszych miejscach Florydy, jednej z dzielnic Buenos Aires. W lokalnym dzienniku „La Nacion”, w numerze z 21 sierpnia 1939 r., pojawia się artykuł o przybyciu statku polskiej bandery z „wybitnymi literatami na pokładzie”. Gombrowicz wspomniany jest obok Straszewicza. (...)

Ze wspomnień Stempowskiego dowiadujemy się, że cztery dni przed 1 września Chrobry otrzymał rozkaz odpłynięcia. Gombrowicz był bardzo zdenerwowany. Zastanawiał się, czy wsiąść na pokład, czy zostać w egzotycznej, pociągającej, obcej

**W Argentynie Gombrowicz klepał biedę.
Żył z wykładów dla panien z towarzystwa.**

i bezpiecznej wówczas Ameryce Południowej. Stempowski odprowadził go do portu, pożegnał, i stojąc na molo, obserwował, jak pisarz oddaje bagaże tragarzowi. W chwili gdy rozległ się dźwięk pożegnalnej syreny, zobaczył przyjaciela zbiegającego po trapie, żeby w ostatniej sekundzie odmienić swój los. Stempowski wspominał, że drżący Gombrowicz powtarzał wtedy w kółko tylko dwa słowa: „Nie mogę”. Wieczorem przyznał natomiast, że była to najtragiczniejsza chwila w jego życiu.

Zaraz po opuszczeniu statku zameldował się w poselstwie polskim w Buenos Aires, a gdy dowiedział

się, że w Anglii zaczęto formować wojsko polskie, stanął przed komisją poborową – jak wspomina w „Dzienniku” – w stroju adamowym. Był wstrząśnięty, zdruzgotany, ale i szczęśliwy, że jakimś cudem znajduje się za oceanem.

200 dol., cała jego ówczesna fortuna, wystarczyła mu na pół roku życia. Argentyna była wtedy krajem tanim, a on mieszkał po studencku, w podrzędnych hotelikach, a czasem w tzw. *conventillos*, wielkomiejskich ruderach zamieszkiwanych przez najuboższą część społeczeństwa. Dla pieniędzy zaczął pisywać felietony do

gazet, korzystał z zaproszeń na obiady u zamożnych Polaków mieszkających w Buenos Aires, otrzymał też niewielką zapomogę z poselstwa polskiego. To jednak ledwie wy-

starczało – nigdy nie wiedział, z czego się utrzyma przez kolejny miesiąc, a nieraz musiał pożyczać kilka pezów na obiad. (...)

Bywał głodny. Szukał wrażeń. Eksperymentował, wchodził głębiej w samego siebie.

„Moi przygodni towarzysze, z którymi przyjaźń powierzchowna i niezobowiązująca przychodziła mi w sposób zdumiewająco naturalny (tę naturalność odkryłem w sobie, ja, sztuczny, jak skarb najcenniejszy, łaskę, wypoczynek, wyzwolenie), pomagali mi, jak mogli. Kiedyś spacerując z jednym z nich po ulicy Corrientes i gapiąc się na wystawy (co

za zaszczyt dla pana Gombrowicza!), powiedziałem, że jeść mi się chce (co za zaszczyt!). – Nic, powiedział, nie przejmuj się, mam trupa, starczy dla dwóch. Wsiadliśmy do tramwaju i pojechaliśmy na przedmieście, do jakiegoś domku w dzielnicy robotniczej, gdzie rzeczywiście nieboszczyk, nie wiem już jakiej nacji, leżał w trumnie, obłożony kwiatami, a rodzina, krewni i znajomi żegnali go w żałobnym milczeniu. Pomodliwszy się, przeszliśmy do sąsiedniego pokoju, gdzie był poczęstunek dla żałobników, bufet, kanapki, wino. Jedliśmy i opowiadał, że nieraz wyszukuje sobie trupów w tym *barrio*, że najlepiej dowiedzieć się od kościelnego” („Dziennik”). (...)

Forma, gęba, mina, pupa. Geniusz! Inwencja słowna Gombrowicza nie znała granic. Inteligentny wrażliwiec konsekwentnie zaprzeczający innym i samemu sobie, ironista w stosunku do każdego, skupiony na sobie kpiarz i cynik z mocno zarysowaną osobowością, którą ludzie z najbliższego otoczenia mimowolnie naśladowali. W ironii i negacji zaprawiony od dzieciństwa, kiedy toczył spory z matką. Jak sam przyznawał, to ona pchnęła go w absurd, później jeden z najważniejszych elementów jego sztuki. Sport wciągania matki w drażniące ją dyskusje był jego pierwszym dialektycznym wtajemniczeniem. A później, już w Argentynie, kontynuował ten rodzaj komunikacji z każdym, kto pojawił się na jego drodze. Zawsze po stronie młodości, a przeciw hierarchii. Niestatość, transformacja, arogancja. Życie na krawędzi.

Klepał biedę. Żył z wykładów dla panien z towarzystwa – Chinchiny, córki poety Artura Capdevilli, i jej koleżanek, wpraszał się na obiady lub kolacje, ale nie zgodził się, żeby literacka młodzież argentyńska ufundowała mu stypendium. Ubrany w szare palto do kostek z pelerynką na ramionach i kapelusz. W 1947 r. zaczął pracę w Banco Polaco, argentyńskiej placówce PKO. (...) Dostał tę pracę dzięki wstawiennictwu bliskiej znajomej, Haliny Nowińskiej, a raczej jej męża Juliusza, który był

dyrektorem Banco Polaco. Znając sytuację materialną artysty geniusza, Nowiński zatrudnił Gombrowicza w sekretariacie, dzięki czemu uwolnił go na siedem lat od skrajnych finansowych tarapatów. Pierwszego dnia pracy dano mu koperty do adresowania, ale z czasem Nowiński pozwolił mu w czasie pracy pisać. Niestety, prawie nikt z pracowników nie czytał Gombrowicza, nie zdawali sobie więc sprawy, że wielki „Trans-Atlantyk” powstaje niejako na ich oczach. Ekscentryczne zachowanie Witolda – kompulsywne jedzenie, głośne chrupanie owoców, wytrzeszczanie oczu, które miało ich dopro-



Tablica na domu przy calle Venezuela w Buenos Aires, w którym mieszkał Witold Gombrowicz.

wadzać do szału, czy puszczanie po salach banku papierowych samolotów z komicznymi wierszykami – powodowało, że współpracownicy traktowali go jak rozkapryszone dziecko specjalnej troski.

„Dlaczego pracuję w Banco Polaco, pobierając wynagrodzenie miesięczne w wysokości 1200 pesos? – pisał do redakcji „Głosu Polskiego” w maju 1954 r. – Ja nie mogę sobie pozwolić, jak większość emigrantów, na wyłączne oddanie się walce o egzystencję. Mam na karku coś dla mnie nieskończenie ważniejszego i bardzo ciekawego: literaturę. Właściwy mój obowiązek to ten właśnie – pisanie”. Pracę w banku zakończył w 1955 r., kiedy filia została sprzedana Argentynczykom.

Zdawał sobie sprawę, że po zmianie właściciela nie będzie już tam dla niego miejsca.

Kawiarnia Gran Rex, za czasów Gombrowicza jedna z największych w Buenos Aires, już nie istnieje. Pod numerem 837 przy Avenida Corrientes, w samym sercu miasta, pozostał po niej tylko stylowy, drapieżny neon. Kiedyś na pierwszym piętrze znajdowała się sala szachowa założona w 1941 r. przez Paulina Frydmana, mistrza światowej sławy, urodzonego w Polsce, który – o losie! – przytył do Argentyny tego samego dnia co Gombrowicz. Pod koniec sierpnia w Buenos Aires rozpoczęła się międzynarodowa olimpiada szachowa, polska reprezentacja, w której skład wchodził Frydman, zdobyła w niej srebrny medal. Na wieść o wybuchu wojny wielu zawodników z Europy zdecydowało się pozostać w bezpiecznym kraju, tak też zrobili polscy szachiści. Witoldo – bo tak go nazywali argentyńscy przyjaciele – przez lata przychodził do Rexa grywać w szachy. Co wieczór wdrapywał się po stromych schodach, by oddawać się swojej wielkiej pasji. Frydman wspominał, że pisarz miał bardzo osobisty, wręcz fantazyjny sposób gry.

Nie dość dobrze znał jednak teorię i zawsze chciał atakować. Miał przy tym rozmaite manieri, które jego partnerów wyprowadzały z równowagi – np. brał pionek między drugą a trzecią palec i długo nim poruszał. Nie robiło mu różnicy czy gra z silniejszym czy słabszym od siebie, wynik był mu obojętny. W trudnych sytuacjach szachy przywracały mu spokój, a kawiarnia Gran Rex, w której odbywało się zbiorowe tłumaczenie „Ferdynand” na hiszpański, była dla Gombrowicza azylem.

(...)

26 kwietnia 1947 r. Gombrowicz spotkał się z przyjaciółmi w kawiarni El Querandi, na rogu Peru i Moreno. Stamtąd wspólnie wyruszyli do wydawnictwa Argos, mieszczącego się zaledwie kilkadziesiąt metrów dalej, by odebrać dziesięć egzemplarzy hiszpańskiego przekładu ▶

► „Ferdydurke”, jeszcze ciepłych, bo tego dnia przywiezionych z drukarni. We wspomnieniach Virgilia Piñery, jednego z kompanów towarzyszących Gombrowiczowi tego dnia, przeczytałam zdanie, które Witoldo wypowiedział, patrząc na kawiarniany zegar, wybijający właśnie szóstą po południu: „Idziemy, Piñera, nadeszła pora... Zaczyna się południowoamerykańska batalia ferdydurkizmu...”.

Do El Querandi przychodził nieraz, w niej także pisał „Trans-Atlantyk”. Ta ważna dla Gombrowicza kawiarnia wciąż funkcjonuje, obecnie jako znana *tanguería*. (...) Powstała w 1920 r. i mówi się, że to właśnie tu narodziło

mną w drzwiach – młody, w poplamionej kawą białej koszuli, raz po raz poprawiający pasek spodni. Kiedy mu tłumaczyłam przyczynę mojego najścia, uśmiechnął się i stwierdził, że mam szczęście – jest sobota, więc nie powinno go tu być. Wpadł tylko na chwilę, bo wczoraj zawałił robotę i chciał ją dziś dokończyć.

– Śmiało, zapraszam! Tak się składa, że moja pracownia architektoniczna była kiedyś mieszkaniem Gombro. Jasne, że wiem, kogo szukasz!

Kevin otworzył przede mną drzwi i weszłam na klatkę schodową Gombrowicza, żeby powoli wspiąć się po schodach. (...) Dom zdawał się wyludniony, idealnie cichy i czysty

wszystkim górował jedyny spektakularny mebel w tym wnętrzu – czteroskrzydłowa szafa z amerykańskiego dębu, sięgająca niemal zawieszzonego pod sufitem żyrandola z francuskimi chwościkami. Na ścianach obrazy, co najmniej jeden zawieszony do góry nogami. Jego autorka, argentyńska promotorka Gombrowicza, Cecylia Benedit de Debenedetti, uważała, że odwrócił płótno, ponieważ niedokończony akt kobiecy niezwykle mu się podobał.

Gombrowicz nieczęsto przyjmował gości. We wspomnieniach Rússovicha znalazłam opis jedynie trzech przyjęć przy calle Venezuela. Frau Else pożyczła im firanki, kupowali szynkę i ptifury. Gombrowicz oddawał do pralni ubranie, czyścił buty i maszerując tam i z powrotem między pokojem Russo a swoim, wydawał instrukcje, jak ma przebiegać nadchodzący wieczór i jakie książki powinny leżeć – widoczne na stoliku – żeby zaszokować gości (zwykle Russo przynosił wtedy ze swojego pokoju pięknie oprawionego Kanta). Tematy, które miały być poruszane na przyjęciu, były przez Gombrowicza z góry ustalone. Cieszył się prowadzeniem rozmowy, traktował takie spotkania jako dobre ćwiczenie formy, moment stwarzania jej. Na zasadzie – im bardziej jest się sztucznym, tym bardziej można być szczerym.

Bo szczerłość, zdaniem Gombrowicza, nie jest z tego świata.

Dziś w mieszkaniu Gombrowicza nie pozostał ani jeden jego mebel. To oczywiście. Ale jest widok z okna. Ten sam, wychodzący na kamienicę po drugiej stronie wąskiej ulicy. Ponieważ calle Venezuela jest wąska, ma się wrażenie, jakby budynek po drugiej stronie wręcz „właził” przez szybę do pokoju. Przekraczając starą kłamkę, otworzyłam balkon i zobaczyłam szklane uliczne przytłaczające panoramę. Gombrowiczowskie „ja”, maleńkie za olbrzymim oceanem, na argentyńskim wygnaniu, marginesowe, anonimowe, prywatne. Formą podszyte. (...)

Dla pieniędzy zaczął pisywać felietony do gazet, korzystał z zaproszeń na obiady u zamożnych Polaków mieszkających w Buenos Aires.

się w mieście tango. (...) Gombrowicz bywał także w legendarnej Café Tortoni przy Avenida de Mayo pod numerem 825, gdzie obok artystów siadywali politycy, naukowcy i torredorzy. Z kolei we Fraguacie na rogu ulic San Martín i Avenida de Corrientes, miejscu bardziej ustronnym i tańszym, nazywanym nawet barem, Gombrowicz poznał Alejandro Rússovicha, którego przezwiał Russo, i z którym zamieszkał w 1945 r. przy ulicy Venezuela pod numerem 615. Mieszkali razem, ale w sąsiadujących ze sobą pokojach niewielkiego pensjonatu, który po wojnie prowadziła w dwupiętrowej kamienicy Niemka, Frau Elsa.

Stałam przed domem Gombrowicza na długiej, wąskiej i otoczonej przybrudzonymi budynkami ulicy Venezuela i od razu zaczęłam walczyć, jaką stacza chyba każdy fotograf, kiedy chce zrobić dobre zdjęcie ulicy, po której bez ustanku przejeżdżają samochody. W końcu, lekko już zirytowana ich obecnością, niewiele myśląc, wcisnęłam po kolei wszystkie dzwonki do mieszkań w budynku, po chwili zrobiłam to samo jeszcze raz. Nikt nie zareagował – poza Kevinem, który zbiegł po krętych schodach z pierwszego piętra, co zajęło mu trochę czasu, i stanął przede

– jakby przed chwilą ktoś tę klatkę schodową specjalnie wyszorował. Dosłownie lśniła w ten grudniowy dzień przesilenia zimowego, w którym na półkuli południowej, u ujścia rzeki La Plata w Buenos Aires słońce góruje w zenicie.

Kevin kolejny raz otworzył przede mną drzwi, klamka staromodnie zaskrzypiała i weszłam do dużego pokoju z małym wychodzącym na ulicę balkonem. Gombrowicz mieszkał w nim przez 18 lat: od 1945 do 1963 r., w którym zdecydował się wrócić do Europy. Mieszkanie sprawia wrażenie bardzo wysokiego. Od razu wyróżnia się w nim stolarka, ten rodzaj francuskiej drewnianej boazerii, bardzo konsekwentnie w tym wnętrzu poprowadzonej. Widziałam kiedyś rysunek pokoju Gombrowicza, który wykonał z pamięci jego przyjaciel i protegowany Mariano Betelú. W centralnym punkcie, na małym dywanie, stał stół, który mógł również pełnić funkcję biurka. Naprzeciwko dość szeroka sofa, a w różnych częściach pokoju, niczym jej satelity, rozproszone były trzy, zdaje się wygodne fotele. Do tego półki z książkami, wąskie łóżko z nocnym stolikiem, lampa z klasycznym kinkietem. Nad



Fragmenty książki Marzeny Mróz-Bajon *Domy pisarzy 2*, Marginesy, Warszawa 2024



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

W piekle dorastania

„Piekło jest szczelne – ani z niego nie da się uciec, a i w nim będąc, próżno wypatrywać szczelin, przez które mogłoby się wsączyć światło nadziei; piekło jest doskonałe beznadziejne”. Tak zaczynałem przed 20 laty rozważania w „Tym piekielnym kinie”, książeczce o filmach dotkliwych.

Gdybym ją pisał dzisiaj, poczesne miejsce znalazłoby w niej brytyjskie „Dojrzewanie” w reżyserii Philipa Barantiniego. To jest rzecz do obejrzenia z trzema przewrami na złapanie oddechu, tragedia z trzema antraktaami. Gdyby napisać, że to czterogodzinny film albo nawet spektakl telewizyjny w czterech aktach, byłibyśmy bliżej prawdy, ale kategoria miniserial jest marketingowo wydajniejsza w streamingu.

„Dojrzewanie” wiele zawdzięcza najlepszej tradycji brytyjskiego kina społecznego, tyle że ani Ken Loach, ani Mike Leigh nigdy nie wciągnęli widzów w strefę tak nieprzeniknionego mroku. Formalnie to iście piekielna sztuczka – film jest zrealizowany w czterech godzinnych ujęciach, po jednym na każdą część, ale nie mamy wrażenia, że to mastershot dla samodopieszczenia ego operatora – „piekło jest szczelne, próżno wypatrywać szczelin” – nie ma więc i szwów montażowych, jesteśmy z bohaterami bez przerwy, tu i teraz, przeżywamy w czasie rzeczywistym ich koszmar bez taryfy ulgowej.

Dawno nikt nie trzymał się tak ściśle zasady starego, dobrego Hitchcocka: film zaczyna się od trzęsienia ziemi, a potem napięcie stopniowo rośnie. Na dzień dobry mamy klasyczny „wjazd na chatę o szóstej rano” brygady uzbrojonej po zęby, która wyciąga z łóżka posikanego ze strachu 13-latkę i zgarnia go na dół pod zarzutem najcięższego z przestępstw. I tyle z kryminału, od razu zaczyna się najwyższej próby dramat psychologiczny, następują etapy dociekania i odsłaniania prawdy, które są właściwie przekraczaniem kolejnych kręgów piekła.

Chcesz być odpowiedzialnym rodzicem? Nie wystarczy, że będziesz zarabiał na utrzymanie dziecka, poświęcał mu czas, dawał wyrazy rodzicielskiej miłości i bezprzemocowo wychowywał. Takim ojcem nastoletniego Jamiego jest Eddie Miller, grany rewelacyjnie przez Stephena Grahama, współscenarzystę „Dojrzewania”. Nawet gdybyś ukończył jeszcze studium kryminalistyczne ze specjalizacją z przestępczości młodzieżowej, będziesz bezradny, choćby wobec emoji slangu, tak jak prowadzący sprawę oficer policji. W rozmowie z własnym synem z przerażeniem odkrywa ukryte treści emotek: diabeł tkwi w szczegółach, wszystko ma znaczenie.

Emotki służą choćby do kodowania informacji dilerów narkotykowych: płatki śniegu to kokaina, baloniki oznaczają podtlenek azotu, czyli gaz rozweselający – najpopularniejszy po marihuanie środek odurzający wśród brytyjskiej młodzieży, koniki to ketamina. Ale najczęściej kodowane są treści seksualne – choćby w kolorze serduszek. Ja tam ładuję wszędzie czerwone, bez względu na to, czy wysyłam je ukochanej, dzieciom czy nieznanym osobom, dla których aprobatę chcę wyrazić. Tymczasem dla młodzieży czerwony to miłość i namiętność, fiolet to pożądanie, żółty zainteresowanie, różowy zainteresowanie bez seksu.

Wszędzie są zaszyfrowane aluzje, emotki mają także potężną moc stygmatyzującą – zwłaszcza jeśli idzie o stygmat incela – wiecznego prawiczka. W młodych chłopcach po takim naznaczeniu eksplodują kompleksy – nie radzą sobie z tym, uciekają w autoagresję lub agresję, przytula ich

Może terapia szokowa okaże się kluczem do zamkniętych drzwi pokoiów nastolatków – dobrze wspólnie się przeczołgać przez piekło „Dojrzewania”.

manosfera, szczególnie internetowy zakon mizoginów, deklarujących ikonką czerwonej pigułki „wybudzenie z Matrixa”, świata zdominowanego przez rynek płci pod ścisłą kontrolą kobiet. Dziewczyny to suki, 80% spośród nich pożąda 20% facetów, jako incel jesteś z góry skazany na wieczne dziewictwo, nie przeżyjesz romantycznej miłości, nie założysz rodziny, nie będziesz kochany ani pożądany, a skoro tak, to w końcu dochodzisz do ściany – najchętniej odebrałbyś życie, niekoniecznie sobie.

Na ile pamiętam czas własnej adolescencji (skądinąd nie ośmielię się jednoznacznie uznać, że kiedykolwiek się skończył), najbardziej doskwierał mi lęk przed kompromitacją – bałem się wstydu i wstydziłem się strachu, z tej pętli nie znajdując wyjścia. Bałem się wykluczenia przez grupę, bo stado ma tę drapieżną intuicję wyławiania najwrażliwszych ofiar, które potem nęka. Na szczęście w czasach mojego bolesnego dorastania dzieciaki nie miały do dyspozycji śmiertelnej broni w postaci komórek i mediów społecznościowych.

Ostrzegam, ten serial to operacja bez znieczulenia na emocjach, piekielne „kino rodzinne”, ale wyobrażam go sobie na rodzinnym seansie, może terapia szokowa okaże się kluczem do zamkniętych drzwi pokoiów nastolatków – dobrze wspólnie się przeczołgać przez piekło „Dojrzewania”.

MIASTO Z POTENCJAŁEM

**W Sosnowcu jest wszystko,
czego trzeba. Nie ma co narzekać.
Trzeba zacząć od siebie,
wyjść z domu i działać**

Anna Wyrwik

– Proszę obejrzyć – Małgorzata Malinowska-Klimek podaje mi katalog „30 lat Galerii Extravagance 1922-2022”. Przewracam strony. Grafiki, obrazy, fotografie, w tym ta: parasolka w niebieskim kółku, wiosenna zielen, budynek z napisem „Mięso & Wędliny”, pomarańczowe postacie, szyld „Stadion Zima”, kolorowe budynki, postać w różowych konturach, samochody i neon z napisem „Zagłębie Sosnow...”. Przed obrazem stoi mężczyzna, a tytuł fotografii brzmi: „Michał Minor, artysta przy pracy nad obrazem »Coś dla duszy i ciała« realizowanym w czasie trwania ekspozycji w Galerii Extravagance”. Obraz jak to miasto, jak Sosnowiec.

Turbokapitalizm i postnowoczesność

Leży w centrum Górnośląskiego Okręgu Przemysłowego, w Zagłębiu Dąbrowskim, historycznie, w większości, w Małopolsce. Wjeżdżając od strony Dąbrowy Górniczej, widzi się Zagłębiowski Park Sportowy, stadion, Stok Narciarski Śródula. Przez środek dwupasmówki ciągną się tory tramwajowe, nad nią wisi kanciasta kładka dla pieszych z graffiti „Zagłębie Sosnowiec”. Po lewej stoi blok pokryty sidingiem, po prawej pałac Oskara Schöna, po

lewej socjalistyczne wyobrażenie Le Corbusiera, po prawej nowy apartamentowiec, a na horyzoncie klasy regionu – osiedle z wielkiej płyty.

– Nie wszystkie miasta są tak ładne, bo jednorodne stylistycznie, jak starówka Krakowa czy Gdańsk – mówi Małgorzata. – Większość jest podobna do Sosnowca, bo tu socjalistyczny dom handlowy, tam secesyjna kamienica, a dalej jeszcze postmodernizm. Przez te nieskoordynowane zabudowania brakuje jednorodności.

**To, co się mówi o Sosnowcu, to nieprawda.
Jest tu wielu ludzi z energią.**

Socmodernistyczne budynki z odłazającym tynkiem stoją obok odrestaurowanych XIX-wiecznych kamienic, a między nimi wepchnięte są plomby. Szyldy dzielą się na turbokapitalizm spod znaku lombard, xero, GSM i na postnowoczesność: handmade, concept, rzemieślnicza. Jak Piekarnia Rzemieślnicza 24 h przy „Patelni”, czyli placu Stulecia, na którym teraz starszy mężczyzna gra na saksofonie Franka Sinatrę. Ludzie chodzą, siedzą na ławkach, rozmawiają, a na rytm miasta łypie z pomnika Jan Kiepura. Łypie na miszmasz, w którym jest jakaś metoda, „coś dla duszy i ciała”. Bo może nie jest pięknie, ale pomysłowo, nawet jeśli są to pomysły przywiezione

z Warszawy, Krakowa, Berlina czy Chicago.

– Chcieliśmy stworzyć miejsce, w którym goście mogą się przenieść do Ameryki lat 60., zostawiając problemy za drzwiami – tłumaczy Jacek Gajek, współwłaściciel restauracji Chicago. Siedzimy na czerwonej kanapie przy stoliku nakrytym obrusem w biało-czerwonej kratkę. Podłoga w szachownicę przypomina tę z barów przy Route 66. W kuchni smażą się amerykańskie steki i burgery, z nalewaków płynie irlandzki

stout. Jest whiskey i specjalnie wyprodukowane przez zawierciański browar piwo Chicago. Bo Jacek jest z Zawiercia, gdzie otworzyli pierwsze Chicago. Tu jest drugie. – Sosnowiec się rozwija, remontuje. Małachowskiego wygląda teraz super!

O wyremontowanym odcinku ulicy Stanisława Małachowskiego mówią w całym mieście. Deptak od dzielają szlabany, a przejeżdżający środkiem tramwaj obserwują goście knajpianych ogródków w boksach postawionych przez miasto po obu stronach toru. Jest klub, pub, szisza, tapasy, kawiarnie, modny bar Księgarnia i Chicago.

– Pamiętam, gdy Katowice były brzydkie, szare i smutne, a teraz są





Małgorzata Malinowska-Klimek pracuje w Sosnowieckim Centrum Sztuki na zamku.

Miłosz (nz.) i Marta Małotowie prowadzą kawiarnię „szyciową”.

Jacek Gajek, współwłaściciel restauracji Chicago.



nie do poznania – cieszy się Jacek. – Podobnie dzieje się z Sosnowcem. Miasto z potencjałem. Dziś ludzie z Zawiercia jeżdżą nie do Katowic, tylko tutaj.

Tu dzieje się magia

Niektórzy narzekają na swoje miasto, że jest szare, zaniedbane i, jak ktoś podsumował, „k... smutne”. Ludzie mówią, że mało jest tu młodych. Według danych GUS z 30 czerwca 2024 r. w Sosnowcu mieszka ok. 186 tys. osób. Najmniej

od lat. W roku 1977 liczba mieszkańców przekroczyła 200 tys., w latach 80. i w pierwszej połowie 90. osiągała 250 tys., ale potem spadła, by w 2019 r. wrócić do poziomu poniżej 200 tys. Odtąd spada regularnie. Na mieście słyszę jednak nie tylko o tych, którzy z Sosnowca wyjechali, ale i o tych, którzy przeprowadzają się tu z innych miast albo wracają. Bo widzą zmiany.

Wiele tutejszych podwórek to ekspresjonizm pierwszej klasy. Stare szyldy, nowe graffiti, gruchoty na francuskich i niemieckich blachach

pod tablicami „Mechanik” albo dziekie parkingi z kałużami w dziurach. Na jednym z nich dwóch mężczyzn próbuje wypchnąć samochód pomiędzy sąsiednich aut – zastawiły go tak, że nie da się wsiąść. Ale w tych podwórkach jest coś jeszcze. Na rogach ulic, w blokach i kamienicach dzieje się magia. Ludzie prowadzą kwaciarnie, herbaciarnie, zajmują się rękodziełem, odnawiają meble lub tworzą górskie pamiątki, jak firma Niech to szlak!

Albo prowadzą kawiarnię „szyciową”, jak Miłosz i Marta Małotowie. Oboje pochodzą z Bytomia i to tam pojawiło się pierwsze miejsce o nazwie MM Handmade. Drugie było w Gliwicach. Zobaczyli zainteresowanie w Zagłębiu, więc otworzyli też w Sosnowcu.

– Wiele osób przedstawiało Sosnowiec stereotypowo i dziwiło się, że postanowiliśmy otworzyć kolejną kawiarnię właśnie tutaj – przyznaje Miłosz. – To, co się mówi o Sosnowcu, to nieprawda. Jest tu mnóstwo ludzi z energią, czego dowodem choćby duże zainteresowanie naszymi warsztatami.

W MM Handmade można wypić kawę i zjeść ciasto, ale przede wszystkim kupić tkaniny, pasmanteię, ręcznie robione zabawki i plecione w formie warkoczy poduszki oraz wziąć udział w warsztatach.

– Organizujemy praktyki i warsztaty dla dzieci i młodzieży ze szkół podstawowych i średnich, mamy ▶

► też zajęcia dla dorosłych – dodaje Miłosz. – Dzięki nam w mieście pojawiło się wiele nowych krawcowych. Myślę, że gdyby nie my, te panie nie szyłyby i nie otworzyły swoich działalności.

Miłosz zauważa, że ludzie są coraz bardziej otwarci na kolory. – Widzę to też po mężczyznach, którzy szyją. Kupują u nas kolorowe tkaniny i mają pomysły na fajne stylizacje.

Cudaki regionu

Sosnowiczanie i sosnowiczanki z dawnych lat pamiętają miasto osiedli, na których bawiły się dzieci, podczas gdy rodzice pracowali w hutach i kopalniach. I czarny pył, który osiadał na ubraniach, budynkach oraz w płucach.

Aldona Krawiec pamięta zaś pola, PGR i pasące się na łąkach krowy. Pochodzi z dzielnicy Ostrowy Górnicze i, jak mówi, rzadko wyprawiała się do miasta, bo kocha wieś i spokój. Przez lata pracowała jako urzędniczka państwowa. 10 lat temu jej wnuk dostał alergii, na którą dobre okazało się kozie mleko. Syn kupił kozy i założyli Gospodarstwo Yagi, bo yagi to po japońsku koza. Wyrabiają kefir, jogurty i sery podpuszczkowe z czarnuszką, kozieradką, suszonymi pomidorami, żurawiną i orzechami włoskimi, ricottę, twarożki, a za „smażków” wzorowany na halloumi dostali wyróżnienie Krysztalowy Ser dla najlepszego sera w województwie. Produkty sprzedają do sklepów w całej Polsce i mają zamówienia z sosnowieckich lokali.

– PGR zamknęli, sąsiedzi przestali się zajmować hodowlą i rolnictwem, a dzielnica stała się typową sypialnią. Nasza działalność jest więc jak powrót do tradycji i korzeni – tłumaczy Aldona.

Stoimy w jej kuchni. W lodówce dojrzewają sery, na stole stoją butelki z mlekiem, przez okno widać stado 50 kóz. – Gdy mówimy, że jesteśmy z Sosnowca, ludzie są zaskoczeni. Dziwi się, że w dużym mieście można hodować kozy. Kiedyś napisali o nas na portalu Cuda regionu i od tego czasu śmiejemy się, że jesteśmy cudakami regionu.



Aldona Krawiec i jej wyroby z koziego mleka.

Agnieszka Żbikowska-Kieszkiewicz, założycielka BarwowaArt.

Z krwi robotników

Wielu ludzi podkreśla, że Sosnowiec jest miastem otwartym. W końcu to miasto czterech kultur: Polaków, Żydów, Niemców i Rosjan. Znajduje się tu Trójkąt Trzech Cesarzy – miejsce, gdzie w latach 1846-1915 zbiegały się granice trzech europejskich cesarstw. A do tego istnieje setki opowieści o tym, jak ludzie razem żyli i mieszały się, a teraz odkrywają te korzenie.

– W PRL mówiono nam, że jest jedna Polska i wszystko wspólne. Dziś mamy coraz większą świadomość przeszłości, lokalności i różnic – wyjaśnia Małgorzata Malinowska-Klimek. – Ludzie przychodzą do nas i opowiadają swoje historie. Jeden z zagłębiowskich artystów odkrył, że jego babcią jako dziecko została uratowana przez nastolatkę z Sosnowca z transportu do Auschwitz.

Inny temat to Śląsk i Zagłębie. Małgorzata jest sosnowiczką z dziada pradziada, z dzielnicy Zagórze. Nie pogłębia podziałów, postrzega region jako megamiasto. A za jeden z największych plusów uważa fakt, że Sosnowiec jest świetnie skomunikowany. Bez problemu można się poruszać po nim bez samochodu, pojechać do sąsiednich miast albo z nich do Sosnowca.

– Zamek był pierwszy – mówi, gdy siedzimy w jednym z jego pomieszczeń, dziś biur Sosnowieckiego Centrum Sztuki, gdzie Małgorzata jest kuratorką.

Najstarsze ślady osadnictwa w okolicy datuje się na IX w. Pierwszą budowlą obronną wzniesiono w XIV w. Z trzech stron była otoczona bagnami, więc położona bezpiecznie. Potem na jej ruinach powstał obecny zamek. – Ludzie woleliby, żeby był średniowieczny, ale tablica z rokiem 1620 to też nie w kij dmuchał i jak na okolicę niezły zabytek.

Zamek przechodził z rąk do rąk, rycerskich, szlacheckich, aż w połowie XIX w. kupił go hrabia Andreas (Andrzej) Renard, uznawany dziś za jednego z twórców przemysłu w Zagłębiu i na Górnym Śląsku. Wtedy to wciąż była wieś Sielec. Nakazem cara w 1902 r. wraz z Pogonią, Radochą, Ostrą Górką, Nowym Sosnowcem i Starym Sosnowcem utworzyła Sosnowiec. Nazwa pochodzi zapewne od borów sosnowych. Według legendy król Kazimierz Odnowiciel albo Kazimierz Wielki powiedział: „Tam rosną dąbrowy, tam sosnowy, tutaj będziem my, tam Pogoń, a tam czeladź nasza, a jeżeli tu mało będzie miejsca, to reszta stanie za górą”.

– Po wojnie zamek przejęło państwo i przeznaczyło na biura Kopalni Węgla Kamiennego Sosnowiec – kontynuuje Małgorzata. – Ktoś chciał go zburzyć, bo był z krwi robotników, ale dyrektor kopalni powiedział, że właśnie dlatego, że z krwi robotników, trzeba zostawić.

W latach 70. zamek przejęły Zjednoczone Huty Szkła Gospodarczego Vitropol. Powstało muzeum



z wzorcownią. Pod koniec XX w. bagna o sobie przypominały, mury podciągnęły wodę i strop groził zawaleniem. – Zamek był brudny, mokry i zniszczony. Miasto szukało na niego pomysłu. Była mowa o kasynie, hotelu, stanęło na przeniesieniu tu Galerii Extravagance i stworzeniu siedziby Sosnowieckiego Centrum Sztuki.

Za oknami zamku widać osiedle, park i Stadion Zimowy. Socrealistyczny neon stadionu jest jednym z wielu w Sosnowcu, których nie powstydziliby się żadne muzeum neonów na świecie. Tak jak żadne miasto nie odmówiłoby zapewne w swojej przestrzeni takich budynków jak Dom Kultury Górnik, restauracja Kolorowa czy właśnie stadion, na który jednak w Sosnowcu wyrok już zapadł.

Tymczasem w zamku trwają przygotowania do wystawy Victora Vasarely'ego „Triumf geometrii”. – Stawiamy na sztukę współczesną zarówno z Polski, jak i zagranicą – mówi Małgorzata. – Organizujemy też wystawy historyczne, warsztaty z technik artystycznych, koncerty, wykłady i spotkania, na których czasem toczą się zażarte dyskusje.

Małgorzata wspomina, że w latach 90. czy zerowych na wystawy sztuki współczesnej przychodzili głównie młodzi. Dziś także na inne wydarzenia przychodzą wszyscy, w tym wielu seniorów. – Nie skupiają się już na siedzeniu z wnukami. Ostatnio słyszałam, jak panie po osiemdziesiątce

po warsztatach rozmawiały o tym, gdzie pójść na kawę.

Małgorzata wylicza kolejne miejsca w Sosnowcu, w których dużo się dzieje. Muzeum w pałacu Schöna z wystawami sztuki, Miejski Klub im. Jana Kiepury z wystawami i koncertami, Przystanek Otwartej Kultury Maczki ze spotkaniami i warsztatami, Zagłębiowska Mediateka z dziesiątkami wydarzeń i pokazami starych filmów...

Na mieście słyszę nie tylko o tych, którzy z Sosnowca wyjechali, ale i o tych, którzy wracają. Bo widzą zmiany.

Kolejne osoby dokładają Park Jacka Kuronia, Egzotarium, lodowisko, baseny, ściankę wspinaczkową Poziom 450 na terenie byłej kopalni. „Coś dla duszy i ciała”. Brakuje mi czasu, by z tego wszystkiego skorzystać.

Zagłębiaczka z krwi i kości

Z architektonicznej ekspresji Sosnowca wyłania się przestrzeń, która wymyśla się na nowo. Po upadku kopalni, hut i innych zakładów Sosnowiec nie jest już miastem przemysłowym, ale też zdaje się nie mieć pretensji do bycia czymś, czym nie jest, więc po prostu jest, niesiony ludzką energią.

– Postanowiłam coś zmienić w swoim życiu i pod koniec 2023 r. otworzyłam galerię sztuki z kawiarnią – mówi Agnieszka Żbikowska-Kieszkiewicz.

Pijemy kawę w BarwowaArt, w dzielnicy Pogoń. Na ścianach wystawa fotografii, w drugim pomieszczeniu z minibarem wiszą grafiki, zdjęcia, obrazy, a w gablotach jest rękodzieło lokalnych artystów.

Agnieszka pochodzi z dzielnicy Śróduła i czuje się Zagłębiaczką: – Nie czuję się Ślązaczką. Jestem Zagłębiaczką z krwi i kości. To różnica. Myślę, że Ślązacy mają silne poczucie tożsamości. W Zagłębiu ludzie pochodzą z różnych rejonów Polski, dlatego takiego poczucia brakuje. Jest za to większe zróżnicowanie i nacisk na to, by szanować inne kultury i religie.

Z wykształcenia jest plastyczką i ceni to, że wielu ludzi w Sosnowcu ma artystyczne pasje. Opowiada o kowalu artystycznym Janie Dubielu, o Marku Pypnie, który pracował w górnictwie, a teraz maluje, o malarce Ewie Monecie, która organizuje warsztaty malowania na porcelanie, o Radosławie Lasaku, który uczy kaligrafii, o warsztatach florystycznych, malowania na tkaninie i akwarelą, tworzenia patchworków. I mogłaby tak wymieniać jeszcze długo. Opowiada też o pani z sąsiedztwa, która

przyszła i powiedziała: „Skończyłam szkołę plastyczną, bardzo dawno nie malowałam, ale zobaczyłam to miejsce i na początku trochę się bałam, jednak wróciłam, bo nigdy nie sądziłam, że będę miała możliwość wystawienia swoich prac”. Wystawiła. A na wieczory poetyckie ludzie przychodzą nie tylko posłuchać, ale i przeczytać własną poezję.

Agnieszka podkreśla, jak bardzo Sosnowiec się zmienił. – I cały czas gna do przodu. To już nie jest małomiasteczkowe miejsce, ale miasto, w którym jest wszystko, czego trzeba. Nie ma co narzekać. Trzeba zacząć od siebie, wyjść z domu i działać. Nie jesteśmy jeszcze południem Europy, gdzie ludzie godzinami siedzą na mieście, korzystając z kultury albo dyskutując przy kawie, ale wszystko idzie w dobrym kierunku.

Anna Wyrwik

WindRunner ma być większy niż...
londyński stadion Wembley.



Gigant do zadań specjalnych

Amerykańska firma Radia planuje zbudować olbrzymi samolot do transportu łopat turbin wiatrowych. Zrewolucjonizuje on energetykę odnawialną

Chrystian Ślusarczyk

W lutym 2022 r., krótko po rozpoczęciu rosyjskiej inwazji na Ukrainę, zniszczony został największy samolot świata – lubiany i często fotografowany Antonow An-225 Mrija. Zdjęcia wraku obiegły wówczas wszystkie agencje globu. Mrija została zniszczona w tragicznych okolicznościach, zbombardowana podczas ataku na hangar na lotnisku Hostomel pod Kijowem. Samolot zaprojektowano w celu transportowania wahadłowca kosmicznego Buran i części potężnej rakiety Energia służącej do jego wynoszenia na orbitę, ale ostatecznie był używany do przesyłania komercyjnych ładunków wielkogabarytowych.

Kolos już za dwa lata

Świat jednak powoli zapomina o tym, co się wydarzyło na podkijowskim lotnisku. Od niedawna pasjonuje się zupełnie nowym projektem. Jego efektem ma być budowa największego samolotu świata, który – podobnie jak zniszczona Mrija – będzie przeznaczony do zadań specjalnych. Być może do takich, z których ani jego twórcy, ani my nie do końca jeszcze zdajemy sobie sprawę. Bo kto mógł przypuszczać, że gigant Mrija w 2020 r. przywiezie do Polski tysiące wyczekiwanych wówczas chińskich maseczek i innych środków ochronnych...

Amerykańska firma Radia, wychodząc naprzeciw wymaganiom energetycznym, które stawia przed

światem trzecia dekada XXI w., planuje zbudować ogromny samolot o nazwie WindRunner.

Jego pojawienie się na rynku zrewolucjonizuje tak popularną dziś energetykę odnawialną. Samolot będzie przeznaczony do transportu olbrzymich łopat turbin wiatrowych. Jako że potrzeby i wymagania energetyki wiatrowej z roku na rok są coraz większe, transport rzeczonych łopat drogą lądową staje się coraz trudniejszy, by nie powiedzieć niemożliwy. Radia, firma ze stanu Kolorado, chce ten problem rozwiązać. I wygląda na to, że w 100% jej się uda.

Opisując rozmiary giganta, który ma wyjść z zakładów i hangarów Radii, we Włoszech posługują się wymownym porównaniem: nowy

samolot ma być większy niż... londyński stadion Wembley! To, że niemal wszystkie włoskie media poświęcają temu projektowi tyle miejsca, wynika z faktu, że niektóre części do WindRunnera wyprodukują właśnie Włosi. W Rzymie i Mediolanie nie kryją dumy – w przedsięwzięcie zaangażowane są dwie włoskie firmy z południowego regionu Brindisi, który boryka się z poważnymi trudnościami gospodarczymi, zamykaniem fabryk i rosnącym bezrobociem. Magnaghi

nie będzie to najbardziej ekologiczny transport. Jednak produkcja energii wiatrowej będzie skutecznie kompensować emisję dwutlenku węgla związane z użytkowaniem gigantycznego samolotu.

Trend stawiania na odnawialne źródła energii utrzymuje się, począwszy od USA, przez całą Europę, łącznie z Polską, aż po Japonię. Popularność farm wiatrowych rośnie i nic nie wskazuje na to, by w najbliższej przyszłości coś w tej kwestii się zmieniło.

WindRunner ma być gotowy w połowie 2027 r. Będzie mógł transportować po dwie łopaty turbin wiatrowych o wadze 35 ton każda i o długości 104-105 m.

Aerospace opracowuje dla amerykańskiego producenta system lądowania „giganta nieba”, z kolei firma Leonardo zaangażowana jest w prace przy tworzeniu kadłuba.

WindRunner ma być gotowy w połowie 2027 r. Maszyna będzie mogła transportować jednocześnie dwie łopaty do turbin wiatrowych o wadze 35 ton każda i o długości 104-105 m. Jak podają w centrali firmy, samolot będzie mógł unieść ciężar ponad 172 ton. On sam będzie miał długość 108 m (stąd stadionowe porównania), wysokość 24 m i możliwość lądowania łopat turbin wiatrowych od przodu. WindRunner będzie miał skrzydła o rozpiętości 80 m, zasięg lotu wynosić ma 2 tys. km. Maszyna wyposażona będzie w cztery silniki, dzięki którym osiągnie prędkość przelotową 740 km/godz.

Transport dla energetyki odnawialnej

Możliwości WindRunnera torują drogę do opracowywania jeszcze większych turbin wiatrowych niż obecne – takich, które mogłyby wygenerować znacząco większą moc. Według Radii turbiny z łopatami dłuższymi niż 100 m mogłyby obniżyć koszty produkcji energii o co najmniej 35%.

Co do oddziaływania WindRunnera na środowisko, amerykańska firma jest dość oszczędna w ujawnianiu szczegółów. Nie ulega wątpliwości, że

Ernesta Moniza i byłego premiera Australii Malcolma Turnbulla.

Jak wygląda transport łopat do turbin wiatrowych obecnie? Ponieważ mają coraz większe rozmiary, przewożenie ich drogą lądową staje się praktycznie niemożliwe. Nie daje się ich wygodnie dowieźć do miejsca docelowego ani w starej Europie, gdzie autostrady nie należą do najszerzych, ani w Ameryce Północnej, gdzie drogi mają nawet 70 m szerokości. Największy problem pojawia się w czasie manewrów przy skrętach, których mimo starań nigdy nie uda się uniknąć. Transport ładem

powoduje więc niebywale turbulencje, a czasowym zamknięciem dróg coraz częściej towarzyszą protesty mieszkańców.

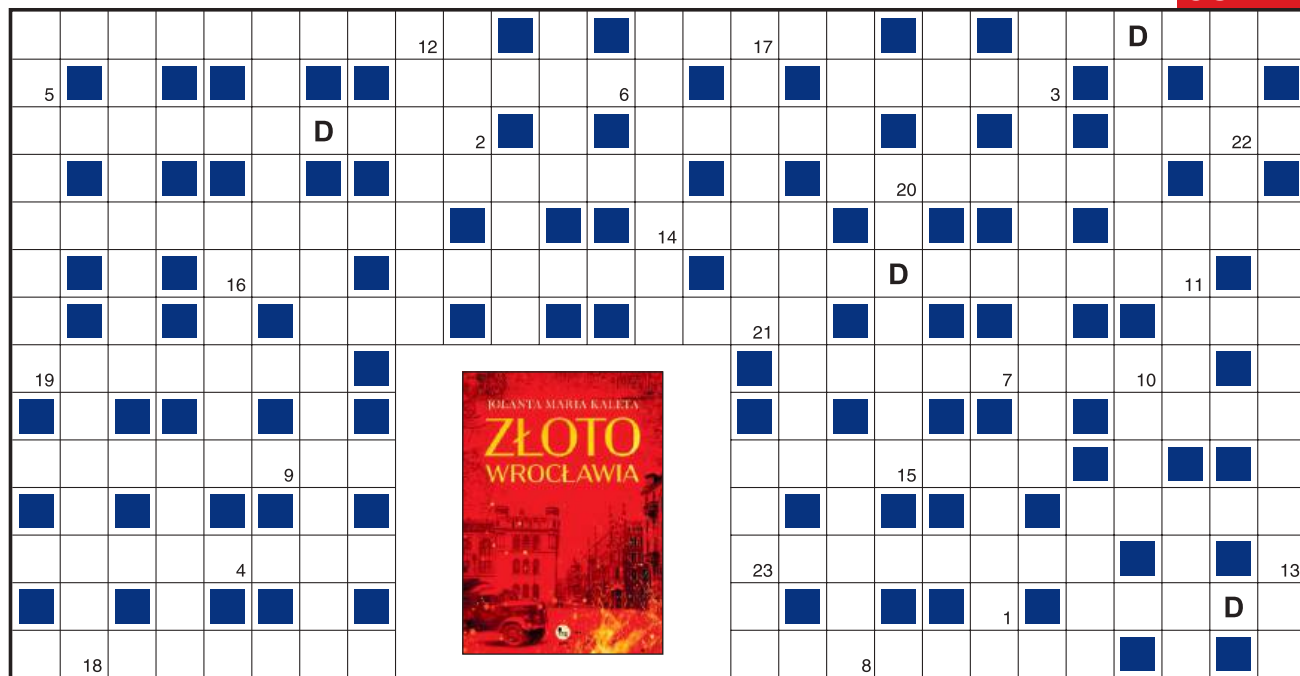
Co dla Polski?

Wielką zaletą WindRunnera ma być zatem możliwość lądowania na pasach startowych o długości 1,8 tys. m, czyli niezbyt długich i wykonanych ad hoc w pobliżu miejsc instalacji turbin wiatrowych. Warto zaznaczyć, że wiele znacznie mniejszych samolotów pasażerskich nie poradziłoby sobie z wylądowaniem na tak krótkim pasie. Jak informuje specjalistyczny portal DlaPilota, podwozie gigantycznej maszyny ma być tak skonstruowane, by móc operować na tymczasowych i nieutwardzonych lądowiskach. Tak skonstruowany samolot odbierze łopaty z punktu, gdzie są produkowane, i bezpiecznie przeleci z nimi, dokądkolwiek będzie trzeba.

Ta ostatnia charakterystyka WindRunnera szczególnie powinna zainteresować Polskę, ponieważ trwa budowa olbrzymiej farmy wiatrowej Baltica 2. Projekt realizowany przez PGE i duński koncern Ørsted powstanie w polskiej części Morza Bałtyckiego. Farma zajmie powierzchnię ok. 190 km kw. Elektrownia wiatrowa umożliwi dostarczenie bezemisyjnej

Projekt Baltica 2+3 wydaje się tylko czekać na taki środek transportu, jakim będzie dziecko amerykańsko-włoskiej myśli technologicznej.

energii elektrycznej ok. 2,4 mln polskich odbiorców: gospodarstwom domowym, szpitalom, szkołom, urzędem oraz firmom. Farma wiatrowa na Bałtyku będzie się składać ze 107 turbin o mocy 14 MW każda. Pierwszy prąd z Baltiki 2 ma popłynąć w pierwszym kwartale 2027 r., czyli dokładnie w tym samym czasie, kiedy loty ma rozpocząć najnowsze dziecko amerykańsko-włoskiej myśli technologicznej. Do roku 2030 zaś ma być ukończony etap Baltica 3. Ta inwestycja wydaje się tylko czekać na taki środek transportu, jakim będzie WindRunner. ■



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadanych wyrazów.
Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery D ujawniono.
Litery z pól ponumerowanych od 1 do 23 utworzą końcowe hasło.

- nieobecność, np. w pracy
- anglosaska jednostka powierzchni gruntów
- notarialny lub prawny
- koń z Janowa Podlaskiego
- zaleta czegoś, przekonujący argument
- seria kreskówek o samochodach
- rakotwórczy materiał budowlany
- święto górnicze 4 grudnia
- świder, wiertło
- pół człowiek, pół koń
- z niego – dorywczó
- zarobkowa, Wielka lub wewnętrzna
- urodziła Minosa

- „Nie płacz...” Perfectu
- z wodą wokół zamku
- uderzenie w niego sygnałem
- Smocza...
- zderzenie się wielu pojazdów
- grzbietowa część pancerza żółwia
- zamknięta grupa społeczna
- linia żeńska w rodzie
- impreza handlowa ze stoiskami
- alkaloid w ziarnach kawy, orzeszkach kola
- uruchamiana do cięcia na kromki i plastry
- askorbinowy to witamina C
- piwo długo leżakowane
- robienie wrażenia dla popularności

- przejęzyczenie
- Albrecht Hohenzollern wobec Korony Polskiej
- okrutny masowy mord
- nielot z Ameryki Południowej
- rzeka i miasto na granicy Estonii i Rosji
- ...nędzy i rozpacz
- natarcie dużych sił wojska
- kolczasta roślina z koszyczkami
- uczestnik dyskusji toczony przed audytorium
- podium lub półpiętro
- do poprawiania drewn, węgla w palenisku
- Ariane 6 lub Falcon 9
- odpowiada ankietowowi
- pogłos, reakcja lub wzmożenie drgań
- z Tytusem i A'Tomkiem
- wafłowa lub z ciasta francuskiego, z kremem

- ma czerwono-białe korzeń
- nocne spotkanie czarownic
- „...w plecaku”, żołnierska piosenka
- zagrywka w tenisie, siatkówce
- muzeum etnograficzne pod gołym niebem
- placzyk z rabatami i ławeczkami
- cerkiew katedralna
- prima... – doskonały
- zając je to ustosunkować się
- „Straszący...” Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej
- mata dla dżudoków
- Wilhelm, legendarny bohater szwajcarski
- określony obszar, np. państwa
- przegłos w języku niemieckim
- pokrywa kufra

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1214”. Do rozlosowania książki „Złoto Wrocławia” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 30 marca 2025 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1211” z nr. 10: Każda chwila to szansa na zmiany. Nagrody otrzymują: Krystyna Jóźwik z Legnicy, Juliusz Kidawa z Polańca, Tadeusz Wardziak z Siedlec.

Trzy dziwne historie

Ja'akow Liwne, ambasador Izraela w Polsce, opuszcza nasz kraj, wraca do pracy w swojej centrali. Będzie w niej wicedyrektorem generalnym odpowiedzialnym za politykę publiczną, czyli m.in. za politykę kulturalną, a także za walkę z przejawami antysemityzmu na świecie. Może będzie mu się to udawało, może nie... W każdym razie warto odnotować jego wyjazd, bo w historii stosunków polsko-izraelskich nie było ambasadora tak agresywnego i tak mało empatycznego, wywołującego konflikty, zamiast je łagodzić. To, co zbudował Szewach Weiss, zostało zrujnowane z nawiązką.

Po serii wystąpień ambasadora za jego wyrzuceniem z Polski opowiedziało się w sondażu dla „Rzeczpospolitej” 35% ankietowanych. Swoją „formę” Liwne potwierdził w pożegnalnym wywiadzie, w którym był m.in. pytany o to, co sądzi o sformułowaniu „polskie obozy śmierci”. „Spędził pan tu trzy lata. Czy rozumie pan teraz oburzenie Polaków, gdy światowi przywódcy lub media piszą o »polskich obozach śmierci«?”, pytał dziennikarz TVN 24. A on opowiadał na okrągło, że nigdy nie użył tego określenia. Poza tym „media piszą różne rzeczy o Polsce, o Stanach Zjednoczonych, o Izraelu. Myślę, że trzeba trzymać się faktów. Dobierać ostrożnie słowa”.

Liwne w ciągu tych trzech lat spędzonych w Polsce był wielokrotnie wzywany na dywanik do MSZ. Pytany o to odpowiedział, że to dobrze, bo dzięki temu można porozmawiać i lepiej się zrozumieć. Wypada więc stwierdzić, że po wizytach w MSZ i trzyletnim pobycie w naszym kraju niewiele zrozumiał. I dobrze, że wyjeżdża. Nawiasem mówiąc, w samą porę, bo do Warszawy zjechać ma niebawem nowy ambasador USA Tom Rose. Jakby byli we dwóch...

Wiadomość z innego gabinetu: wiceminister Andrzej Szejna z Nowej Lewicy nie ma dobrej passy. Opisano go w mediach jako człowieka fałszującego na potęgę sejmowe kilometrówki i funkcjonującego na stałym rauszu, z chuchem jak gorzelnia. Zaraz po tych publikacjach poszła plotka, że minister Sikorski będzie chciał go wymienić na innego polityka lewicy. Bo kilometrówki rażą w Polsce, a gorzelnia... Jedynym departamentem, który Szejna w MSZ nadzoruje, jest Departament Afryki i Bliskiego Wschodu. A w Arabii Saudyjskiej i w Iranie akurat ta słabość nie jest dobrze widziana.

Co dalej zatem? Spekulacje ucięto szybko. Bo Bliski Wschód Bliskim Wschodem, ale nie ma w MSZ wiceministra, który w wywiadach w co drugim zdaniu tak podkreślałby geniusz ministra Sikorskiego i jego trafną politykę. Po co więc wprowadzać chaos, skoro ma się tak miłego podwładnego, który we wszystkim się słucha, nawet w takiej kwestii, jakie sekretarki mają u niego pracować? A szczytem jego aktywności jest przyjmowanie w MSZ delegacji z województwa świętokrzyskiego...

I jeszcze jedna zabawna informacja. Prezydent Andrzej Duda zaproponował Sikorskiemu wymianę – żeby ambasador przy ONZ Krzysztof Szczerski zamienił się miejscami z chargé d'affaires ambasady w Waszyngtonie Bogdanem Klichem. Wtedy Duda podpisałby nominacje ambasadorskie. Czyżby uważał, że Tusk i Sikorski są już u Trumpa tak zmiażdżeni, że tylko były szef prezydenckiej kancelarii jako ambasador w USA ich uratuje? A może po prostu wie, że po 1 czerwca Szczerski pożegna się z placówką i z MSZ, więc chce pokazać, że walczy o niego do końca?

Attaché

Wiosna, ach to ty!
Zające w okresie
godowym. South Downs
w południowej Anglii,
18 marca 2025 r.



PENETRACJE

FORUM
MYŚLI WOLNEJ

PROF. JAN WOLEŃSKI,
FILOZOF

Fakt jest taki, że przy dwóch godzinach religii tygodniowo przez cały okres edukacji na poziomie podstawowym i średnim (pomiędzy katechez w przedszkolach) przedmiot ten ma więcej godzin niż jakikolwiek inny. Narzeka się na przeładunek programowy, brak czasu na należyte potraktowanie wielu kwestii z zakresu języka polskiego, historii, matematyki czy fizyki (i wielu innych dziedzin wiedzy), natomiast religia (praktycznie katecheza, by jeszcze raz to powtórzyć) ma czasu lekcyjnego pod dostatkiem, w sytuacji gdy te same tematy stale są poruszane i w ten sam sposób, rok po roku. Trudno się oprzeć wrażeniu, że chodzi o wychowanie człowieka w duchu określonej ideologii. Trzeba też wskazać na możliwe (to także rzeczywistość) konflikty pomiędzy treściami nauczonymi przez katechetów a współczesną wiedzą naukową, np. w dziedzinie biologii.

TYGODNIK
ANGORA
KONTRASTY
POLSKIEJ
KULTURY
I SPOŁECZNOŚCI

HENRYK MARTENKA,
PUBLICYSTA

Nikt z opozycji nie raczył Sikorskiego wesprzeć ani zachować się przyzwoicie, czyli zamilknąć, i to w chwili, gdy wszystkim nam naprawdę potrzeba narodowej jedności. Stary Kaczyński ma jednak rację, że jest „ciągle żywa w narodzie nasza tradycja zdrady narodowej”. Zawsze mnie upokarzała sytuacja, gdy partyjne mieroty z jakiegokolwiek strony podnosiły głos i próbowały kąsać lepszych od siebie. Szczególnie w zakresie dyplomacji, gdzie trzeba mieć nieco wyższe kwalifikacje niż błogosławieństwo dyrektora Rydzyka albo dyplom nieznanego bliżej pochodzenia. Odezwał się oto europoseł Dworczyk, który wyśmiał polską dyplomację jako odsuniętą od stołu amerykańsko-ukraińskiego negocjacyjnego w Dżuddzie. Kompetencje dyplomatyczne onego Dworczyka są mało znane, ale trzeba było dowalić Sikorskiemu.

PANI DANIEL OLBRYCHSKI,
AKTOR

Moim największym bogactwem były spotkania i przyjaźnie z niezwykłymi ludźmi: Wysocki, Okudźawa, Monica Vitti, Lelouch, Wajda, Hoffman, wielcy pisarze. Kiedy Wajda dał mi rolę w „Popiołach”, podszedł do mnie profesor filozofii Stefan Morawski i powiedział: „Przez rok będzie pan miał okazję przebywać w towarzystwie jednego z największych intelektualistów Europy i wybitnych ludzi, z którymi on się spotyka. Niech pan tego nie zmarnuje. To będzie pana uniwersytet”. Tak było. Miałem 19 lat i w SPATiF-ie jadłem obiady, piłem kawę i alkohol z Dygatem, Andrzejewskim, Konwickim, Słonimskim, Żuławskim, słuchałem, jak opowiadają anegdoty, co mówią o świecie, polityce, sztuce.

zwierciadło BOGNA SWOROWSKA,
MODELKA I PRZEDSIĘBIORCZYNI

Nigdy nie szalałam za swoim ciałem, ale w jakimś momencie uznałam, że jest okej. Najlepiej było około trzydziestki, najbardziej się wtedy akceptowałam. Wcześniej ciągle chciałam wyglądać inaczej, potem przez chwilę było fajnie, ale zaraz przyszła pięćdziesiątka, więc tego czasu na nacieszenie się nie miałam dużo. A potem i hormony, i grawitacja powodowały różne cyrki. Mam otwarty stosunek do medycyny estetycznej i chirurgii plastycznej, uważam, że jeśli czegoś nie mogę wyćwiczyć, a bardzo mi to przeszkadza, to trzeba skorzystać z chirurgii – i tyle.



**- JA JĄ PCHNĘ, WY JĄ SKOPIĘCIE,
SPRAWIEDLIWOŚĆ MUSI BYĆ NA ŚWIECIE...**



Tadeusz Batyr

**odwiedza
Karola Nawrockiego.**



**PROSZĘ O TWOJE
WSPARCIE!**

WSPÓLNE ZMIENIAMY POLSKĘ NA LEPSZĄ



Proszę, to jest ta nowa piątka Memcena.

1. Nie wiem.
2. Nie pamiętam.
3. Wyrwane z kontekstu.
4. Nie słyszałem.
5. To nie ja pisałem.

ANAGRAMY

Przestawiając litery, utwórz wyrazy z podanych słów.

Wyrazy z sześciu liter

1

F A N + L A K

=

□ □ □ □ □ □

2

K A C + N E T

=

□ □ □ □ □ □

Wyrazy z siedmiu liter

3

T I N A + J A K

=

□ □ □ □ □ □ □

4

Z G A R + Ż E L

=

□ □ □ □ □ □ □

Wyrazy z ośmiu liter

5

S M O K + T I N A

=

□ □ □ □ □ □ □ □

6

G R A F + K A L I

=

□ □ □ □ □ □ □ □

ROZWIĄZANIA: FLANKA, AKCENT, TAJNIAK, ŻEGLARZ, SAMOTNIK, FIGLARKA



Aby język giętki...

PROF. MAREK BELKA O ELONIE MUSKU

Niewyobrażalne bogactwo sprawia, że temu człowiekowi odbija szajba.

JOANNA SOLSKA O EKIPIE RAFAŁA BRZOSKI

Przypomina telewizyjny program „Mam talent”, każdy może się zgłosić. Do ekipy próbują się dostać także różni lobbysci i autorzy przepisów, które powinny być zniesione.

ANNA MATERSKA-SOSNOWSKA O KANDYDATACH KOALICJI

Wszyscy wszystkich kopią po kostkach. Jakby zapominali, że są w jednym przedziale, w jednym momencie i jak przegramy – to wszyscy.

JANUSZ ROLICKI O ROZUMIE

Postawienie na USA jako głównego dostawcę broni było bezrozumne.

KATARZYNA KUBACKA-SEWERYN O MĘŻU ANDRZEJU

W każde zadanie wkłada maksimum wysiłku. Koszty są duże.

MACIEJ STUHR O SAMOTNOŚCI

Cechą mężczyzn w mojej rodzinie było zamiłowanie do samotności. Wszyscy lubili swój wewnętrzny świat i swoje samotne jaskinie.

OTYLIA JĘDRZEJCZAK O RODZICACH

Powinni być największym wsparciem dla dziecka. Nie mogą nakładać na nie własnych ambicji. Dziewięciolatka to dziecko, nie sportowiec.

MANUELA GRETKOWSKA DO BYŁEGO CHŁOPAKA CÓRKI POLI

Wolałabym sobie psiknąć gazem pieprzowym prosto w oczy, niż słuchać tego, co masz do powiedzenia.



ADRES REDAKCJI

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl
listy@tygodnikprzegląd.pl

tygodnikprzegląd.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzegląd.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak

Sekretarze redakcji:

Agata Gogółkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzegląd.pl

Marzena Michalek m.michalek@tygodnikprzegląd.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek,

Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski,

Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini,

Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Palkiewicz, Rafał Piłkuła,

Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,

Małgorzata Szczepańska-Piszczyńska, Bronisław Tumilowicz,

Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak,

Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,

Artur Zaborski, Beata Znamierowska-Soczawa

Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun,

Wojciech Kuczek, Bronisław Łagowski,

Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki,

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burzelka, Anna Rosiak,

Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoreporterzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyszner

Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:

Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzegląd.pl

Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzegląd.pl

Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzegląd.pl

Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzegląd.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzegląd.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.

07-200 Wyszaków, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WKBKPLPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Zdzisław Beksiński, AD74



Wojciech Siudmak, Totalna regeneracja

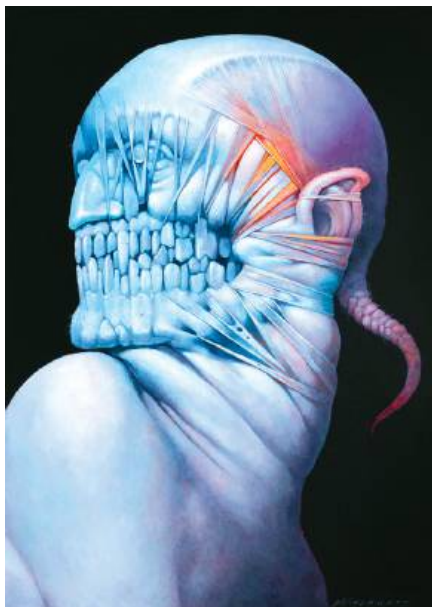
SZTUKA FANTASTYCZNA W WARSZAWIE

Czwarta edycja wystawy „Sztuka Fantastyczna w Warszawie” to ponad 70 dzieł autorstwa wyjątkowych artystów z kręgu sztuki fantastycznej: Zdzisława Beksińskiego, Grzegorza Czechowskiego, Jerzego Dudy-Gracza, Mariusza Krawczyka, Rafała Masiulańca, Andrzeja Olczyka, Igora Panchuka, Krzysztofa Powalki, Michała Powalki, Wojciecha Siudmaka, Sebastiana Smarowskiego, Bartosza Stępińskiego, Jacka Szynkarczuka,

Magdaleny Szynkarczuk, Wiesława Wałkuskiego, Grzegorza Wróbla i Dariusza Zawadzkiego. Jak co roku zdecydowana większość prac jest prezentowana publicznie po raz pierwszy!

**Muzeum Sztuki Fantastycznej
Warszawa, ul. Żąbkowska 31
do 25 maja**

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Wiesław Wałkuski, Suka andaluzyjska



Rafał Masiulańec, I5



Grzegorz Wróbel, Pod trzema słońcami



FUNDACJA
DAJEMY
DZIECIOM
SIŁĘ

79% dzieci w Polsce
doświadczyło przemocy

Pomóż im!

Przekaż **1,5%** podatku
Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę

KRS 0000 20 44 26



pit.fdds.pl

74 Internationale
Filmfestspiele
Berlin
Nagroda czytelników
Berliner Morgenpost

74 Internationale
Filmfestspiele
Berlin
Srebrny Niedźwiedź
Najlepszy scenariusz

74 Internationale
Filmfestspiele
Berlin
Nagroda Gildii
filmowej

MIEDZYNARODOWY
FESTIWAL FILMOWY
JEROZOLIMA
KONKURS GŁÓWNY

GERMAN FILM
AWARDS
ZŁOTA NAGRODA
NAJLEPSZY FILM

MIEDZYNARODOWY
FESTIWAL FILMOWY
SYDNEY
KONKURS GŁÓWNY

MIEDZYNARODOWY
FESTIWAL FILMOWY
STAMBUŁ

MIEDZYNARODOWY
FESTIWAL FILMOWY
KARLOWE WARY

MIEDZYNARODOWY
FESTIWAL FILMOWY
TRANSYLVANIA

SYMPHONIA O UMIERANIU

REŻYSERIA
MATTHIAS GLASNER

TA HISTORIA JEST JAK RODZINNA SESJA TERAPEUTYCZNA

W KINACH OD 21 MARCA

